PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

ALMANACH LITERACKI

KWARTALNIK
LWOWSKIEJ ORGANIZACJI
ZWIĄZKU PISARZY USRR

1

LWÓW
1941

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH USRR

Okładkę projektował
M. PSACHIS

Adres redakcji: Lwów, Kopernika 42.
Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.



„Spójrzcie, nie jestem... bez dziedzictwa przeszłości, bez historii, nie z czyjejś łaski stałem się członkiem wielkiego Związku Ludów, oto mój rodowód, którym się szczycę, i chcę, abyście i wy, bracia moi po pracy i walce o najwspanialsze ideały ludzkości, szczycili się moim rodowodem."

Takie słowa wkłada tow. Kalinin w usta rozkutym z łańcuchów kapitalizmu ludom ZSRR, które w dumie i szczęściu odtwarzają obrazy swych historycznych bohaterów i najlepsze dzieła swej narodowej twórczości wiozą do „serca republik", do Moskwy, by je ukazać wszystkim ludom Związku.

I oto — decyzją partii Lenina—Stalina, powstaje na Zachodniej Ukrainie, wybawionej przez Czerwoną Armię z jarzma kapitalistycznego ustroju, z masakry imperialistycznej wojny, literackie pismo polskie. Polscy pisarze, polskie masy pracujące, otrzymują na ogólnym, wszechzwiązkowym froncie boju o kulturę, o najwspanialszy rozkwit sił twórczych, o komunistyczne wychowanie społeczeństwa — swój przydział walki.

Pismo to będzie ogniwem, które łączy tradycje polskiej narodowej kultury, tej prawdziwej kultury, demokratycznej, postępowej, z osiągnięciami kultury socjalistycznego państwa, ojczyzny wielu narodów, ojczyzny wszystkich pracujących.

Będzie ono dalszym ciągiem tych wszystkich pism polskich, demokratycznych, postępowych, które polska myśl rewolucyjna rozpalała w mrokach kapitalistycznego ustroju i które mrok ten, raz po raz dławił, które zamykała i konfiskowała łapa reakcyjnego rządu, które kreślił i ciął reakcyjny cenzor.

Lecz jednocześnie — pismo to, to pismo radzieckie, pismo kraju zwycięskiej rewolucji.

Nie stoi już między tym pismem a masą — karabin policjanta i paragraf. Może ono zupełnie otwarcie służyć interesom ludu, może z całą swobodą rozwijać kulturę swego narodu, może się oprzeć na najgłębszym kontakcie z masą, może i musi — być pismem mas.

Nasze pismo prowadzić będziemy w duchu socjalistycznego realizmu. W naszym piśmie będziemy zamieszczać każdy utwór dobrej jakości artystycznej, czysty językowo, tematyką bliski masie, o formie przejrzystej, dostępnej dla masy, nie tylko dla garstki snobów i smakoszy, a bez względu na to czy będzie to utwór pisarza polskiego, ukraińskiego czy żydowskiego, znanego czy też stawiającego dopiero pierwsze kroki.

W blasku Stalinowskiej Konstytucji, zapewniającej wolność obywatelom i ludom, pisarz zachodnich obwodów Ukrainy Radzieckiej, który tyle lat mógł tylko szeptać, tylko ukradkiem, podstępem, między wierszami przemycać swe najgorętsze, najgłębiej związane z masą uczucia, który tyle lat swe najlepsze dzieła musiał kryć w szufladzie lub oddawać na pastwę cenzorskich nożyc — pełnym głosem przemówi do swego narodu, da mu swe dawne utwory, niecenzuralne niegdyś, znane tylko z nielegalnych urywków, i swe nowe utwory o nowych, pełnych przemian czasach.

I powie pisarz zachodnich obwodów Ukrainy Radzieckiej bratnim narodom ZSRR o wszystkim, co dobre, piękne i mądre przetrwało nieśmiertelnie upadek zbudowanego na krzywdzie i kłamstwie państwa.

I powie on „braciom po pracy i walce": — Oto nasz bohaterski rodowód, którym się szczycimy, i chcemy, abyście i wy szczycili się naszym rodowodem.

WANDA WASILEWSKA

ANTEK

Był to duży, trzypiętrowy dom na przedmieściu Krakowa — ten pierwszy dom, który pamiętam. Wyrósł wśród małych, przykucniętych do ziemi domków robotniczej nędzy, sterczał wysoko ponad nimi wieżą swoich trzech pięter. Naokoło wielkiego domu tonęły w błocie wąskie, niebrukowane uliczki — jedyny bruk, to była dróżka przez podwórze, wyłożona kamiennymi płytami.

Mieszkaliśmy na trzecim piętrze. Na pierwszym zajął mieszkanie sam właściciel — dziś nie wiem, jak naprawdę wyglądał. Moim trzy i czteroletnim oczom wydawał się wielki jak góra i okrągły jak księżyc w pełni.

Z właścicielem kamienicy nierozłącznie związany był pies, duży wyżeł w brunatne cętki, Parys. Parys królował na podwórzu i miał nieprzezwyciężony wstręt do nędznie ubranych ludzi, do żebraków, do ulicznych handlarzy. Tu, na zabłoconym przedmieściu strzegł pilnie podwórza odcinającej się od tła kamienicy, a jego posępny, głęboki bas przejmował strachem przechodzące obok domu dzieci. Ten strach sięgał aż do nas, na trzecie piętro, gdzie moja mała siostrzyczka leżąc w wózku na balkonie wybuchała płaczem, kiedy na dole rozlegało się szczekanie.

Parys mógł dopilnować podwórza, mógł dopilnować schodów, prowadzących do mieszkania pana Czaputowicza na pierwszym piętrze, ale nie mógł dopilnować mnie. A akurat tak się złożyło, że miałam sympatie idące we wręcz przeciwnym kierunku niż sympatie cętkowanego tyrana.

W domu było nas trzy — starsza o sześć lat siostra nie zwracała uwagi na takiego smarkacza jak ja. Młodsza leżała w poduszce — niewielka pociecha.

Ale tam, za ścianami trzypiętrowej kamienicy roiło się od dzieci. Biegały po wąskich uliczkach, paprały się w błocie, właziły na dachy szop, gwizdały na gołębie, śpiewały piosenki, kłóciły się, biły, napełniały gwarem tajemnicze zakamarki między małymi domkami. Z okna trzeciego piętra można się było przyglądać ich innemu, zdumiewająco ciekawemu życiu. Wszystko im było wolno — było wolno biegać boso, kiedy już siwy przymrozek osiadał rankami na czarnej papie dachów, było im wolno biegać po zakupy do sklepiku na rogu, było im wolno lepić babki z błota, chodzić w mróz bez płaszcza, ślizgać się po rynsztoku na wykrzywionych obcasach bucików, chodzić po ulicy, kiedy zapadał wieczór i sennym światłem paliły się mętne szybki gazowych latarni.

Z początku trudno było odróżnić poszczególne dzieci. Zawsze była ich cała gromada, zawsze hałasowały jednakowo. Ale powoli zaczęły się wynurzać z tłumu osobne postacie. Jakaś dziewczynka ze sterczącymi warkoczykami, druga, która człapała po błocie olbrzymimi butami, butami dorosłego człowieka, rudy miłośnik gołębi, który potrafił gwizdać na nie całymi godzinami, i wreszcie Antek.

Potem, kiedy już wiedziałam jak się nazywa, nie rozumiałam, jak się to stało, że nie zauważyłam go od początku. Bo przecież to było widoczne,

rzucało się w oczy — było tu mnóstwo, nieprzeliczone mnóstwo dzieci, ale najważniejszy był Antek. I tak myślałam nie tylko ja — z tym godziły się wszystkie dzieci, tam, w dole, gdzie patrzyłam przez okno pokoju na trzecim piętrze. To on rządził całą gromadą, to on wydawał rozkazy, komenderował w czasie zabaw, rozstrzygał spory i był prowodyrem wielkich wypraw, które z wrzaskiem ciągnęły w zabłocone uliczki. Na jego gwizdek, pusty przedtem zaułek momentalnie zapełniał się dziecinną czeredą. Wynurzały się jak spod ziemi ruchliwe figurki, biegnąc na oślep na miejsce zbiórki. Antek miał prawo wymyślać im — i to nie powodowało bójki, Antek miał prawo rozdzielać bijących się, i nikt mu nie dawał po łbie za wtrącanie się w nieswoje rzeczy. Nieustannie słychać było imię: Antek, odmieniane przez wszystkie przypadki. Tak, bezsprzecznie to on rządził dziećmi przedmieścia.

Zabłocona uliczka zdawała mi się z trzeciego piętra rajem, przybytkiem szczęścia, Antek jakąś nadprzyrodzoną istotą.

I przestało mi wystarczać wyglądanie przez okno — wyglądanie surowo zresztą zakazane, bo miałam stałą tendencję do tego, żeby większą część mojej osoby znajdowała się na zewnątrz okna, po tamtej stronie, gdzie tonął w błocie dziecinny raj. Trzeba było wymyślić coś innego.

O wydostaniu się na uliczkę nie było mowy. Front kamienicy i jej brama wychodził zupełnie gdzie indziej — nie miałam pojęcia, jakby się było można dostać tam, na drugą stronę. Natomiast okazało się, że okno klatki schodowej z pierwszego piętra jest łatwo dostępne — można usiąść na parapecie i nie tylko cudownie się wszystko widzi, nie tylko się słyszy głośniejsze okrzyki, ale można nawet rozmawiać.

Nie pamiętam, jak się to zaczęło, ale wiem, że od dnia przeniesienia punktu obserwacyjnego na klatkę schodową, przepadłam.

Tak, Antek rządził wszystkimi, ale mimo to nie był na tyle dumny, żeby nie rozmawiać ze mną. Ach, jak wspaniale wyglądał w wystrzępionych, krótkich spodniach, z zamorusaną twarzą, z twardą szczeciną krótko ostrzyżonych włosów! Nikt tak jak on nie potrafił przeskakiwać olbrzymich kałuż, nikt tak celnie jak on nie umiał trafiać pecynami błota w mur kamienicy. Do tej kamienicy wszystkie dzieci czuły jednomyślną nienawiść — do kamienicy i jej właściciela, grubego pana Czaputowicza. Oczywiście, że z miejsca zsolidaryzowałam się z tą niechęcią lokatorów walących się, drewnianych domków. Marzyłam, żeby móc tak, jak oni, Antkowa gromadka, zaczaić się na niego na rogu i palnąć bryłką błota w szerokie plecy, osłonięte nowiutkim paltem.

Zaczęło się od rozmów — potem powoli zaczęłam schodzić na drogę występku. Z początku wolno i niezauważenie. Było to ciastko, które schowałam w czasie podwieczorku, kawałek cukru czy cukierek, albo jabłko, przeznaczone dla mnie. Spadało to wszystko z okna w nadstawione, brudne Antkowe dłonie. Potem zabawki — potem wszystko, co się dało. Myślę, że gdyby mi Antek kazał rzucić na dół szafę z mieszkania, pomyślałabym tylko o jednym: jak to technicznie wykonać?

Kalosze ojca, chustki do nosa, nóż do rozcinania papieru — dzieci na dole cieszyły się jednakowo wszystkim. I rzetelnie, sumiennie starały się odpłacić ze swej strony. Nie potrzebowały łaski ani jałmużny. Transport z dołu na górę był oczywiście trudniejszy niż z góry na dół. Ale Antek wymyślił sposób — sznurek. Rada była dobra — ale co powiedzieć w domu, na co mi potrzebny taki długi sznurek?

I Antek wprawnym rzutem przysłał na górę sznurek, uwiązany do kamienia. Teraz sprawa była już prosta. Tylko opuścić na dół sznurek, i potem windować do góry wspaniałe dary. Kolorowe długie cukierki, które mazały twarz na czerwono i żółto, skręcone jak choinkowe świeczki. Wiele razy widywałam te cukierki rozłożone na kramach ulicznych — były dla mnie nieosiągalnym marzeniem — „są farbowane, można się

struć". Tam, na klatce schodowej miały wspanialszy smak niż wszystko inne, i okazało doświadczenie, że nie truły. Okrągłe, metalowe gwizdki, także niehigieniczne, bo je trzeba było brać do ust, cały krążek umiejscawiać między zębami a wargami — i gwizdały! Co najmniej jak lokomotywa.

Czułam się wieczną dłużniczką gromadki z błotnistej uliczki. Jakże, jakieś tam kalosze, jakieś tam głupie lalki — jak to można porównać z cukierkiem czerwieńszym niż mak i gwizdkiem głośniejszym niż parowóz!

— Przyjdźcie do mnie! — agitowałam dzieci. Ale wzruszały ramionami. Między furtką od ulicy a bramą domu stała przecież nieprzezwyciężona przeszkoda — Parys. Parys, który nie znosił bosych nóg, wystrzępionych spodni i głów, nie przykrytych kapeluszem. No i był przecież pan Czaputowicz, wielki jak góra i groźny jak smok. Z ich przyczyny dzieci z błotnistej uliczki były dla mnie niedostępne — i tylko mogłam patrzeć z okna jak w inny, cudowny świat, w świat ich zabaw, biorąc w nich udział tylko wzrokiem i głosem.

I wreszcie Parys i pan Czaputowicz rozdzielili mnie na zawsze z Antkiem i jego gromadą. Pewnego dnia mała dziewczynka niosła którejś z lokatorek suknię od krawcowej. Mała dziewczynka z domków w błotnistej uliczce. A Parys nie lubił podartych bucików i wystrzępionych sukienek. Na rozpaczliwy krzyk dziecka wybiegł dozorca i spod łap rozjuszonego psa wydarł dziewczynkę. Miała pogryzione obie ręce.

Pan Czaputowicz chciał załagodzić sprawę paru groszami. Moi rodzice poradzili ojcu pokaleczonej dziewczynki, żeby podał sprawę do sądu — tym bardziej, że to nie był pierwszy taki wypadek. Ojciec małej wygrał odszkodowanie, właściciel psa musiał zapłacić koszta leczenia, zapłacić za ból i strach. A my musieliśmy się wynieść z mieszkania.

Kiedy jechałam dorożką na nowe mieszkanie, Antek i jego gromadka odprowadzali mnie z wielką wrzawą aż do mostu starego toru kolejowego, który dzielił przedmieście od miasta. Migały po błocie bose, czerwone z chłodu nogi, machały wiecznie brudne ręce, dziki wrzask zatrzymywał na ulicy przechodniów.

Przy moście dzieci się zatrzymały. Tu już kończyło się ich królestwo. Przenosiłam się w nieznane im, dalekie strony. Odprowadzili jak należało — i dosyć. Wrócili w swoją błotnistą uliczkę, uliczkę moich marzeń. Na zawsze zniknęli z mojego życia.

Ale czy na zawsze? W wiele, wiele lat później, kiedy już byłam całkiem dorosła, byłam parokrotnie na przedmieściu, które opuściłam mając pięć lat. Przemawiałam na zgromadzeniach, na wiecach, na odczytach. Tak samo stała wielka kamienica pana Czaputowicza, i tak samo wokół niej cisnęły się małe domki, tak samo błoto pokrywało małe uliczki. Nie wiem, czy Antek był wśród moich słuchaczy, i nie wiem, czyby sobie przypomniał małą dziewczynkę, która całym sercem należała ongiś do jego podwładnych. Ale ja myślałam wtedy właśnie o nim — pierwszym proletariackim dziecku, z którym się w życiu zetknęłam. I mówiąc o walce, mówiąc o krzywdzie myślałam o nich, dzieciach z błotnistej uliczki, które dorosły tak jak ja, i tak jak ja wiele z nich poszło drogą walki.

KOMUNA PARYSKA
1871 — 1941

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

SONET

Paryż grzmi jak wiosenne niebo podczas burzy,
Raz po raz z paszcz armatnich śmierć żołnierska błyska.
To wzniosła barykady Komuna Paryska
I odpiera wersalskich drabów zastęp szczurzy.

Gdy pieśń przewodzi walce, któż z walczących stchórzy?
Serce jest jak karabin, serce kule ciska.
Kto zwycięży, ten wolność na zawsze uzyska,
Kto padnie — krew zabarwi bluzę barwą róży.

Kobieta dumnoczoła tam na barykadzie
Strzela i wersalczyków gęstym trupem kładzie.
Dłoń jej twarda, choć żółta, zbiedzona i wąska.

Lecz oto kule w pierś jej jak spragnione dzieci
Wpijają się i w martwych oczach krwawo świeci
Zachód słońca jak odwrót rozbitego wojska.

PIOTR KOŻUCH

ŚMIERĆ JAROSŁAWA DĄBROWSKIEGO

Oto jest wiosna strzaskanych drzew,
Ciepłym powietrzem przelatuje ołów,
Przymknij oczy — usłyszysz jak pocisk
Lecąc przecina ptaszęcy świergot.
Jest rzeźwo, świeżo. Otwórz oczy: liście
Wirując lecą na skrwawione czoła.

To robotnicy Paryża. Ciałami
Wspierają ściany ostatniej z barykad.
W rozpaczy biegli brukami zaułków,
Gdy dzień niebieski pośród cieni znikał.
To lud Paryża, który wreszcie zamilkł,
Ciśnięty w poprzek nadchodzącym pułkom.

Nocą polegli. Kule zagasiły
W ich oczach smugi wschodzącego świtu.

Straszne milczenie było wśród walczących.
Pocisk niosący w barykadę wyłom
Gasił jednego, w serca wszystkich kąsał:
Konała wolność niedawno zdobyta.

To gasły światła sal szumiących ludźmi.
Czy wolność w sercach rozkwitła na darmo?
Daremnie Paryż do życia się zbudził,
Zgarbieni walką budowali jaśniej?
Wersalczyk granatami noc tu ciska czarną!
Zapal lont Jarosławie, zanim wolność zgaśnie.

Jeszcze trwasz. Razem z tobą okrwawiony chłopiec.
Szczękasz kartaczownicą, posępny, zmęczony.
Ciężko zostać samotnie w męczeńskim okopie,
Ciężko nosić samotność po cieple braterstwa.
Już każdy z towarzyszy na swój sposób skonał,
Twardym, męskim wysiłkiem przekreśliwszy przestrach.

Teraz już czas na ciebie i dziecko paryskie.
Pocisk rozerwie szarość i nocą pokryje.
Zdepczą cię wersalczycy. Zabłysną latarnie.
Jeszcze chwila. Znów wbijasz wzrok w powietrze czyste —
Drzewa ku niebu wznoszą połamane szyje,
Dachy lśnią rosą świtu i bruki są czarne.

O, jakże tobie tęskno za innym Paryżem!
Chodziłeś także wiosną przez zaułków biegi,
Mierząc twardo możliwość walki i oporu.
Wtedy pokłady dachów przepływały wyżej —
Szedłeś w wielkiej kotlinie kamieni i cegieł,
Pociętych pługiem deszczu, którym wicher orał.

Wśród tych ulic poznałeś ojczyznę człowieczą,
Rosnącą obrazami nad dzieciństwa zapach,
Nad cichą ziemię zdarzeń młodzieńczych i przeczuć.
Rosnącą przez granice, których strzeże żandarm,
Poprzez kule, co lodem gaszą serca zapał,
W stronę kraju, gdzie wzniósł się rewolucji sztandar,

W stronę kraju, gdzie wolność zapaliła oczy
Wisząc oparem światła nad przęsłami mostów,
Rosło niebo znad Rosji, Mazowsza i Węgier,
Kiedy ludzie i drzewa unosili prosto
Swe głowy w czysty błękit i kiedy wiatr począł
Wołać liście z gałęzi poczerniałych w węgiel.

To była twoja twierdza. Teraz cię osacza
Jak grobowiec zmarłego. Już tu pozostaniesz
Wrośnięty całym ciałem w mur wszystkich kamienic,
W groby wszystkich umarłych, we wdów ciężkie płacze.
Gdzie bije jeszcze ludzkie serce żywym drganiem,
Tam będziesz. Komuny czas je w twierdzę zmienił.

Komuny czas surowy. Trupy komunardów,
Wzniesione barykadą jak posępną wyspę
Już zalewa ocean ciężkich, czarnych butów.
Lecz z przeszłości zwęglonej odłupią oskardy
Żywe ciała poległych. Horyzoncie, przyśpiesz
Dni, które ciemność ciężką w błyskawice stłuką.

Na horyzoncie spokój. Już paryski chłopiec
Zanurzył drętwiejące ręce w ciepłej ziemi
Jest cicho. Wiatr porusza włosami jak trawą.
Dąbrowski skonał. Oczy spaliły się w popiół.
Popatrz w przestrzeń i słuchaj. Jeśli możesz, przemierz
Samotność ludzi zmarłych przedwcześnie i krwawo.

Rzekę, którą odpływa robotniczy Paryż,
Mocne piersi, zmiażdżone mordu wrzącą stalą,
Oczy, w których się dźwigał nowych zdarzeń zarys,
Czoła, które wolności wiatr gorący spalił,
Ciśnięte hardą wyspą przeciw czarnym falom
W stronę ojczyzny naszej, gdzie socjalizm.

ALEKSANDER DAN

NA BARYKADZIE

W XI merostwie nieznośny szum. Dlaczego nie zamykają drzwi? O czym oni mówią? Arnold przepycha się przez tłum. Gestykulując rękami wpatruje się błagalnym wzrokiem w Delescluze'a. Tłumaczy mu coś.

— No dobrze, dobrze. O cóż chodzi?

— Sekretarz ambasady amerykańskiej przyrzekł interweniować, jeśli oddziały Komuny oddadzą się w ręce prusaków.

Delescluze podniósł ciężkie powieki. Czego ten człowiek chce od niego? Ach, gdyby można było na chwilę oderwać się od tego gwaru. A tamten znowu swoje. Dochodzą go strzępy słów.

— Komisja. Z trzech osób. Natychmiast. Rozpocząć układy.

Z miękkiej, lichej gliny urobiono cię, Arnold — uśmiecha się do siebie. Dokoła twarze śmiertelne, twarze skazańców. Spływa po grzbiecie wzdłuż ciała lekki dreszcz i wyłania się tu, w tym pokoju natłoczonym obcymi ludźmi, wspomnienie o siostrze Lucynie, wiernej strażniczce jego życia. Więc do niej ostatnie słowa, nim zejdzie na dół i umrze razem z Komuną:

„Moja dobra siostro! nie chcę i nie mogę być igraszką ani ofiarą tryumfującej reakcji. Przebacz mi, że odchodzę, ale nie mam już odwagi przeżyć nową porażkę po tylu innych. Żegnaj, żegnaj!..."

Zwinął kartkę i włożył do kieszeni. I znowu Arnold.

— Obywatelu Delescluze, pomyślcie o naszym losie!

Ależ tak, myśli o tym, myślał jeszcze wcześniej, gdy wersalczyków nie było w Paryżu i dlatego właśnie powierzył Dąbrowskiemu obronę miasta. Zresztą, to nie tylko ten słaby człowiek Arnold, ale i inni z Komitetu Centralnego wymyślili różne, niegodne sposoby ujścia przed klęską. Niektórzy nawet chcieli oddać się pod opiekę niemców, by przedostać się za ocean. Nowi hugenoci.

— Nie, obywatelu Arnold — Delescluze dźwignął się z krzesła i oczy jego zapaliły się szarym blaskiem — nie pójdziemy na żadne układy. Sprawę doprowadzimy do końca.

Arnoldowi trzęsą się szczęki, nie daje za wygraną.

— Pozwólcie, obywatelu — przybliża się do Delescluze'a i obiema rękami usiłuje go zatrzymać. — Co tu pomoże desperacja? Przegraliśmy wszystkie atuty. Miejmy odwagę przyznać się do tego.

— Odwagę — wykrzywia lekko wargi Delescluze — gdzież mam jej szukać? W ambasadach? W sztabie okupantów, gdzie Thiers znalazł sprzymierzeńców?

— Ale nasze żony, nasze dzieci...

Twarz Delescluze'a stężała. Znikły z niej ostatnie ślady znużenia. Była już tylko jednym płomieniem stanowczości.

— Nasze żony i dzieci walczą na barykadach. Obywatele! — objął płonącym spojrzeniem tłoczących się dokoła gwardzistów — pokażmy naszym żonom i dzieciom, że jeśli trzeba, potrafimy umrzeć bez lęku. Luiza Michel nie czeka zmiłowania.

A Luiza Michel, z karabinem na ramieniu, szła szybkim krokiem ulicą Clignancourt. Nie do wiary: w samym sercu Paryża Thiers posiadał swój sztab generalny. Stąd kierował ruchami wojsk. Hrabia Beaufort, ten szczwany lokaj wszystkich koronowanych, wywąchał, że Montrouge, Vanves i Vaugirard są najsłabiej bronione — i już poszła wiadomość do Wersalu. A gryzipiórki z Komitetu Centralnego — Luiza zgrzytnęła zębami — dyskutują i nie przestają układać kilometrowych proklamacyj, zamiast zatykać dziury w murze obrony nowymi zastępami federatów.

Nie, o chytrym lisie Beaufort nikt nie pomyślał, ale za to niektórzy gorliwcy sfabrykowali potwarz na Dąbrowskiego. Lefrançais dawno już mówił, że to robota Thiersa. Rozsadzić Komunę od wewnątrz — o, uśmiecha się mu to po tym, gdy połamał sobie zęby przy fortach. Ale Dąbrowski otrząsnął się z tej potwarzy jak z obmierzłego robactwa. Zresztą, on nie ma nawet czasu myśleć o tych podstępnych zabiegach wrogów. Z oczami zaczerwienionymi od bezsenności, na wpół żywy ze zmęczenia, pocwałował do Porte Saint-Cloud. Pozycja była prawie pusta. Gdzie się podzieli obrońcy? La Cecilia opracowuje w Ratuszu coraz to fantastyczniejsze plany, a tu każda chwila jest droga. Armaty walą jak wściekłe.

Generał przysiadł na kamieniu i naprędce skreślił kilka słów:

„Do Komitetu Ocalenia Publicznego. Wersalczycy mogą lada chwila wtargnąć do miasta przez Saint-Cloud. Zrobię wszystko, by ich powstrzymać, ale proszę o natychmiastową pomoc."

Luiza wzięła papierek, włożyła go do ładownicy. Dąbrowski uśmiechnął się. Ale Luiza ujrzała poza tym uśmiechem stygmat śmierci na bladej, przeźroczystej twarzy. To przecież on dźwigał na sobie cały trud tych tragicznych dni. Czuł dokoła siebie coraz większą samotność, samotność, która szła od opuszczonego fortu i nakrywała miasto mrokiem skradającej się zdrady.

— Nie, nie — Luiza potrząsała gwałtownie głową — Komuna zwycięży. Wytrzymała już niejeden cios. Komuna — to nie tylko forty źle bronione — to przede wszystkim tamci, Gaillard, budowniczy barykad, to Herminia David, to stara Danguet, to dziesięć tysięcy kobiet, walczących na szańcach, to federaci, żywiący się zdechłymi kotami i nie opuszczający pozycji. Szła ulicą Beethovena. Noc nawiewała zapachy z odległych sadów, na tle czarnego nieba drzewa wznosiły się jak zastygłe widma. Któraż to godzina? Ach, wszystko jedno. Prędzej, byle prędzej. Mariani powiedział: rewolucja albo śmierć. Nigdzie człowiek nie uczy się tak odwagi, jak na opuszczonej barykadzie. Ale Paryż żyje. Choć cisza przenika ciało miasta, Luiza czuje jego bijące tętno. Przechodzi obok barykady. Brnie przez kałuże krwi. Gdzież podziali się federaci? Z rozszerzonymi oczami rozgląda się dokoła. Pod workami leżą nieruchome ciała. Ach, śpią. Podchodzi bliżej, zagląda w ich twarze. I wówczas otwiera usta do krzyku. Nie krzyczy. Cofa się w tył. Zmasakrowani przez wersalczyków. Zgodnie z instrukcją Thiersa. „L'officiel" z Wersalu nakazał: „Żadnych jeńców! Jeśli żołnierze, w przystępie słusznego gniewu, pragną zemścić się za śmierć swych towarzyszy..." Uważnie ogląda leżących. Oto marynarz Craon. Walczyła z nim na Castiglion. Do ostatniej chwili nie wypuścił karabinu z zaciśniętej ręki. A tam młoda Cartelle, a tam szesnastoletni Bidon... Krew ściekała uliczką w dół. Pękały kartacze.

W merostwie gwar, gorączka, bezsenność. Oddała kartkę Dąbrowskiego.

— Idę umrzeć — rzucił jej stary Geoffroy, weteran z 48-go — chodź z nami.

Dlaczego umrzeć — mówiła bez słów przedzierając się przez tłok gwardzistów — dlaczego nie zwyciężyć? Gdy wyszła na dziedziniec, otoczyli ją federaci z 61 batalionu. — Byłaś jedną wśród pierwszych — zwrócił się do niej młody Arnoux, towarzysz z barykady — musisz także być wśród ostatnich. Poszła z nimi. Noc coraz głębsza. Huki wstrząsnęły brukiem.

Na rogu ulicy Frossard zatrzymuje ją młody człowiek. Błaga, by wzięli go ze sobą. Nie miał żadnych dokumentów, w merostwie odprawili go z kwitkiem. Chodź z nami! — Był uszczęśliwiony. Komuna zwycięży — powtarzała Luiza uśmiechając się do młodzieńca bez papierów, do batalionu, który przeszywał noc krokiem idących na śmierć.

Pozycja na cmentarzu Montmartre. Własnymi rękami ustawili mur. Upajająca woń kwiatów zdawała się ożywiać zimny marmur. Kląskały słowiki i lekki szum muskał wierzchołki drzew. Znowu armaty. Coraz bliżej.

Siwy federat pochylił się ku niej.

— Dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy generała Douaya wśliznęło się do miasta. — Starał się przekrzyczeć huk armat. Ale krzyczał także z rozpaczy.

Postanowiła iść na zwiady. Wypełzła zza stosu kamieni, czołgała się na kolanach. Lepka, rozmokła ziemia. Na liściach srebrne krople rosy. Przypomniał się jej wiersz: „La nuit claire embaumée du parfum...“ Gwizdały kule. Pełzała coraz dalej. Naraz szum, huk — i tuż przed nią pocisk uderzył w nagrobek. Przywarła do marmuru. Odczytała napis: Henri Murger. „Cyganeria“, Mimi, Rudolf. Jakie to dalekie. Nie, to już nigdy nie wróci. I biały posąg nad nadgrobkiem rozprysł się w kawałki.

Gdy wróciła do barykady, było ich tylko piętnastu. Z pięćdziesięciu. Młodzieniec bez papierów leżał na wznak z otwartymi ustami. Strzelali bez przerwy.

Po chwili — dwunastu. Z mroku wyłonił się Dąbrowski. — Do ostatniego naboju! — rzucił i pobiegł dalej. Tak — odpowiedziała Luiza, wyjęła naboje z ładownic zabitych. Dziesięciu. Ośmiu. Czuli w mroku podkradającego się wroga.

Kapitan federatów podpełzł do Luizy.

— Posłuchaj — mówił nie przestając strzelać — mam syna. Osiem lat. Gdy padnę, daj mu moją szablę.

Dlaczego sądzi, że ona wyjdzie stąd cało? — uśmiechnęła się. Już było ich troje. Kapitan i sierżant po obu stronach barykady, ona — w środku.

Nagle zarysy ludzi podchodzących do szańca. Wlepili wzrok w gęstą ciemność.

— To gwardziści! — krzyknęła uradowana wywijając karabinem. — Zbliżcie się, jest nas tylko troje!

Ale tamci strzelali. Wówczas kapitan podbiegł do niej, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

— To wersalczycy przebrani za gwardzistów.

Brnęli w ciemności. Przedzierając się przez nagrobki wybiegli na ulicę. Pociski padały miarowo jak uderzenia zegara. Zegara śmierci.

— Koniec — usłyszała przy sobie drżący głos kapitana. — Zwyciężyli.

Plac Pigalle poprzerzynany barykadami. Luiza przypadła do pierwszej z brzegu. Pachniało dymem i naftą. Nad workami łopotały podziurawione strzępy sztandaru.

— Koniec? — powtarzała słowa kapitana mierząc w ciemność rozrywaną wybuchami ognia. Spojrzała na sąsiada. Wysunął wargę naprzód i z płonącym wzrokiem ładował raz po raz karabin. Jakaś niezrozumiała radość rozpierała jej pierś. — Walczyli. Jeszcze walczyli.

Sąsiad zachwiał się. Chwycił się kurczowo worka z piaskiem i przywarł doń ustami. I nim runął na ziemię, sprężył się w sobie i dogasającym głosem powierzył jej grozę i wielkość ostatniej nocy.

— Do ostatniej ba - ry - ka - dy - Ko - mu - na...

— Zwycięży — dokończyła Luiza Michel z surową powagą, wyjmując mu z ręki karabin.

ALLAN KOSKO

POTTIER, PIEŚNIARZ NIEZNANY

Przedostatni dziesiątek lat wieku XVIII rzucił na ulice Paryża pieśń urywaną, bojową — pieśń, która zapowiadała radykalne zmiany społeczne, która w gniewie i buncie zwiastowała, że lud zmiecie bez pardonu to, co stare, że „Ça ira, les aristocrates à la lanterne!“ — zawisną magnaty na latarni! Ale bulwary nadsekwańskie rozbrzmiewały także piosenką inną — taneczną, drwiącą, radosną niemal strofą swobody — nieśmiertelną Carmagnole.

Daty pamiętne dla historii Francji — 1789, 1830, 1848, 1871 — to równocześnie lata przełomowe i w dziejach ludzkości. We Francji tego stulecia, w tej macierzy prądów rewolucyjnych, gorącym źródłem wytryska pod ziemią nurt wolnościowy, aby szeroką falą rozlać się następnie po całej Europie. Kolebką tych prądów jest Paryż, a zalążnią burzliwych fermentów, areną poczynań ludowych staje się bulwar, ulica i plac. Syn tej ulicy, lud paryski każdą silniejszą swoją reakcję musi od razu przełożyć na język melodii. Kataryniarze, śpiewacy i grajkowie uliczni, pieśniarze estradowi nuty jej rozsiewają wszędzie, aż po najdalsze przedmieścia stolicy. Piosenka taka — obyczajowa czy polityczna, miłosna czy też społeczna, bywa zawsze aktualna, związana jedynie z chwilą i, po krótkim żywocie, ginie zwykle za widnokręgiem wypadków, aby ustąpić z kolei miejsca innej, aktualniejszej. Istnieją przecież pieśni aktualne, które ostały się zębom czasu, ostały się przed nawałem późniejszych wydarzeń, pieśni jak Marsylianka, jak Chant du Départ, jak wreszcie piosenki Bérangera: żywą tradycją wrosły na zawsze w świadomość ludu i śpiewane rokrocznie na uroczystościach i obchodach publicznych, naprawdę nie umrą chyba nigdy.

Godnym spadkobiercą anonimowej pieśni ulicznej z jednej, a dorobku mistrza „chansonnier'ów“ Piotra de Béranger z drugiej strony, okazał się nieodrodny syn paryskiego przedmieścia — Eugeniusz Pottier. Niemało pieśniarzy wydały kolejne rewolucje ludowe, lata 1830, 1848, ruchawki II Cesarstwa, niemało wydała ich Komuna, jednakże największym z nich i najwszechstronniejszym jest niewątpliwie autor Międzynarodówki. On miał ludowy refren popularny we krwi, od urodzenia chyba: przecież pierwszą swoją piosenkę — zakończoną, jak sam mówi „oczywiście“, refrenem: Niech żyje wolność! — śpiewał w gorących dniach lipca 1830, wdrapawszy się na jakieś rusztowanie placu Louvois przy akompaniamencie ostatnich salw szwajcarów...

* * *

Urodził się Eugeniusz Pottier w Paryżu jesienią roku 1816 w ubogiej izdebce, przylegającej do warsztatu ojca, bednarza z ulicy St. Anne. Już od dzieciństwa pracuje ciężko przy warsztacie i tylko wieczorami chło-

piec, w czasie długiej włóczęgi, chłonie chciwie to wszystko, czym Paryż robotników oddycha. Lata szkoły klasztornej nauczyły go niewiele więcej aniżeli czytać i pisać. Całą znajomość literatury ojczystej, całą pozostałą wiedzę, którą posiadł, musiał skromny syn robotnika zdobywać wytrwale sam, ślęcząc przy łojówce do późna w noc nad książką. A najukochańszą z nich jest naturalnie miniaturowe wydanie Bérangera — „kiedy miałem lat 12, umiałem go w całości na pamięć, Béranger zastąpił mi Homera, Wergila i Horacego“ — napisze później.

Pożera więc Eugeniusz kolejno piosenkarzy, a dalej Walter Scotta, Woltera, Cervantesa, wreszcie „ojca poetów“ Wiktora Hugo. Urzeka go literatura postępu. Zaprzyjaźniony z garstką młodych, wiedzy żądnych „światoburców“, nie opuszcza dorastający poeta z towarzyszami swymi żadnego publicznego zebrania. Z jakimże zapałem słuchają utopijnych wizji Karola Fouriera, jak mocno biją im serca w takt gorących apostrof Blanquiego! Reakcyjne nastroje domu, duszna atmosfera ciasnego bonapartyzmu stają się dla Eugeniusza nie do zniesienia. Opuści w r. 1834 ognisko domowe, aby na krótko do niego powrócić, ale po pięciu latach zrywa już z rodziną ostatecznie.

Po rewolucji lipcowej r. 1830, za czasów „monarchii mieszczańskiej“ zaczyna się burzliwy i piękny okres w życiu poety. Oto Pottier, powoli ale pewnie, wstępuje na drogę kariery artystycznej, i to na drogę dwutorową, której już do ostatnich lat życia nie opuści: zostaje rysownikiem, projektuje oryginalne wzory artystyczne dla fabryk i tkalni — równocześnie wschodzi w ukryciu jego wielki talent piosenkarza — szansoniera. Są to zrazu wiersze miłosne, piosenki charakterystyczne: biesiadne, pijackie nawet, które wygłasza sam z przygodnej estrady; jednakże przez tę kanwę obyczajową poczyna przebijać coraz to częściej wątek społeczny. W latach 40-tych nuta goryczy i skargi na zastany porządek, nuta polityczna staje się wyraźniejsza, ostrzejsza, wzbiera coraz jędrniejszymi akcentami buntu. „W roku 1840 — wspomina Pottier — napisałem wiersz w duchu Baboeufa... Dałem rękopis przyjacielowi, komunistycznemu propagandyście. Bez mojej wiedzy wydrukowano go i wiersz ten miał w Lyonie i na południu zdumiewające powodzenie. Z łamów pewnej reakcyjnej gazety dowiedziałem się nawet, że „ta pożar wzniecająca iskra wyrządziła olbrzymie spustoszenie wśród robotników, którzy swą ufną nieświadomość wydali na łup agitatorów“.

Na tym etapie rozwoju twórczego zastaje Eugeniusza „Wiosna Ludów“, 48-my rok. Stolica wygania precz króla-mieszczanina. Krwawe są walki uliczne. Tym razem nie śpiewa już Pottier młodej piosenki na rusztowaniu, tym razem poeta własną piersią broni — nie po raz ostatni! — paryskiej barykady. Przecież w tyglu i tej rewolucji przetopi Pottier kruszec zdarzeń na pieśń bojową: jej ostrze skierowane jest w pierś starego, w gruzy padającego świata, jej refren ma podźwięk rozpaczy i grozy:

O, płaczcie, słońca, gdy planeta ginie!

* * *

Po roku 1848 następują w życiu Pottiera lata chude: do jego domu zaglądają choroba i bieda. Źle się też dzieje demokratom na forum publicznym. Ledwo wybrano Bonapartego księciem-prezydentem (jakże złowróżbnie brzmi ten dwuznaczny tytuł dla uszu przyjaciół wolności!), a już zwolna krzepnąć zaczyna wielka burżuazja; plutokracja Lafittów i Rotszyldów obrasta jeszcze gęściej w pierze i w tłuszcz. W rok zaledwie od tamtej, od czerwonej wiosny odbierają ludowi jedyną jego zdobycz — powszechne głosowanie. A w smutnym 1851-ym umiera parlament, grudniowy zamach stanu z prezydenta czyni cesarza, Napoleona III.

Pamiętasz Ludu dziś Tuilerie?
Osadził w nich kat-grudzień pana...

tak wspomni wierny antybonapartysta ten moment dziejowy jeszcze w lat 15 po Komunie.

Okres niepowodzeń w życiu artysty trwa dobrych lat kilkanaście. Nie zarabia nic, pisze mało. Warto przypomnieć jednak znakomity pamflet na II Cesarstwo, pt. Chiny i chińczycy najeżony aluzjami pod adresem rządzących, którzy chińskim murem chronią kraj przed postępem, a ludowi wyjadają chleb karmiąc go w zamian pełnymi blichtru festynami.

Aż w końcu, w r. 1864, czarna karta odwróci się na lat kilka. Pottier otwiera własny skromny warsztat kreślenia wzorów artystycznych: w krótkim czasie świetne wykonywanie zamówień czyni z małej firmv jeden z najlepszych zakładów Paryża. Znowu artysta umie tutaj zabłysnąć czynem, na tym odcinku nowator znowuż wybiega naprzód. Oto Eugeniusz Pottier, przedsiębiorca i rewolucjonista w jednej osobie zakłada związek zawodowy robotników swej branży, który ni mniej ni więcej — tylko wstępuje gremialnie i to za sprawą Pottiera, jednego z patronów, do... Międzynarodówki! Jest naturalnie Pottier jednym z najczynniejszych członków Sekcji Francuskiej Międzynarodówki. I to przesądzi od razu jego rolę w Komunie.

* * *

Wojna francusko-pruska otwiera dla socjalistów znad Sekwany nowy i brzemienny etap rewolucji. Poeta staje z miejsca w pierwszym szeregu bojowników. Czytamy jego podpis pod sławną odezwą, którą 20. VII 1870, w dniu wybuchu wojny, robotnicy francuscy wysłali do swoich germańskich towarzyszy:

„Bracia z Niemiec!

W imię pokoju nie słuchajcie najemnych a służalczych głosów, które chcą was w błąd wprowadzić co do prawdziwych zamiarów Francji.

Zamknijcie uszy na te szaleńcze prowokacje, albowiem wojną bratobójczą zaiste byłaby wojna pomiędzy nami...“

Ale prusacy wtargnęli do kraju — i zwyciężają. Sam Pottier wtedy w płomiennych strofach pieśni Broń się Paryżu! nawołuje oblężone miasto do oporu:

Czujesz, Paryżu jak cię zmogli?
Sprawa nie skończy się na żarcie!
Spójrz! dymią wkoło setki ognisk:
To prusak warzy swoje żarcie.
A kęsem tym jest Francja cała:
Siał cesarz, naród musi zbierać.
Bramy zarygluj! gotuj działa!
Broń się Paryżu! I — nacieraj!

Pottier rozwija żywą działalność w Comité de Vigilance II okręgu paryskiego i w rewolucyjnych komitetach pomocy. Nie dość, że pracuje społecznie. 54-letni poeta zapisuje się do gwardii narodowej! Osiąga w niej rangę adiutanta batalionu, świeci przykładem męstwa i w bojach pod Champigny zdobywa odznaczenie.

Jak bardzo w tym okresie twórczość pieśniarza zrosła się już i splotła z nurtem rewolucyjnym, jak organicznie się ze sprawą sprzęgła, o tym świadczy najdobitniej spiżowy apel wierszem, poczęty natychmiast po

nieudałym powstaniu Flourensa i Blanquiego z dnia 31 października 1870, w którym nawołuje poeta do stworzenia Komuny.

W żadnych spośród stworzonych do tej pory pieśni Pottiera, bardziej niż w tych dwóch utworach — Broń się Paryżu! i 31 października — nie dźwięczał tak czysto i szczerze głos oburzenia ludu, gnębionego przecież naraz przemocą podwójną: butem hrabiego Bismarcka i nożem w plecy rodaka-zdrajcy, „generała" Trochu. W żadnej z nich nie znalazła tak gwałtownego ujścia — wola skruszenia starego ustroju i wiara w sprawę i w światowy zasięg rewolucji. Te wiersze, to wiersze-odezwy, w ogniu walki pisane — do płomiennej walki nawołujące. Mamy jeszcze złudzenie, że ledwo przebrzmiały wypadki, które opiewają, że same powstały dopiero wczoraj. Z taką pottierowską pieśnią na ustach musieli gwardziści stolicy ruszać do szturmu i robić zza szańców wypady. Bo prusak stoi tuż za murami, nie popuszcza. Więc gorycz zaleje struny lutni pottierowej — powstaje ostry pamflet na Wilhelma I z refrenem zjadliwym:

Jego Mość czaszkę krótką
— W ciszy, z dala od kul —
Biblią karmi i wódką:
Pije król!

Jak błędna po rozłące
Niewiasta tuli ból,
Wylewa łzy gorące:
Pije król!

Niebawem jednak staje haniebna kapitulacja. I już wypadki pochłaniają poetę bez reszty, tak, że nie starczy czasu nawet na pisanie. Jest przecież Pottier merem okręgu II, po 18 marca zostaje członkiem Komuny, pracuje, mnoży się, działa. Po dwóch miesiącach rewolucja upada. Zaczyna się Tydzień krwawy — straszliwa „Śmierć Paryża". Poeta u boku Ferrégo, Varlina, Delescluze'a broni ostatnich tragicznych barykad w XI okręgu. Nie padł jak oni. Ocalał, aby móc godnym trenem uczcić braci poległych w boju:

Jak jabłoń trzęsą sadownicy,
Jak łąkę koszą żeńcy,
Wymordowali wersalczycy
Walecznych sto tysięcy...

I rozstrzelali tak Varlina,
Flourensa i Milliera,
Ferré, Rigaulta i Moilina,
Od trupów — cmentarz wzbierał.
Myśleli: Gdy zakończym bój,
Zabraknie rąk do dzieła!
Ty się nie frasuj,
Jasiu mój,
Komuna nie zginęła!

Ale o tym pisać będzie mógł poeta nieznany dopiero po latach, kiedy z długiej banicji powróci znów do ojczyzny — do Paryża. Bo teraz, kiedy po miesiącu ukrywania się w stolicy, udaje mu się przedrzeć do Belgii, gdzie inny, sławny na cały świat poeta, Hugo, służy uchodźcom radą i opieką — na odmienne tony, górne i ogólnoludzkie, nastroi Pottier lutnię. Opuszcza miasto w zgliszczach i ruinie, bruk nie obsechł jeszcze od krwi, ale poeta, nie złamany na duchu, właśnie po straszliwych dniach „Śmierci Paryża", zdobywa się na konstruktywny wysiłek twórczy. Wtedy

bowiem pisze nowy poemat, chanson socialiste, jak nazwie go autor skromnie; powstaje podniosły hymn wiary, hymn ufności w nieuchronne zwycięstwo międzynarodowej solidarności pracujących, pada hasło:

Wyklęty powstań ludu ziemi...

Po dniach upadku, po klęsce właśnie rodzi się pieśń zwycięstwa — L'INTERNATIONALE, MIĘDZYNARODÓWKA. Był to poemat, napisany w dniach twardej tułaczki, w czerwcu pamiętnego roku 1871, wiersz bez muzyki. I aż do dnia śmierci Eugeniusza Pottiera bez muzyki pozostał. Melodię, którą zna dzisiaj każde dziecko, bez której nie można w ogóle sobie hymnu tego dziś wyobrazić, skomponował prosty robotnik, dyrygent chórów fabrycznych m. Lille, Piotr Degeyter w 1888 r., a więc w rok po zgonie poety. Pottier przez dziwny splot zdarzeń nie poznał pełni tej harmonii, jaką stanowi związanie melodią wzniosłych wierszy Międzynarodówki. Co więcej, nie wiedział banita, że poemat jego, jeden z wielu, jakie w życiu stworzył, podniosą masy do godności światowego hymnu robotników.

* * *

Wybiła tedy godzina wygnania. Na długo — na całych lat dziesięć — zatrzyma się na niej wskazówka życiowego zegara. Najpierw dwie zimy w Anglii, zimy głodu i nędzy. Niezłomnego ducha jest jednak Pottier. Nie zapomina także i na emigracji o towarzyszach niedoli, jest duszą komitetu pomocy komunardom, który powołuje w Londynie do życia Karol Marks.

Rok 1873. Pottier wraz z rodziną emigruje za ocean, do Stanów. Jego udział w ruchu rewolucyjnym nigdy nie był czynniejszy. Nie tylko, że jest skarbnikiem w Organizacji Pomocy Komunardom, dbającej przede wszystkim o deportowanych do Nowej Kaledonii, ale i dla U. S. A., przybranej ojczyzny swojej, zakłada miejscowe grupy powstającej właśnie Partii Socjaldemokratycznej i oddaje swój czas i pracę swoją na usługi zarządu organizacji. Dochowało się z tego okresu kilka przemówień poety. Oto słowa, które padają z ust jego, kiedy z kielichem w dłoni ogłasza wszystkim zebranym w mroźną noc sylwestrową Nowy Rok 1878:

> „Pijcie, druhowie! Brzęk tych pucharów niechaj dźwięczy nam porannym hasłem braterstwa! Nie ma tutaj ani francuzów, ani amerykan, ani niemców, nie ma starców czy też młodzieńców! Tutaj jesteśmy wszyscy — socjalistami!"

Pottier, spoglądający teraz na powstanie 18 marca z perspektywy lat, w innej z mów wykazuje w sposób wnikliwy związki pomiędzy teoretycznymi tezami Międzynarodówki, a praktyką Komuny Paryskiej.

Nie zaniedbuje poeta i Muzy. W inne jednak struny lutni swej zapragnie uderzyć za Oceanem. Powstaje cykl czystych, klasycznych sonetów — jednym z najciekawszych jest „Odkrzyżowanie Chrystusa" — na tematy przeważnie antyreligijne, powstają także nadal nowe, piękne i treści pełne, pieśni rewolucyjne.

A tymczasem uchwalają w Paryżu amnestię. Rok 1880. Fala komunardów przez morza i góry płynie z powrotem do Francji. Powszechna wśród nich nędza i zapomnienie stają się również udziałem Pottiera, sędziwego starca, który dawno przekroczył próg sześćdziesiątki. Ale muśnie przecież poetę promyk sławy. Jego lekka, villonowska piosenka, której dał tytuł: Każdy żyje ze swego rzemiosła, zyskuje w r. 1883 pierwszą nagrodę na konkursie pieśniarzy. Towarzysz z walk na barykadach w 1871, sławny francuski pisarz Jules Vallès kreśli wtedy w „Cri

du Peuple" entuzjastyczny artykuł, zestawiając pieśniarza z bożyszczem poezji francuskiej — Wiktorem Hugo:

„Stary to towarzysz wielkich dni. Walczył za Komunę i podobnie jak Wiktor Hugo musiał pójść na wygnanie, jest też jak Wiktor Hugo poetą, ale poetą nieznanym nikomu, zagubionym wśród szarej masy bezimiennych. Ty jesteś Tyrteuszem tej codziennej walki, która rozgrywa się w mroku dnia powszedniego, wśród zakopconych murów fabrycznych, wilgotnych ścian biedoty, wśród pełnych beznadziejnego smutku ulic przedmieści. Ale wiersze twoje, ty Juwenalu paryskiego „faubourgu", pełne są tej samej mocy i w niczym nie ustępują wspaniałym strofom Hugowych „Châtiments". Praca i cierpienie były również i twoim udziałem, i dlatego właśnie z tak przekonywującą prostotą umiałeś żywot nędzarzy opisać."

Toteż kiedy w parę lat później (1885) autor „Jacques Vingtras" umrze, stary druh-poeta piękną strofę poświęci jego pogrzebowi, który tłumami swymi przeraził nie na żarty paryską burżuazję:

Żelazny topór Damoklesa
Zawisł nad ich głowami,
A na pogrzebie Jules Vallèsa
Wprost pogłupieli sami.
Szły nas tysiące, każdy swój,
Trumna wśród nas ginęła!
No więc, sam widzisz,
Jasiu mój,

Komuna nie zginęła!

Dzięki właśnie prostocie, którą tak trafnie podkreślił Vallès, wewnętrzną treść pottierowskich strof rozumieją wszyscy; ujęta jest tak, że pojmie ją w lot nawet najprostszy kmiotek francuski, ot, taki „Nicolas" — nasz durny Jasio — z przyśpiewki wiejskiej, toteż do niego właśnie zwróci się poeta w jędrnym refrenie swej piosenki.

Nakładem najbliższych przyjaciół, w r. 1884, ukazuje się pierwszy zbiorek wierszy sędziwego Pottiera. Tomik niewielki, zbyt szczupły nawet. Międzynarodówka pojawiła się drukiem dopiero w drugim, obszerniejszym już zbiorze, wydanym w 1887 pt. Chants Révolutionnaires. W tymże samym roku, późną jesienią, piewca Komuny zamknął oczy na zawsze.

* * *

Cóż pasuje Pottiera na pieśniarza ludu paryskiego? Co wiąże go z piosenką bezimienną, która tętni w Paryżu całym, w uliczkach Belleville czy też Montmartru, na faubourg St. Antoine czy w Clichy? To, że, karmiony żyjącą wciąż tradycją tej pieśni ulicznej, umie poeta, paryżanin z krwi i kości, w wiersze swoje, przerywane raz po raz refrenem bojowym, huczącym nieraz jak marsz w takt werbla, zakląć gwałtowny rytm zdarzeń. Że barwnym stylem, pełnym poezji, a równocześnie ulicznej gwary i jędrności („Marianne a la peau brune, du chien dans l'ventre..." pisze o Francji), wyczarował ducha bruków paryskich „drgających dawną barykadą", że wyraził „gawroszostwo" stołecznego andrusa ginącego w boju z łobuzerskim wprost bohaterstwem. Że wreszcie misternym kluczykiem jednego zwrotu czy skrótu potrafi zawrzeć w szkatułce strofy i zdarzenie i jego trafną ocenę. Ocenę wyjętą jakby spod serca ludu. Oto przykład: zwrotka o obaleniu w maju 1871 kolumny Napoleona I (Vendôme) przez lud paryski, gdyż Komuna

...Znienawidziła Bonaparta
Na kolumnowej wysokości,
I wojen kult, co — tam do czarta! —
Stał się obelgą dla ludzkości.
Niech więc grzmi Chauvin, niech ujada,
Kolumny z brązu groźne zręby
Już padły, jak z kart domek pada...

Komuna przecież przeszła tędy!

Ten, który trzykrotnie na przestrzeni lat czterdziestu stał murem i bronił paryskich barykad, poeta Eugeniusz Pottier, jest więc heroldem proletariatu. „Podczas masakry roku 1871 — pisze w swej przedmowie do Pieśni Rewolucyjnych G. Nadaud — Pottier, stary weteran walki, nawąchał się prochu, a cała krew przelana dźwięczy jeszcze dziś w jego głosie...“ Tą krwią było życie komunardów, oddane za sprawę proletariuszy wszystkich krajów, nie tylko kraju francuskiego.

Ostatnio znakomity niemiecki pisarz proletariacki, płomienny poeta-trybun, Erich Weinert, wydał w Kijowie obszerny zbiór znakomitych przekładów poezji Pottiera na język niemiecki. Wstęp, którym poprzedza tomik przekładów, rozpoczyna takimi słowy:

> „Od początku tego stulecia śpiewali robotnicy tę pieśń, która stała się po wojnie rewolucyjną pieśnią bojową proletariuszy wszystkich krajów i którą zwycięski Związek Radziecki uczynił hymnem potężnego kraju swojego, MIĘDZYNARODÓWKĘ.
>
> Któż zapytał kiedykolwiek o tego, który napisał jej tekst? Znawcy literatury byliby odpowiedzieli: niejaki Pottier, poeta robotniczy, komunard z 1871...
>
> Jakiż ukryty skarb odkryłem jednakże, gdy otrzymałem z Paryża zbiór wierszy Pottiera i weń się wgłębiłem. Tutaj objawiła mi się od razu śmiałość języka, jakim przemawiać potrafi jedynie ktoś, u kogo świadomość rewolucyjna i namiętność bojowa znajdują się w pełnej równowadze. To język tak pozbawiony obsłonek, jaki w rewolucyjnej poezji XIX wieku z trudem znajdziemy po raz drugi. Sądzę, że słusznie można uważać Pottiera za pierwszego proletariacko-rewolucyjnego poetę Francji. Proletariuszem był z pochodzenia; proletariacko-rewolucyjnym było jego ofiarne braterstwo wobec wyzyskiwanych, jak też jego nieubłagana nienawiść do burżuazji i jej zakłamanego patosu „wolnościowego“; proletariacką była publiczność, dla której pisał i do której przemawiał; proletariacko-rewolucyjną była bezkompromisowość jego żądań zmienienia świata, był jego zdrowy instynkt, który uchronił go przed tym, by rozliczne prądy polityczne swego czasu ściągnęły go z właściwej drogi.“

Weinert zrobił już wiele. Ale to początek dopiero. Pottier, pieśniarz nieznany, zdobędzie sobie drogę do serca radzieckich czytelników. Albowiem podobnie jak ruchy rewolucyjne z Francji brały jedynie początek, aby następnie ogarnąć płomieniem świat, tak i paryskie pieśni komunarda Pottiera muszą się stać, na wzór jego Międzynarodówki, własnością wszystkich narodów.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA

CZTERY FRAGMENTY POEMATU „LONT"*

I

ZAMIAST WIEŃCA

W opowieści mej rytm wzburzony,
między pięści, przekleństwa, kraty,
niby łańcuch, i krew, i płomień,
myśl o Tobie,
Ojcze,
się wplata —
Ty ich znałeś,
Ty ich widziałeś,
z Burym prawdę tropiłeś przez szpalty...
i jak Karol
szedłeś ulicą,
i wiatr
szarpał twe palto.

Tu bez zmiany,
ucisk i nędza —
Komuż mówię?
Nie sięgną słowa...
W danych z frontu buntu i krzywdy,
w ogniu walki nieukończonej,
trwasz —
nieżywy,
płoniesz —
zagaszony.

I nie przyjdziesz,
i nie usłyszysz,
wiatr sznur deszczu
w gałęzie plącze —
jak daleko,
i w jakąż ciszę

* **Poemat „Lont" został napisany w Warszawie w r. 1936—38.**

Ty odszedłeś
na zawsze —
Ojcze...
Nie, nie przyjdziesz,
nigdy nie ujrzę,
mego okna
jak szukasz w górze,
jak uśmiechem
skąpszym nad ostrze,
witasz kwiaty,
psa,
drzewa duże
w deszczu dobrym,
deszczu znajomym...

(Lecz kto inny przyjdzie tu kiedyś,
Twój wnuk, Ojcze,
i wniesie w darze
niepojętym cudem dziedziczeń:
odblask Twojej dawno zagasłej,
a wciąż jeszcze płonącej twarzy —
jak piętno walki, buntu odbicie...)

Myślałam bez sensu, dziecinnie,
tak głupio jak nikt na świecie,
że ja
i mój ojciec
na pewno,
na pewno będziemy żyć wiecznie.
To zupełnie było niemożliwe —
przestać pragnąć,
czy przestać walczyć,
czy nie słyszeć kroków żarliwych,
kroków cichych, kroków upartych.
Tak mój ojciec chodził co wieczora.
Poprzez pokój. Od drzwi do drzwi.
Tak mój ojciec krążył pochylony,
błękit oczu
lodowo
lśnił.
Jak ptak złapany w sidła,
jak niedźwiedź zakuty wśród krat,
chodził, krążył, w starym palcie, dotąd widzę
zgięte plecy, nieugięty kark.
Myślałam: wyłamię kraty.
Marzyłam: wyważę drzwi.
Gdybyś wiedział, zaśmiałbyś się tylko:
„Rewolucja! Rewolucja... Cóż — ty".
Gdybyś wiedział jak targam się teraz,
jak nie mogę uwierzyć w śmierć...
Twoim głosem huczą wielkie drzewa,
Twoim śmiechem szumi nocny wiatr,
czarna ziemia,
srebrzysta ulewa:
„Rewolucja!
Rewolucja...
Cóż — ja".

I wciąż się dziwię jeszcze... Wszystko, przecież było
pełne przeczuć:
wiatr chmury targał ze złą siłą,
krzyż kościoła jak żądło błyszczał w słońcu białym,
pociąg gnał tak straszliwie,
i serce tak gnało...
A nagle, wśród wzgórz, w dali, obudzone ze snu,
dziecko jakieś zaniosło się płaczem bolesnym.

I wciąż się dziwię, czemu, czemu nie pojęłam,
czemu milczał wiatr, chmury, i serce, i drzewa,
o gdybym coś przeczuła, przybiegła na pomoc —
gdyś zapatrzył się w przestrzeń z grozą nieruchomą...
Ty także nie wiedziałeś. Została na stole
mała kartka urwana, litery znajome,
którą czytałam stokroć, dziko, jakbym kradła,
powtarzałam na pamięć, próbowałam zgadnąć
wszystko niepowiedziane, wszystko nieskończone,
zawarte nie w zdań sensie, nie w myśli i słowie,
lecz
w żałobie ołówka,
w martwej bieli kartki,
w samym niedokończeniu:
— jak oddech zaparty.

Ten myślnik jest jak droga, którąś jeszcze odbył,
a punkt czarny — jak ciemność, co zalała oczy...
Jak ostatnie zdumienie, jak cisza nicości,
jak samotność ostatnia Twojej samotności.
I czytałam raz jeszcze. Poleceń i żądań
szukałam
jak w najdroższej twarzy wciąż milczącej,
co mrokiem już zatarta, jeszcze się oddala...
„Słuchaj,
pojechałem
do szpitala. —"
I poznałam, tak nagle, żeś chociaż nie wiedział,
toś tą kartką zakańczał, wskazywał, ostrzegał —
żeś nie wiedząc — wiadomość mi przesłał dokładną
jak S. O. S. krótkie, łodzi, która idzie na dno...
Że w tym punkcie, i w kresce, w lakonicznym zdaniu,
była mądrość straszliwa, okrutne poznanie,
i pożegnania uśmiech, rezygnacji grymas,
i ostatnie złudzenie, nadzieja żarliwa,
że może jednak, jednak, niekiedy, czasami...
i nad własną nadzieją wzgardliwy ruch ramion.
Dwa razy się przede mną sens zdania odsłonił,
dwa razy mięłam oczy, zaciskałam dłonie,
dwa razy w ciągu godzin czytania słów paru
zmienił się obraz życia, zmienił śmierci zarys —
i tak z kartki tej małej, i z nocy ogromu,
i z pałających okien oświetlonych domów,
odcyfrowałam wtedy Twój cały testament,
bohaterski,
samotny,
— nigdzie nie spisany...
„Słuchaj,
pojechałem do szpitala. — "

Punkt jak ciemność, jak śmierć i nicość,
potem: myślnik, po punkcie — myślnik...
Mała kreska... Odcinek prostej...
nieskończoność —
kierunek —
rozkaz —
„Pojechałem“.
Tak. „do szpitala“.
I śmierć potem...
— Nie pójdę dalej.
Lecz ty pójdziesz,
ty będziesz żyła,
w nieskończoność,
przez gniew i miłość,
prosto, dalej,
w czynach i dziełach
dasz to wszystko,
coś ze mnie wzięła,
ze mnie,
z czasów,
z życia jak koszmar,
z nocy we krwi,
jak w rosy kroplach,
z jęku kajdan,
z łomotu salw,
tak,
wciąż prosto,
tak,
i wciąż w dal.

Wśród ciemności,
w poprzek nieboskłonów,
równoległa do słońca promieni,
wskazująca kierunek ziemi,
jak most ze stali,
jak łańcuch iskier,
jasnym
płomieniem
się pali
ta linia
przez trzy punkty wytyczona:

M A R K S

L E N I N

S T A L I N

W tym drzewie, na któreś patrzył,
zostały myśli Twoje, Ojcze.
Te z potęgi,
i te z rozpaczy...
Teraz
wiatr je
szumiący
plącze.
Ściany domu, wśród których żyłeś,
przesiąkły Tobą jak krwią.

Płyniesz w ścianach,
spływasz w me żyły,
jesteś we mnie —
jakbyś był mną...
Jesteś we mnie, chodzisz jak po schodach,
z oczu w serce, z serca w spiekły mózg:
plecy zgięte
oczy wbite w oddal,
twarda linia milczących ust.
Jesteś we mnie, jesteś naokoło,
przypływasz od ścian,
od drzew —
serce miażdży,
rozsadza czoło
z żalu wzrosły,
zażarty gniew.
Słuchaj, Ojcze, wiatr kanonadą
wpadł w podwórze
i grzmi jak działo —
Słuchaj, Ojcze, by łańcuch zerwać,
czasu nie stało,
sił ci nie stało —
Słuchaj,
drzewo,
w wichurze
warczy —
twe myśli huczą,
wrą
jak sztandar.
Te rozpaczy...
I te — potęgi!
Dziś
łańcuch
rwie
Hiszpania,
jutro:
Francja,
Chiny,
i Węgry!

Ja także mam swego świętego,
patrona i męczennika,
choć w bogów nie wierzę od lat.
Relikwii po nim niewiele:
buty zdarte, zmięty kapelusz,
i zegarek, który już tykał,
zanim przyszłam na świat.
Mój święty miał oczy zmęczone,
jak stal twarde,
jak ogień suche;
mój święty miał mocne dłonie
do końca
skute łańcuchem.
Mój święty był zwykłym człowiekiem.
Żadnych cudów.
I nic z objawień.
Żył i umarł w kamiennej niewoli,

w kamiennej,
katorżnej
Warszawie.
Żył —
i umarł —
i nie zmartwychwstał —
i nigdy już się nie dowie
o Asturii. Owiedo, Kordobie,
o Holandii,
o San Francisko.
Nie zakreśli ołówkiem, jak przywykł,
nie przeżuje drgnieniem warg twardych:
płonących jak dachy statystyk,
krwią zbroczonych komunikatów —
choć przychodzą ciągle na nowo
ze wszystkich frontów świata,
i choć dalej krew proletariatu
przez pola się leje i szpalty.

A jednak
czyś Ty przestał trwać?
Jak błyskawica z burzy
wytryska wąska twarz,
to czoło się wynurzy,
to skronie —
gdzie
Linz konał,
gdzie nie poddaje się Madryt...
Ty,
wciąż żywy chociaż umarły,
wciąż płonący choć zagaszony.

I dlatego
opowieść tę —
Tobie.
Jej pięści, przekleństwa, kraty,
jej łańcuch, krew i ogień —
zamiast
klonu nad wezgłowiem trumny,
zamiast
wieńca na grobie.

II

PROLOG

To jest opowieść wierszem o losach dwojga ludzi,
lecz niekoniecznie całą masz czytać kolejno,
możesz wyrywać z wnętrza ochłapy gorące,
a odrzucać to wszystko, co cię tylko nudzi.
Na scenę, recytację, bierz „proces Karola“,
lub „godzenie do śniegu“, albo „Abisynię“ —
(tysiąc razy musiałam ją dla was przepisać
na Związki, na Wieczory, grając na maszynie,
podczas gdy pochyleni poprzez moje ramię
patrzyliście uważnie, czy was nie okłamię
wierszem innym niż tamten, po który wysłali

was koledzy z art-koła przy fabryce stali),
a dziewczynie swej czytaj złą miłość Celiny,
zanim światło zapalisz,
o wieczorze sinym...

On jest zwyczajny człowiek, przeciętny bohater,
jakich dziś, w czasach walki, wielu dźwiga ziemia,
szczęśliwa ziemia, dumna, że tylu stopami
depcze ją prócz przemocy — śmiałe bohaterstwo.
A ona, to dziewczyna z peryferii miasta,
która do heroizmu idzie przez biologię,
która ciałem swym sprawdza i wolność, i własność,
i bogactwo, i nędzę, i — siłę burżuja...
Trzecim więc burżuj będzie. January Węgrzyn.
Jak ten co wszystko może za swoje pieniądze,
spokojny był i mocny. Przy tym — jak ubrany!
Krawat zawsze wytworny, spodnie prasowane...
I dlatego bez trudu Karola zwyciężył
w Ceśki sercu — dławionym przez żądze.
(Choć jej ojciec zginął za wolność,
choć nosiła go w sercu i pięściach,
Celina nie umiała pójść za nim,
los oszukać pragnęła i szczęścia
zakosztować
pełnymi ustami —
niby te ekspedientki biedne z filmów Ameryki,
które oczarowują „poczciwych bogaczy“
i pławią się w perłach, różach, podróżach i autach,
gdy ich bracia, ich klasa, w krwi się pławi.
A dłoń burżuja, która
umie tak łagodnie
gładzić policzki dziewczyn, do piersi je tuląc,
jest o innej godzinie: stryczkiem dla głodnych,
dla walczących —
zdradziecką w kark kulą.)

Taka będzie opowieść.
„Doktrynerska“,
„ciasna“,
„gardząca tym, co święte“,
(znaczy — przemoc, własność).
I jeśli ujdzie nawet nożycom cenzora,
na strzępy ją rozszarpie
kawiarniana sfora...
Odrzuceni adoratorzy,
paniusie i panowie
„zadraśnięci towarzysko“
a przede wszystkim:
wrogowie,
klasowi antagoniści,
świadomi, podświadomi, instynktowni...
Redaktorzy poważnych dzienników,
krytycy i recenzenci —
coraz groźniej dezaprobują,
coraz pełniej wzbierając niechęcią.
Że niewygodnie?
Oczywiste.

Gdy
„młodociany buntownik“
podrasta
w rewolucjonistę.
Gdy
miast czoła wdzięcznie pochylić
ku rękom bijącym poklask
i skrzepnąć
dla potomności —
on w lewo,
i jeszcze — w lewo,
sercem zażartym rośnie.
I rzecz prosta — już nie pogłaszczesz.
Nie sięgniesz — po ramieniu klepać.
Więc dzisiaj — „ciasny doktryner“,
wczorajszy:
„obiecujący poeta“.

Tak zacieśnia się krąg lodowy.
Tak z dniem każdym pogłębia się noc.
Lecz ja umiem,
jak jaszczurka ogon,
regenerować
złamaną moc.
Lecz ja umiem walczyć i zwyciężać,
i umierać —
jeśli przyjdzie czas.
Rzecz ważniejsza: czy wiersz uzgodnię
z rytmem kroków
idących mas?
I czy knebel nie zdławi pieśni?
Czy potrafię słowo w bagnet zmienić?
S T A M T Ą D kiedyś tryumf nadejdzie
albo klęska —
prawdziwej oceny.

(A i moja muzyka —
inna,
obca tak paragrafom
jak przepisom —
moja muzyka słowa
wprost z aort
ciska.
Słyszysz — chropawo charcze,
czujesz — surowo szumi,
i rytm się łamie ponuro,
i asonans jak skrzydeł wiew —
to oddech, to serce, to skóra,
i paznokci też w tym jest udział,
a włosy rosną w strofach
kędzierzawe
jak czułość i gniew.

To nie dla was, miękkouste snoby,
takie słowa —
gorączkowe, twarde.
To są słowa dla warg zaciętych
i dla chropawych gardeł.

To nie dla was sprzedajni poeci
pieszczący się głoskami —
to dla takich z czołem w krwawym pocie,
z dłonią —
bez plamy.

To nie dla was kłamcy i tchórze,
upiory „czasów pogardy".
To dla odważnych,
to dla walczących,
te wiersze —
dla gniewnych i hardych.)

III

CIEŃ CARMENY

(rozdział 10)

Ceśka pracę dostała u Brackich,
chleb kroiła, ważyła mąkę,
i co wieczór Węgrzyn odchodził,
i co wieczór powracał znowu,
i kuoował bulion, ryż, chałwę,
on co sług miał trzy w swoim domu —
i cukierki dzieciakom dawał
wypytując je pokryjomu:
— Co też czyni Ceśka dzień cały,
z kim spotyka się,
kogo zna —
taki pyszny, w palcie wspaniałym,
w zabłoconym sklepiku stał...

Mała Krysia oczami jak ogień,
patrzyła na nich z kąta,
a widziała jak przez mgłę szumną,
a słyszała — piąte przez dziesiąte.
Dorabiała słowom ogony,
dorabiała twarzom pióropusze,
i odpływał Węgrzyn balonem,
Ceśka miała łapki ropusze...

Potem znowu się rozjaśniało
i z wieczorów wypływał ranek —
i konała Krysia, i żyła,
i nad łóżkiem giął się kochanek,
a co mówił, nie słychać z kąta,
co tam mówił piąte przez dziesiąte,
głosem zwitym ze wszystkich głosów,
twarzy zlepem z bliskich i obcych,
naraz dwugłos Węgrzyna i Ceśki,
nad maligną wyraźnie się wznosi:
— Oddałem ci się w ręce,
jak chcesz mną teraz władaj.
— Własności nienawidzę,

i lękam się posiadać.
— Zobaczysz co się stanie,
jeżeli mnie odepchniesz...
— Tacy jak pan nie giną
dla takich jak ja dziewczyn...

Wtedy ją przywołała,
tę z dwugłosu — kobiecą,
mała Krysia,
i w ucho
zaszeptała w gorączce,
źrenic krążki jak sowa
albo kot —
rozszerzając.
— Ja ci nie mówiłam, nie mówiłam wcale,
że się do Hiszpanii wybiera twój Karol.
Ja ci nie mówiłam, Lodzia zabroniła,
tam przecież strzelają, tam krew rzeką płynie.
Ja ci nie mówiłam, teraz powiem wszystko,
już mi przecie jedno, już mi na śmierć błyska.
Na śmierć jak na burzę... A powiedz ty, Ceśka,
czemu ja umieram choć czternastoletnia?

Skoczyła Ceśka po chustę,
jak wiedźma co skacze po miotłę —
nie spostrzegłaby wcale Węgrzyna,
który czekał w wieczorze wilgotnym,
ale chwycił ją w przejściu za łokieć,
w skrzydła chusty się wczepił oburącz:
— Czarodziejko, włóż na mnie spokój,
czarownico, zdejm ze mnie urok —

Popatrzyła tak, jakby zabić
tym spojrzeniem chciała natręta.
— Paszoł won raz do swojej Alji,
na diabła tu się pętasz!

Całe miasto wzdłuż i wszerz przebiegła,
szukała go w bramach i w tramwajach,
zaglądała w twarze przechodniom,
przez pięć ulic ją wiódł byle knajak,
który z chodu się wydał podobny
do Karola — czy z ramion chybotu.
I jak pies przewęszyła Wolę,
i jak suka obiegła Mokotów,
i zgoniona stała pod murem,
klnąc go w gniewie, błagając w żalu,
by się nie krył tak bezlitośnie,
by łaskawie dał się odnaleźć —
Jeszcze poszła, gdzie z gazet na murze,
wypisują adresy bezrobotni,
i jeszcze pod „Cyrku" bramę,
na „Opieki" zaplute stopnie,
ale nigdzie jego nie było,
i ciemne,
jak żałoba,
okienko dawnego mieszkania,

i serce —
bardziej niż od zmęczenia
bolało,
od daremnego szukania...

A przed dancingiem „Lido"
prężył się rząd limuzyn,
a przed dancingiem „Lido"
w neonu kroplach,
w różu,
portier,
w ukłonów tańcu,
objawiał muzom dancing:
otwierał drzwi, i damy
(z panami), niby plamy,
znikały: pstre, kosmate,
z ulicy czarnej szmaty.

Lecz oprócz dam i aut,
przed „Lido"
był ktoś jeszcze...
I kąpiel w neonach brał,
i zaglądał w szumiące wnętrze,
i krążył,
i znów stawał,
i patrzył w drzwi po psiemu —
kołnierz miał postawiony,
czapkę mocno wciśniętą.

I ujrzała go Ceśka.
I oczom nie wierzyła.
Aż w śmiech się ból zamienił,
w szyderstwo —
lęk i miłość.

— Rany boskie! Ja od pół roku
nie pracuję w tym interesie,
a ten stoi! Co dzień tak stoisz?
Pewnie lubisz słuchać orkiestry?
Odrzekł jakby wczoraj ją widział,
brew nie drgnęła nad oczu głazem:
— Nie pracujesz? Więc po coś przyszła?
Żeby słuchać orkiestry razem?

Obojętność tak niespodziana
jak policzek zapiekła Ceśkę —
Zapomniała, jak go pragnęła,
jak szukała go dziś po mieście,
o swym lęku też zapomniała,
i o Krysi, i o Hiszpanii,
zębów ostrze wściekle zarwało,
by znieważać, szarpać i ranić.

— Napisałam ci, że odchodzę,
po coś przyszedł? Nic nie odmienisz...
Zostawiłam ci list na stole,
a klucz —
pod słomianką w sieni.

— Nie wiem, na co przyszedłem tutaj.
Tyś mnie widzieć pewnie musiała.
Wiatr cię wygnał z domu wiosenny,
mnie wiosenna noc tu przygnała.

— Dokąd niebacznie zaprószony
będzie twych oczu ogień groził?
Między nami tysiąc przepaści —
dokąd będziesz je przesadzał jak kozioł?
Dokąd, dokąd wstecz będziesz patrzył,
kiedy, kiedy wreszcie zapomnisz —
...jak za źrebiątkiem rżenie klaczy
twój żal po mieście za mną goni.
Twój niepatrzący wzrok przyzywa,
twój ból po nocach rwie jak blizna,
i nieobecność natarczywa,
i milczenie —
gorętsze od wyznań.

— Ech litościwa, rok wyczekała,
i nagle — żal jej, i nagle — blizna!
Powiedz mi lepiej, iluś złowiła,
i do którego należysz, przyznaj.
Jakie masz stroje za swojej skóry
jedwab, aksamit, złocistą śniadość?
Za swoje włosy — palto z karakuł
dostałaś,
czy też z innego gada?
A twoich oczu błyski bezcenne,
i zębów ostrze, i śmiechu fale,
na jakie skarby powymieniałaś,
na jakie perły i korale?

— Nieważne, kogo całują usta,
gdyś ty przeminął...
Nieważne, czym jest zła albo smutna,
nie z twej przyczyny.
Ucichł już pęd mój, ogień, gorączka,
głód nieustanny —
dokąd mam spieszyć i czego żądać,
gdyś ty poza mną?

Księżyc zbladł nad dachami,
skończona magia nocy —
na swe brudne przedmieście wracaj czarownico,
to nie apasz z powieści czy z kina,
to — bezroboczy...
Cóż pomoże malowniczo rozwiana chusta?
Płynącego czasu nie powstrzymasz...
I dancing już dogasa...
i rozpływa się w dali limuzyna...

— Pomyśl, pomyśl, póki czas jeszcze...
Zastanów się nim zaświta —
komu chcesz swą słodycz ofiarować?
Komu dać swą wspaniałą dzikość?
Głód i zimno zbudziły się w ciele,
dość już mają romantycznych wymysłów...

Język — palce — kolejno — jak nieprzyjaciele
domagają się,
niecierpliwią:
najgorętsze usta nie zacałują kryzysu.
Któż ja jestem? Patrz. Tu latarnia...
Ręce zobacz, ubranie, głowę —
Widzisz? Facet.
Widzisz? Jak wielu.
Prosty, ubogi człowiek.
— Moc uciułanej czułości,
słodycz jak ogień gorącą,
mam po to, aby
grzać cię i poić
piesku mój,
panie,
dzieciątko.
Wszystko com wzięła,
wszystko com dała,
to po to, aby
z tobą podzielić.
Śmiech co prześmiałam,
łzy co przelałam,
to po to, aby
w gniazdo dziś wścielić.
Lasy co szumią w twych włosów gęstwie,
to — abym bała się, że zabłądzę.
A oczy twoje i twoje zęby,
to — abym miała na własność słońce!
A nocy po to jest miód i topiel,
abyś mnie nie mógł z objęć wypuścić,
a sny są po to, aby nie rozpleść
ciał zaplątanych na jeden uścisk.
A wszystkie lata co przeminęły
gorzkie i dzikie,
puste i tęskne,
to po to, aby wiedzieć na pewno,
że tyś jest miłość, że tyś jest szczęście.

A było coraz jaśniej,
zabrzęczał wóz z mlekiem,
i statek z Wisły zawył
przeciągle — daleki...
— Pięć za złoty, hiszpańskie! —
wózkarze krzyknęli,
zamilkli wszyscy naraz —
Czy to cień Carmeny?
Burżuje zmięci knajpą,
wrzuceni w świt ostry,
prostytutki skurczone,
kelnerzy,
dorożkarz,
i pies bezdomny, pod brzuch
kryjący psi ogon
(w przeciwieństwie do damy
co ma ogon lisi,
a dźwiga go na szyi,
i skrywać nie myśli...).

Wszyscy się zasłuchali,
wszyscy ją ujrzeli,
strojną w piosnki hiszpańskie,
w dzwoneczki maneli,
taką z oper i z tanga,
z dymnych knajp,
z mózgów tłustych:
sztylet, maska, vendetta,
i szatańska rozpusta...

— O Carmen,
jakiej melodii w kastanietach
dziś słodycz drży?
— To nie słodycz, to nie melodia,
płomień gniewu i płomień krwi.

— O Carmen z różą i szalem,
przed kim tańczysz znów,
dziki ptaku?
— Szal mój dawno kule porwały,
gdym biegła do ataku.

— O Carmen,
kogo dziś poisz
twych uśmiechów zatrutym winem?
— Mój uśmiech w wysiłku zastygł,
nad maszynowym karabinem.

— Gdzie twój żołnierz,
co kochał wiernie?
Gdzie czarnooki marynarz?
— Oni faszyzm jutro zwyciężą,
albo z miastem złupionym zginą.

— Ty chcesz jechać — wyrzekła Ceśka.
I policzki jej wpadły czarno,
w blasku świtu zmieszanym jak koktail,
z mdłym, bolącym blaskiem latarni.
— Tak, chcę jechać — odrzekł surowo.
Już nie patrzył na nią jak przedtem,
zanim ostre kontury domów
w strzępy zdarły nocne powietrze.

I wracała Ceśka do Brackich,
z opuszczoną, z bolącą głową.
Pocieszała się: w demonstracji,
przecież ujrzę go jutro znowu.
A nim weszła do ciemnej sieni
już poczuła
instynktem zwierza —
i na pierwszym progu utknęła,
i włos trwożnie nad czołem się zjeżał...

Mała święta czternastoletnia,
męczennica ciotek i babek,
umierała na złą gruźlicę
w ten promienny,
wiosenny poranek.

Wyciągnięta w żelaznym łóżku
z chustką w dłoni,
z lodem przy ustach,
śniła, wiła w suchotniczej agonii
snów płomiennych diabelską rozpustę.

Łzy kapały z lica sąsiadki,
słała córki po świece w miasto:
— Idźcie prędko bo dzisiaj święto,
sklepy zamkną przed jedenastą... —
I ksiądz dzwonił u progu stary,
niósł pierniczek dla małej bielutki,
ciskał krzyżem w oczu moczary,
w gąszcze, noce, mgły, niezabudki.
Jak anielską ma dziś twarzyczkę...
— Jak nabożnie, pogodnie kona...
jazgotały
jędze, świętoszki,
całe w kokach, w brodawkach, w szponach.

Te od chustek do obrębiania,
te od kurzów ścierania, od szklanek...
— Krysiu, Krysiu jak skończysz lekcje,
to zamieciesz korytarz i ganek!
— Krysiu, Krysiu dosyć biegania,
bo znów na klucz zamknę
...w klozecie.
A pożółkła siostrzyca-wdowa
co najwścieklej dręczyła małą:
— Jak z śmierdzącym jajkiem — kwiliła
— tak z tym dzieckiem wciąż się cackałam...

Konająca ominęła je wszystkie,
w oczach ciemnych płonął inny wszechświat,
nie wpuściła żalu ni gniewu
w serce wrące
czternastoletnia.
I śpiewały gałęzie, ptaki,
i wiatr włosy jak oddech rozwiewał,
gdy chwytali znienacka, w krzakach,
karki dryjad —
chłopcy z przedmieścia,
kiedy skórę piętnowała dziko
zębów ostrych różowa pieczęć,
gdy pełzały
dziewczynki zmierzchem
po
gladiolusów miecze...

Tak topniała odważnie, słodko,
w jasny ranek,
mała męczennica —
tak płonęła na podziw ciotkom:
wiosna, czystość, krew i gruźlica.
A że drzwi ktoś nie domknął wychodząc,
— pięć za złoty, hiszpańskie! — się wdarło...

jak cień Carmen o włosie rozwianym
wściekłym pragnieniem życia,
i —
śmierci pogardą!

IV

WIOSNA 1937

(rozdział 12)

I już oto była na Wolskiej...
nie wiedziała kiedy tam zaszła...
Dygotała
w powietrzu ostrym
twarzy tłumu płomienna masa.
Kogo miała pytać?
Szła z nimi.
Karol był tu —
stukały pięty.
Podpierana ramionami bratnimi,
razem z tłumem śpiewała:
Wyklęty
powstań
ludu
ziemi...

Ciskacze lontów, dynamitardzi,
nieustraszeni, zuchwali, hardzi,
na czele tłumów, z pięścią wzniesioną,
szli dziś na miasto, huczeć i płonąć.
Za tłumem, brzegiem, skrajem, krawędzią,
wyrostków armie gwiżdżące pędzą,
ich cienkie nogi, kopytka sarnie,
sadzą skokami ponad latarnie.

(Co krwią i żywiołem było,
rykiem ulicy,
tętnem miasta,
socjalwodzowie
dyskusji piłą
piłowali
do jedenastej.
Sekretarz skrobał ołówkiem,
przewodniczący
warczał jak tank —
Szynka butersznytów purpurowa
płowiała
pod słońcem lamp...
O dziewiątej była już różowa.
O dziesiątej —
biała.)

Tłum się nie cofnął,
tłum się nie uląkł,
w słońcu odkryte
głowy niósł kulom,
a oni przodem,
dynamitardzi,
ciskacze lontów,
wyrostków tłum,
kobiety z dziećmi,
dziewczęta,
starcy —
przed nimi łuna,
nad nimi bunt.
Od bark nacisku pękały mury,
od oczu błysku trzaskało szkło,
głowy wzniesione,
pięści do góry,
bunt i braterstwo,
duma i złość.

Karabin,
karabin maszynowy
u wylotu ulic zaskowytał.
Granaty,
granaty zapałowe
różami ognia rozpękły —
i
niby wieńce cierniowe,
zawisły końskie kopyta,
ponad czołami
nieulękłych.

Ceśka się pochyliła: to robotnik Bury
błękitnymi oczami, już cichy, patrzył w błękit...

Na paltach go złożyli,
ponieśli...

— No, ostrożnie tylko, nie szarpcie —

Ceśka szła krok za noszami,
niosła szalik zmięty i czapkę.

„Królowa Maria Jugosłowiańska
padła zemdlona
— tak doniosły gazety —
na wieść o króla śmierci tragicznej..."
A Marii polskiej ani to w głowie —
niestety.
Marii warszawskiej.
Robotnicy.
Nim go wnieśli we krwi,
już wiedziała.
Nie jęknęła.
Nie zachwiała się nawet —

zabiegały palce:
bez ratunku,
zwierzęta osaczone obławą.

Poszła Cećka do dawnego mieszkania,
klucz, jak serce, wciąż jeszcze do tych drzwi pasował —
i czekała,
czekała długo,
na znajome kroki po schodach.
Ale Karol nie wrócił na noc,
nie powróci też dziś ni jutro —
Cećka czyta gazetę zmiętą,
od rąk wielu,
oczu jak ukrop.
— Aresztowany, aresz-to-wany, a-resz-towany,
Maria poszła do kuchni po lampę...
W mroku, po omacku, na oślep,
bez oddechu.
Jest.
— Karol Amper.

Znów deszcz padał,
znów paczkę nieś —
do procesu,
miesięcy sześć.
Od zamknięcia,
więcej niż rok —
w krat żelazie,
żelazny wzrok.
— Słuchaj, Karol, zaniosłam kartkę,
już ją Kical dał na drukarnię,
i już jutro strajkiem potężnym,
robotnicy poprą krzyk więzień.
Słuchaj, Karol, dziecko chcę wziąć,
cóż że ciężko, siły mam dość,
Słuchaj, Karol, wczoraj tam byłam,
twoje oczy ma, twoje imię,
słuchaj, puszczą ciebie przed wiosną?
Znowu razem, syn będzie rosnąć...
Czemu milczysz? Czemu tak patrzysz?
Możeś jednak mi nie przebaczył?
Powiedz... Jestem znowu w twym sercu?

— Tak, Cećka.
Aż do śmierci.

A kiedy skończył pan prokurator,
kary żądając jak najsurowszej,
młody robotnik,
więzień wychudły,
wybuchnął ogniem,
zaświecił ostrzem.
Długo
żuły wargi stalowe

po nocach śledztwa,
po dniach więziennych,
płomień gorący,
szmatkę skrwawioną:
ostatnie słowo.
Długo
narastał,
ode dna dymił
ogromny pożar,
tłumiony gniew
(— Czy oskarżony przyznaje się do winy?
— Ja nie czytałem,
ja nie krzyczałem,
ja tak... bez myśli,
ja... wcale nie).
Długo,
dwa lata —
chwiała się szala.
Długo,
dwa lata:
rok,
czy piętnaście...
Dziecko i żona.
Partia.
Robota.
Bez romantyzmu!
Nie gubić się!

A teraz kiedy: przewód skończony,
a teraz kiedy: najwyżej cztery...
— Wszystko kłamałem. To jest taktyka.
Mój był rewolwer, moje papiery!
Wszystko kłamałem.
Nie chciałem siedzieć.
Dla rewolucji potrzeba ludzi.
Lecz prokurator stronnie przedstawił.
To w błąd wprowadza.
Nie mogę dłużej! —

Przewodniczący
zawołał:
— Dosyć!
Oskarżonemu
odbieram
głos! —
Twarze się wzdęły jak albatrosy,
w skoku się sprężył bagnetów most.

Wyprowadzali... on jeszcze mówił.
Zdanie za zdaniem.
Za krokiem krok.
Sąd je najściślej
zważył,
przeliczył —
...za każde słowo dołożył rok.

Bohaterstwo naszych dni
ma kajdany za wieniec wawrzynu,
i nie tarcza dźwiga ciała poległych —
asfalt.
Karol Amper
na piętnaście lat
dziś odjeżdża karetką z miasta.
Po dynamice
ulic, walk,
pracy, pościgu, obstrzału pytań,
i ostatniego słowa —
w łagodny kołyszą takt
cztery stukoczące kopyta,
cztery cmokające koła,
i piętnaście czekających lat.

Nieruchomy biały nieba blask
nad zieloną czapką dozorcy...
a zielone, żywe drzewo — tam —
na podwórzu Śledczego, w nocy —
Nieruchomy spoczywa wzrok
w białą oddal cicho wpatrzony,
na kolanach złożona dłoń
leciuteńko łańcuchem dzwoni.
— Jakby żony, dziecka nie zostawił —
to dozorca woźnicy, z podziwem.
A woźnica: — jakby nie wiedział,
że już na świat nie wyjdzie żywy —

Amper nie oddala się w śmierć,
on przybliża
każdym kół obrotem —

dzień,
gdy ruszą jak kra na rzece,
Amper nie odsuwa się w samotność,
on przyciąga
nieruchomy księżyc

oceany
gniewu i zemsty,
pięści tłumów,
zwycięzców kroki...

Zamknął oczy, poddał się kół
chwianiu łagodnemu jak kołyska:
pęknie miasto — jak kra — wzdłuż szwu
krwi przelanej,
wzdłuż śladu, który karetka odciska...
i ruszy (jak suka rozżarta
za najmilszym swoim szczeniątkiem)
na mury katorg,
na lufy armat,
wszystkich
Karolów
Amperów

u w o l n i ć !

ALEKSANDER DESNIAK

ORDER LENINA

Nauczyciel Todos Myhdaj nieraz już przyjeżdżał do Moskwy. Ale nigdy nie był tak podniecony, jak teraz. Naprędce rozpakowawszy rzeczy w hotelu, ogarnął się: przewiązał nowy krawat, starannie przyczesał swoje rudawe włosy, strzepnął kurz z granatowego garnituru i pobiegł na plac Czerwony. To było jego zwyczajem: przed pójściem w moskiewskie ulice spieszył pokłonić się wielkiemu Leninowi.

Na placu Czerwonym było rojno. Długie szeregi moskwiczan i przyjezdnych sunęły ku mauzoleum. Słońce stojące nad domami obsypywało blaskiem ząbkowane szczyty Kremla, grało refleksami rubinowych zórz na strzelistych iglicach wieżyc, nawierzchnia placu lśniła jak lustro. Pod prastarymi masywnymi murami Kremla ustawiały się w szereg cienkie, delikatne jodły, otaczały mauzoleum zielonym wieńcem. Uroczysta cisza dokoła mauzoleum przejęła Myhdaja do głębi duszy, gdy naraz ze skrzyżowania ulicy Gorkiego, od hotelów „Moskwa“ i „National“ gruchnął zgiełk wielkomiejskiego ruchu.

Za Myhdajem stała kobieta z dzieckiem na rękach. Zajęty swoimi myślami, nie zwrócił na nią uwagi, bo też na pierwsze wejrzenie kobieta niczym nie różniła się od kołchoźnic, jakie we wsi swojej widywał codziennie. Ale dziecko wyciągnęło pulchne rączęta do jego krawata i uśmiechnęło się... Myhdaj lubił dzieci, odpowiedział na wyciągnięcie rączek:

— Błękitny kolor wpadł w oko... aha! Chłopak czy dziewczynka? — spytał przyglądając się kobiecie. Wyglądała na jakieś lat trzydzieści osiem, czterdzieści. Pociągająca była ta zdrowa, opalona twarz, zwłaszcza szczere wejrzenie czarnych, łagodnych oczu. Kobieta szepnęła spieczonymi ustami:

— Chłopak, Fedźko, niedługo chodzić zacznie — powiedziała i wygładziła kolorową, cienką kołderkę na nóżkach dziecka. Wpatrywała się w tłumny plac, w surowe mury Kremla i z lekka pokołysała syna na rękach. — Ot, jaka ta Moskwa...

— Pierwszy raz? — spytał Myhdaj, spostrzegłszy w oczach kołchoźnicy jakiś wyraz spłoszenia.

Kobieta jakby ukradkiem popatrzyła na młodego Myhdaja, na jego nos osypany drobnymi piegami, zajrzała w jego dobre, szare oczy i, usłyszawszy ojczystą mowę, powiedziała ufnie:

— Pierwszy raz... Tyle maszyn... Brzęczy, terkocze, szumi... A domy jakie... Ludzie ciągiem dokądś pędzą... Aż lęk bierze.

Dziecko nie odrywało oczu od niebieskiego krawata, wyrywało się, żeby go dotknąć. I Myhdaj, schyliwszy się do cieniutkich, lnianych kędziorków, powiedział:

— No, Fedźko, nie trzeba się bać. Po pierwsze nasza Moskwa... Widzisz, zuchu... niegdyś i mnie tak samo matka dźwigała, owiniętego w serdaczek. — Klasnął językiem. Chłopczyk roześmiał się i machnął rączkami z radości:

— A-a-a... A-i-a-a-a...

Kobieta, postąpiwszy dwa kroki naprzód, spytała:

— Tam mieszka Stalin? — wskazała oczami na dach budynku wyglądający spoza murów kremlowskich. — Ot, chciało by się popatrzyć.

Myhdaj nie zdążył odpowiedzieć, kiedy kobieta znowu spytała:

— A to stanęło ludu w kolejce. Nie widziałam takich, póki żyję.

Myhdaj obejrzał się... Wśród ubrań i sukien przeważały jaskrawe, żółte i błękitne chałaty, migały złotem tybetejki, połyskiwały w słońcu ogorzałe, jak z miedzi twarze.

— To uzbecy. W stepach mieszkają, daleko.

— Wszystkie narody tu idą, jedną drogą — mówiła kołchoźnica.

Rozmawiając, zbliżali się do mauzoleum. Kobieta była ciekawa, gdzie leży pochowany Maksym Gorki, kto i kiedy budował mury Kremla, gdzie zwykle stoi Stalin podczas rewij na placu, przez które wrota wchodzi się do Kremla. Myhdaj objaśniał ją, jak zwykł objaśniać swoich uczniów w szkole.

Kiedy weszli na marmurowe schody mauzoleum, coraz uroczystszą dokoła wyczuwało się ciszę. Ludzie ostrożnie przestępowali z nogi na nogę, zdejmowali czapki. Teraz towarzyszka Myhdaja nie pytała o nic, posmutniała, przycisnęła do siebie dziecko, nie odrywała oczu od wejścia. Twarz jej zastygła jak w bólu. Miarowo pokołysała się z dzieckiem na rękach — i Myhdaj zrozumiał, że ta kobieta cierpi: po cichu, w głębi duszy. Czarne oczy kryły w sobie kanwę smutku i dziecko uciszone leżało w kołderce, złożywszy rączki na piersi.

Przed zwiedzającymi pochyliły się czerwone sztandary bojowe. Ludzie w milczeniu przechodzili przed nimi, cicho stąpali po marmurowych płytach. Świeczniki wlewały miękkie światło w mauzoleum. Myhdaj i kołchoźnica przechodzili przed Leninem. Wódz — w szarym frenczu z orderem bojowego Czerwonego Sztandaru na piersi, potężny a tak prosty, tak bliski, zachowując na twarzy surowość burzliwych lat rewolucji i wojny domowej, leżał na czerwonym postumencie. Na wysokim czole Iljicza utrwalił się potężny wysiłek umysłu, napięcie wielkiego serca i głębokiej, szczerej duszy.

Myhdaj wyczuł, że kobieta naruszyła rytm stąpania, obejrzał się... Wysoko podniosła dziecko na rękach, schyliła się nad postumentem i w ciszę mauzoleum padły słowa:

— Przyjrzyj się, Fedźko, to — nasz Iljicz... Lenin. Wrócimy do wsi, podrośniesz, wszystkim będziesz opowiadał, żeś go widział...

Dziecko wyciągało rączęta ku zastygłemu czołu Iljicza. Z oczu kobiety ściekały obfite łzy. Była piękna w swym porywie miłości. Zwiedzający mimo woli wstrzymali kroki wokół postumentu, przejęci tym wielkim wzruszeniem kobiety, wpatrywali się w nią i w dziecko. Kołchoźnica nie odrywała oczu od wodza. Potem, z synkiem na rękach, nisko, do podłogi, skłoniła się przed Iljiczem:

— Od wszystkich naszych kołchoźników... — szybko rozwiązała pakuneczek wydobyty spod kołderki, i położyła na szklanym sarkofagu wiązkę kłosów okazowej pszenicy. W mauzoleum zapachniało polem, ukraińskim stepem kołchoźnianym. Kobieta skłoniła się raz jeszcze, przyciągnęła dziecko do piersi, podniosła głowę i powoli skierowała się po schodach do wyjścia z mauzoleum. Świadkowie odprowadzali ją wzruszonymi spojrzeniami wdychając zapach kłosistej, kołchozowej pszenicy.

Myhdaj pośpieszył za kobietą. Kim była ona, co przyniosła tu zapach płodnej ziemi i miłość ludu? Chciał usłyszeć jej imię, nazwisko, chciał z nią pomówić. Ale kołchoźnica nie oglądała się za siebie, szła prosto, ledwie-ledwie kołysząc dziecko na rękach. Wyszła na plac i omijając zwiedzających, skierowała kroki do hotelu „Moskwa“, poprzez hałaśliwy potok ludzi. Słońce szczodrze złociło jej jasny warkocz, rękawy obszywane w bujne kwiaty i serdak koloru bordo.

Myhdaj nie śmiał biec za nią. Patrzył tylko w ślad, dopóki koło mauzoleum Lenina w bystrym potoku ludzkim płynął ten jasny warkocz. Obraz kobiety z dzieckiem stał przed jego oczami. Myślał o niej, wyczuwał w tej kołchoźnicy coś drogiego sobie, coś bardzo bliskiego. Skarżył się na własną nieśmiałość. Teraz już nie odnajdziesz kołchoźnicy w tym morzu wiecznie śpieszących ludzi.

Myhdaj miał tego dnia dużo czasu; nie śpiesząc się, poszedł do galerii Tretiakowskiej, potem zszedł do metro, wieczorem zajrzał do Parku

Kultury i Odpoczynku. Nowe wrażenia zepchnęły w cień obraz kołchoźnicy z synkiem. Ale kiedy późnym wieczorem wrócił do hotelu i zmęczony opadł na łóżko, znowu wyłoniła się przed nim postać kobiety ze wsi ukraińskiej.

Wyraźnie widział przed sobą twarz posmutniałą, wielkie, głębokie czarne oczy, zasnute bólem, i zdawało mu się, że kiedyś już widział tę kołchoźnicę, że zna ją od dawna. Długo zastanawiał się nad tym. W pamięci zaczęły wypływać strzępki wydarzeń — dawnych i nowych. Zjawiła się wieś poleska, wąziutka uliczka, cała w topolach i wiązach. Pędził trzodę na wygon. Matka idzie za nim. Jedną ręką podtrzymuje ogarniętą w serdak siostrzyczkę Kasieńkę, w drugiej trzyma sierp i wiadro z wodą. Przypomina mu, Todosowi, żeby nie zasnął w polu, bo trzoda wejdzie w zboże, a wtedy będzie bieda. I w wielkich szarych jej oczach — trwoga i smutek.

Potem stacja kolejowa na Polesiu. Pociąg nadjeżdża. Matka odprowadza go; on jedzie się uczyć. Siostrzyczka Kasia szczebiocze, prosi, żeby jej przywieźć z miasta książki i sukienki, a matka znowu się czymś smuci...

A to znów było ubiegłego roku. Gościł w rodzinnej wsi. Matka wróciła do domu późnym wieczorem. Spracowana, spieczona od słońca, z rękami oblepionymi ziemią i zielenią na poły. Pachniała rzepakiem. Ale jakaż była zadowolona. Wielkie jej oczy świeciły w podnieceniu. Chwaliła się, że jest ogniwową, dziś właśnie skończono pielenie prosa, oczyszczono łany Maryny Kowalichy i Halki Stryżakowej...

Myhdaj był pewny, że gdyby przywiózł matkę do Moskwy, ona również poszłaby od razu do mauzoleum i położyłaby przed Iljiczem okazową wiązkę poleskiego żyta kołchozowego, jak uzbeczka kładzie pierwszy kwiat bawełny, a gruzinka — złociste grono winne. Rozumiał to doskonale, rozumiał te kobiety. Teraz Todos znał dobrze swoją dzisiejszą znajomą i uspokojony zasnął, wciąż jednak żałując, że nie znał jej imienia — składniej opowiadało by się uczniom o tym spotkaniu.

Przyśniły mu się: kołchoźnica i matka, był zadowolony, że widział je razem. Rozbudził go poranny zgiełk miasta. Przeczytał gazety, które mu podano, zjadł śniadanie, ale tego dnia czas mu się dłużył. Do Kremla trzeba było iść na godzinę dwunastą, a tu nie było jeszcze dziesiątej. Nie mógł usiedzieć w pokoju, podniecenie go podrywało, dla uspokojenia poszedł na miasto. Łaził po ulicach, obszedł Kreml, długo stał na moście nad rzeką Moskwą, przyglądał się płynącym białym statkom, motorówkom i kołyszącym się na wodzie cieniom ząbkowanych murów.

Potem dano mu w komendanturze przepustkę i już bez szczególnego podniecenia, razem z innymi wszedł do Kremla. Dużo było tam ludzi, poruszali się po pałacu trochę sztywno, rozmawiali szeptem. Oglądali białą makietę potężnego gmachu Pałacu Rad, niektórzy grali w szachy, inni przypatrywali się architekturze obszernej, jasnej poczekalni, meblom z karelskiej sosny. Przy stolikach gościnnie częstowano przybyszów smacznymi kanapkami i herbatą. Myhdaj dojrzał wśród zebranych wielu wojskowych, inżynierów, kołchoźników, nauczycieli, robotników — wszyscy byli wyraźnie podnieceni. To podniecenie, to napięcie nerwów udzieliło się i Myhdajowi i więcej go nie opuszczało.

Kiedy w poczekalni zebrało się kilkuset ludzi, gdzieś spod drzwi rozległ się głos:

— Prosimy na salę!

Myhdaj rzucił się naprzód, chciał zająć na sali wygodne miejsce, aby wszystko widzieć. Ale dalibóg wszyscy o tym samym myśleli, więc Myhdaj, jako że był daleko od drzwi, nie znalazł już miejsca w pierwszych rzędach. Ludzie wnieśli tu atmosferę napięcia i oczekiwania. W okrągłej sali było cicho. Wysoki pułap zbierał światło słoneczne

i rozsiewał je po rzędach żółtych foteli, po białych ścianach i wysokich kolumnach. Na ścianach odcinały się płaskorzeźby obrazujące sceny z dziejów naszej ojczyzny. Na wprost zgromadzonych na niewysokim podium stał nakryty czerwonym obrusem stół, na nim — kilka mikrofonów. Poniżej niewielki czerwony stolik. Spoza stołów rzucała się w oczy biała rzeźba — postać Lenina. Nawoływała, wyciągając ramię do sali. Myhdaj wpatrywał się w nią i w pamięci znowu stanęło wczorajsze spotkanie w mauzoleum. To spotkanie z kołchoźnicą, ta wiązka kłosistej pszenicy; ta sala w pałacu kremlowskim tchnęła ciepłem, szczerością — i Myhdajowi było raźno na duszy, słonecznie. To było poczucie własnego szczęścia.

Z korytarza dobiegły szybkie, lekkie kroki. Echo odbiło się od ścian i wbiegło przez otwarte drzwi do sali. Myhdaj zauważył, jak wszyscy w napięciu utkwili oczy w drzwiach. Na salę, w asyście współpracowników Prezydium Rady Najwyższej wszedł Michał Kalinin. Ludzie powstawali i huczny wiwat wzbił się pod wysoki pułap, sala zatrzęsła się od owacji. Myhdaj, tak samo, jak wszyscy, w radosnym uniesieniu pozdrawiał Kalinina. Ten przywitał się, szybkim krokiem podszedł do maleńkiego stolika, pochwycił dzwonek, uniósł go nad głową, prosił o ciszę:

— Towarzysze, czasu niewiele, bierzmy się do pracy...

Ale sala nie chciała się uspokoić. Za stolikiem stał współbojownik Lenina i Stalina, skromny i łagodny, serdeczny, posiwiały w bojach o partię bolszewicką i szczęście ludu. Kalinin potrząsał dzwonkiem, wzruszał ramionami, poprawiał okulary, prosił zebranych, żeby się uciszyli, ale ci jeszcze donośniej wiwatowali na cześć Stalina i jego, Kalinina. W zamyśleniu pogładził palcami koniuszek ostrej, już prawie białej bródki i w tym ruchu zastygł na jakąś chwilę, przechyliwszy głowę. I wtedy wszyscy zmiarkowali czy wyczuli, że na Kalinina czekają jeszcze tego dnia setki nie cierpiących zwłoki spraw państwowych, że każda jego chwila jest odmierzona. Owacje powoli opadły i na sali zaległa cisza.

Wtedy Kalinin uśmiechnął się życzliwie, bodaj że nawet czule, ogarnął salę spojrzeniem, raptem postąpił dwa kroki naprzód i wyciągnął rękę do przednich foteli.

— Ot wam, obywatelko, ciężko będzie z małym dzieckiem siedzieć dwie, trzy godziny. Wasze nazwisko?

Myhdaj nie dosłyszał odpowiedzi — wypowiedziano ją cicho, szeptem. Kalinin podszedł do stolika i dał jakieś polecenie młodemu towarzyszowi stojącemu przy mikrofonach. Ten szybko zaczął przerzucać papiery, potem powiedział głośno:

— Dojarka Maria Pawłówna Krawczenko doprowadziła udój mleka do sześciu tysięcy litrów rocznie od każdej krowy na fermie kołchozowej. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR nagrodziło Marię Krawczenko orderem Lenina.

Posypały się oklaski. Ze szczerego serca pozdrawiał kołchoźnicę i Myhdaj. Ale w tej samej chwili jego ręce na jakieś mgnienie zastygły w powietrzu, uniósł się z miejsca, pochylił się do przodu, a potem mocniej zaklaskał, gotów podbiec do kołchoźnicy. Do Kalinina zbliżała się z dzieckiem na rękach wczorajsza znajoma Myhdaja. Obok czerwonego stolika zakwitł serdak koloru bordo, z białych wyszywanych rękawów owiał Myhdaja zapach pszenicznych kłosów. Stojąc pozdrawiał Marię Krawczenko, a zebrani, myśląc, że tak właśnie wypada, powstali również i cała sala stojąc witała dojarkę.

A ona była już przy Kalininie. Ten winszował jej wysokiego odznaczenia i życzył jeszcze większego powodzenia w pracy. Maria Krawczenko wzięła czerwone puzderko, położyła je Fedźkowi na kołderce, schyliła się

i chciała ucałować dłoń Kalinina. Ten cofnął rękę, objął głowę kołchoźnicy i ucałował ją w czoło. Fedźko próbował dotknąć rączkami bródki Kalinina, dobierał się do okularów. Maria Krawczenko płakała ze wzruszenia. Kalinin uspokajał ją, połaskotał palcem lniane kędziorki Fedźka — chłopak śmiał się, potrząsał rączkami i, zachwycony, pokrzykiwał:

— A-a-a... A...

W oczach obecnych zabłysło wzruszenie. Myhdaj czuł, jak łzy spływają mu po twarzy i kapią na marynarkę, nie ocierał ich i nie czuł zawstydzenia. Nie wiedział, jak się sam będzie trzymał, kiedy mu będą wręczali medal „Za dzielną pracę".

Kołchoźnica wróciła na swoje miejsce. Na jej spotkanie wyciągnął się niezliczony las rąk, jedni ją pozdrawiali, inni podsuwali scyzoryki, a nawet kościane wykałaczki, aby przekłuć serdak do wpięcia orderu. Maria Krawczenko nie widziała ich, łzy przesłaniały jej oczy. Usiadła między ludźmi, pomagano jej wpiąć order. Myhdaj przez głowy innych wpatrywał się rozmarzony w lniany warkocz kołchoźnicy i znowu w pamięci rysował się wyraźny obraz matki, która gdzieś w poleskim kołchozie żnie w tej chwili żyto — i zrozumiał, że Kalinin ucałował i jego matkę, że i jej wręczył order Lenina.

Tłum. z ukraińskiego A. W a ż y k.

HALINA GÓRSKA

PODANIA HUCULSKIE

Spisane w roku 1927 we wsi Jaremczu.

Ciekawa w zapisywanych przeze mnie legendach, których tekst starałam się oddać jak najwierniej, nie opracowując ich literacko, jest ich styczność z wierzeniami starożytnych ludów i obrazami ich fantazji. Czy np. ów duch burzy objeżdżający świat na wozie zaprzężonym w rumakichmury i poganiający je biczem błyskawicy nie przypomina obrazu woźnicy Apollina Faetona? A ów związek księżyca z płodnością w dziwacznym opowiadaniu o złych duchach na Czarnohorze czy nie wywołuje wspomnień mitów egipskich? Zupełnie niechrześcijański jest stosunek do umarłych, mimo że akcja opowiadania toczy się w cerkwi. Nie mogą to być wszakże duchy potępionych, jeśli przychodzą do cerkwi na mszę. Są między nimi i księża, i niewinne dzieci i największe w oczach huculów zbrodniarki — wiedźmy odbierające krowom mleko. Lecz legenda nie czyni między nimi różnicy. Wiąże ich wszystkich wspólnym koleżeństwem i silniejszą nawet niż węzły krwi, zazdrosną nienawiścią wobec żywych. Gdzież tu królestwo niebieskie, gdzież cześć dla śmierci? Jest w tym opowiadaniu jedynie chęć odgrodzenia się od niej i pogańskie umiłowanie życia.

ZAMAWIANIE BURZY

Nam w Jaremczu burza nie może wyrządzić szkody. Są u nas dotychczas gospodarze, którzy umieją zamawiać burzę. W inych wsiach takich nie ma, bo do tego trzeba nie tylko wiedzieć co i jak ma się zrobić, ale mieć nieulękłe serce.

W burzę (a burza najczęściej przychodzi u nas wieczorem albo nocą) trzeba wyjść przed chatę i czekać patrząc w niebo. „On"* już wie, że to

* Huculi na określenie złego ducha używają słowa „On" albo (co jest bardziej charakterystyczne) — „panycz".

na niego się czeka. Przyjeżdża na wozie zaprzęgniętym w cztery czarne rumaki-chmury. Wywija nad nimi biczem-błyskawicą, a rumaki pędzą jak szalone, a gruchot ich kopyt rozlega się łoskotem gromu.

Jedzie prosto na tego, kto na niego czeka tak, że zdaje się, iż kopyta jego koni rozdepczą go i rozniosą. Ale jemu nie wolno drgnąć ani ruszyć się z miejsca, choć od rozpędzonych koni idzie taki wicher, że ledwie można ustać.

I dopiero tuż przed nim „On" zdziera konie, wyskakuje z wozu i wyciąga do zamawiającego rękę, którą trzeba uścisnąć bez wahania, choć ręka ta jest zimna jak lód.

Wtedy „On" pyta:

— Gdzie mam jechać?

A zamawiający odpowiada: Na góry, na lasy!

I burza idzie na góry i lasy omijając ludzkie siedziby.

Gospodyni zamyśliła się, umilkła, a po chwili dodała:

— Ale nie każdy to może zrobić, nie każdy. Mój ojciec wyszedł raz w nocy zamawiać burzę, ale jak tamten wyciągnął do niego rękę, to się zląkł i chciał uciekać. To go tak w pysk wyrżnęło, że coś z tydzień przeleżał i do dziś nie lubi, jak o tym gadać...

„ROSOHIRY"

Dziwi się pani, że dziś nie wypędzam krowy? Nikt dziś nie wypędza bydła do lasu, ani w góry, bo dzisiaj są rosohiry. Rosohiry to taki dzień, że wiedźmy z wiedźmarami się żenią. Niebezpiecznie jest dzisiaj w górach, nie trzeba tam chodzić. Pani się śmieje?... A ja pani powiem, co mojej babce się wydarzyło, jak była jeszcze młodą dziewczyną. Nie słuchała babka starych ludzi, poszła w Rosohiry za grzybami w las. Nagle usłyszała jakieś śpiewy i muzykę. Weszła na polanę, patrzy, a tu coś niby mgła, niby nie mgła się unosi. Podchodzi bliżej — cała gromada wiedźm i wiedźmarów za ręce się wzięła i tańczy, że się tylko w oczach miga. To mojej babce aż nogi wrosły w ziemię ze strachu, a język w gębie zdrętwiał. Ani krzyczeć, ani uciekać. Ni żywa ni martwa stoi, ani ręką, ani nogą poruszyć nie może. Aż nagle się jeden wiedźmar obejrzał, babkę moją zobaczył, wrzasnął, że się wszystkie pary zatrzymały, a jak ją dojrzały, tak się do ucieczki rzuciły, a jedna wiedźma swój wianek zgubiła.

Tuż pod nogi mojej babce ten wianek się potoczył, ale babka moja wciąż jak odrętwiała stała i nie schyliła się nawet, żeby go podnieść i obejrzeć, co, jak się pokazało, na dobre jej wyszło, bo ta wiedźma, co go zgubiła, wróciła zaraz. Popatrzyła bystro na wianek i na moją babkę, z ziemi go podniosła, jeszcze raz na wszystkie strony obejrzała, na głowę włożyła i powiada: — Twoje szczęście, żeś go nie podniosła! Bo jakbyś go była choć końcem palca dotknęła, jużbyś była nam poślubiona i musiałabyś na wieczne czasy z nami zostać!

A wianek — powiadała babka — jak wianek. Nic takiego nadzwyczajnego. Z leśnych kwiatków upleciony, jak pastuszki za krowami wiją i cała parada!

DIABŁY Z CZARNOHORY

Wszystkim wiadomo, że na Czarnohorze żyje złe.

Wyszła u nas we wsi jedna kobita przed chatę w nocy i nie wróciła więcej. Minął rok, drugi i trzeci, a ona przepadła, jakby w wodę wpadła. Aż na trzeci rok poszły pastuchy z bydłem w góry, aż pod Czarnohorę, widzą — idzie ta gazdyni. Koszula na niej cieniutka, pięknie haftowana, zapaski nowiuteńkie, chustka na głowie jedwabna, fartuch także z jed-

wabiu złotymi nićmi przetykany. A korali! A wstążek! Wystrojona jak na wesele, ale jakaś bardzo smutna.

Jak ich zobaczyła, zalała się łzami i tak im powiada:

— Już trzeci rok, jak mnie porwały i trzymają. Oj nieszczęsna moja dola! Jeść i pić mam, ile tylko zechcę i nie byle jakiego jadła, a kiełbasy i słoniny i gorzałki i bułek białych, ile tylko zapragnę. I przyodziewku wszelakiego też mam dostatek. Ale co mi z tego, kiedy w ciągu każdego miesiąca przeżywam całe moje życie. Kiedy księżyc jest w pełni jestem młodym dziewczątkiem, a w miarę jak się zmniejsza, starzeję się, aż kiedy już tylko wąski krążek z niego pozostaje, staję się zgrzybiałą staruszką pochyloną ku ziemi i ledwie już nogami powłóczę, jakbym miała ze sto lat. I każdego także miesiąca rodzę dziecko. Bardzo mnie już zmęczyło to ciągłe dzieci rodzenie i ciągłe życia na nowo przeżywanie. Nic mi już nie miłe i śmierci wyglądam, ale nie wiem, czy śmierć tu zachodzi. Idźcież do moich rodziców i mego męża i do moich braci miłych i proście ich, żeby poratowali mnie nieszczęsną, żeby mnie stąd zabrali. Ale zabrać mnie można stąd tylko wtedy, kiedy „ich" nie ma w domu. A zdarza się to zawsze, kiedy brat z siostrą się żeni, bo wtedy wszystkie diabły przychodzą na wesele. Ale — dodała po chwili gospodyni — choć piętnaście już lat od tego czasu minęło, a nie ma chyba takiego roku, żeby brat z siostrą się nie żenił, jeszcze po nią nie poszli. Tacy to są teraz ludzie...

ŻYWI I UMARLI

Była już dawno temu w naszej wsi bogata gazdyni. Miała gruntu coś ze 30 albo i więcej morgów i krów 6 i owiec 20 i chałupę piękną z pasieką i dobra wszelakiego dość. I miała ta gazdyni córkę jedynaczkę. Już ze 16 lat, dziewczyna jak łania, za mąż wydawać pora. Aż tu ni z tego ni z owego rozchorowała się i niedługo nawet się męczyła, może 2—3 dni i umarła. To ta gazdyni mało sobie oczu nie wypłakała z tego żalu. Bo i jakże? Tyle gruntu, tyle bydła, tyle dobra wszelakiego, a nie ma komu dziedziczyć.

Płakała ta gazdyni dniami i nocami, każda robota z rąk jej leciała, nic jej nie było miłe.

Przyszła raz do niej kuma i powiada:

— Czego tak ciągle zawodzicie jak na pogrzebie? Umarli niech spoczywają w spokoju. — A ta gazdyni na to: — Oj jakże nie mam płakać, jakżeż nie mam lamentować, kiedy już nigdy córuchny swojej nie zobaczę?! Tak mi bez niej smutno i nudno i pusto, że dałabym najlepszą krowę, żebym tylko córuchnę moją raz jeszcze, choć na jedną chwilę, mogła zobaczyć!

Więc kuma mówi jej tak: Jak zawołacie sąsiada i powtórzycie to wobec świadka, to wam poradzę co i jak macie zrobić, żeby jeszcze raz córkę zobaczyć. (Bo ta kuma to była „przebrana"*.) Więc zawołali sąsiada i gazdyni raz jeszcze przy nim powtórzyła, że jakby jej kto choć na chwilę córkę pokazał, to ona mu najlepszą krowę wedle jego własnego wyboru da.

To ta „przebrana" tak mówi: Musicie złapać 7 czarnych kotów, zabić je i z ich skór zrobić kożuszek bez rękawów. Odziejecie się w ten kożuszek i pójdziecie w niedzielę na mszę do cerkwi. Ale nie pchajcie się ku ołtarzowi, tylko stańcie za drzwiami tak, żeby cerkiewny, jak będzie zamykał wrota, nie zauważył was i zamknął w cerkwi. Jak nadejdzie północ, zobaczycie waszą córkę. Tylko pamiętajcie za drzwiami się ukryć i nic do niej ani do żadnego z tych, co z nią wejdą, nie gadać! A jakbyście musieli przed nią uciekać, to zdejmcie kożuszek i rzućcie go poza siebie.

---

* „Przebraną" nazywają ukrytą wiedźmę, taką, o której nikt nie wie, że to wiedźma.

— Ty durna babo! — pomyślała sobie ta gospodyni — Gdzieżbym ja przed córuchną moją najmilszą uciekała!

Ale nie rzekła nic, tylko zrobiła tak, jak jej tamta przykazała i poszła w niedzielę do cerkwi. Cerkiewny nie zauważył jej, bo za drzwiami stała, zamknął drzwi od zewnątrz i poszedł sobie, a ona sama w cerkwi ostała.

Póki jeszcze jasno w cerkwi było, nie czuła gazdyni żadnego strachu. Obrazy sobie oglądała, przed każdym się pomodliła i wciąż się radowała, że córuchnę swoją zobaczy.

Ale jak już zaczął zmrok zapadać, cienie po kątach pełzać, a te oczy z obrazów na nią patrzeć, taka się sama w tej pustej cerkwi poczuła, że strach ją zaczął coraz większy zdejmować. A kiedy całkiem się już ciemno w cerkwi zrobiło, a cichość wokoło taka, że tylko słyszała, jak w niej to własne serce bije, to już chciała się wszystkiego odrzekać i byłaby uciekła, żeby nie te zamknięte drzwi. Skuliła się koło nich i czeka, a serce w niej tak wali jak młot.

Nagle drzwi uchyliły się ze skrzypem, a jednocześnie gazdyni usłyszała bicie dzwonów. Patrzy, a tu wchodzi ksiądz ze świecą, ale nie ten co był teraz w tej parafii, tylko ten co go jeszcze dziewczynką pamiętała i który od 25 lat już w grobie leżał. A za nim idą chłopcy w białych komeżkach, także ze świecami zapalonymi w ręku. I gazdyni poznała w nich zaraz zmarłe dzieci sąsiadów. A za nimi szedł tłum niezmierzony, większy niż na mszy w południe, bo była to msza dla umarłych, a umarłych jest więcej niż żywych.

Stała więc ta gazdyni schowana za drzwiami, ale bacznie wypatruje, czy córki między nimi nie zobaczy.

A tu wchodzą coraz nowi umarli, mężczyźni i kobiety. A niektóre kobiety mają na głowie drewniane konwie od mleka i wstydzą się bardzo — to wiedźmy co odbierały za życia krowom mleko.

Aż tu jeden umarły zatrzymał się, potoczył strasznymi oczyma po kościele i powiedział:

— Czuję tu zapach żywego! Żywą krew i żywe mięso.

Zapaliły się wszystkim umarłym oczy niby kotom zielonym światłem i zaczęli po kościele nimi toczyć, ale żaden gazdyni, co za drzwiami jak osika się trzęsąc przycupnęła, nie dostrzegł. I byliby jej nie zobaczyli, żeby właśnie do kościoła nie weszła córka gazdyni. Bo jak ją matka w tych samych szatkach, w które ją do trumny oblekła, wchodzącą zoczyła, tak nie mogła strzymać i — córuś moja! — krzyknęła.

Spojrzała w jej stronę córka, a jak ją dostrzegła, oczy jej się zaraz jak innym umarłym rozjarzyły i w jej stronę palcem wskazała.

I wszyscy umarli jednym głosem wrzasnęli:

— Rozszarpać ją! Rozerwać ją! Żywa! Żywa!

I wraz się ku niej wszyscy rzucili.

Wypadła gazdyni z kościoła, a umarli za nią.

Biegnie przez cmentarz potykając się o groby, a oni coraz bliżej i bliżej.

Dopadła muru, włazić na niego poczyna, a oni już pod murem i ręce wyciągają, żeby ją ściągnąć.

Wtedy sobie dopiero o kożuszku przypomniała i w tył, poza siebie go rzuciła. Umarli pochwycili go i wyrywając sobie szarpać na kawałki zaczęli, a ona hyc z muru i ledwie żywa do chaty.

Przyszła do niej nazajutrz ta „przebrana", wzięła ją za rękę, poprowadziła na cmentarz i pokazała jej, że na każdym grobie leży kawałek jej kożuszka, a na grobie jej córki także.

— Widzisz, tak byliby ciebie rozszarpali — powiedziała. — A może chcesz jeszcze raz córkę oglądać?

— Kiedy ona taka, to nie chcę jej więcej widzieć! — odpowiedziała gazdyni. — Niech umarli odpoczywają w spokoju.

JAN BRZOZA

SIEKIERA

(Z pamiętnika cieśli)

Siekiera musi być ostra.

Gdy odwiniesz rękaw, poślinisz owłosienie poniżej łokcia, a pociągniesz ostrzem: zgolisz na czysto. Ale to jeszcze nic.

Siekiera musi być jadowita. Musi wbijać się w drzewo jak gadzina. W razie czego, gdy ją wbijesz, masz oparcie i możesz się poprawić, gdy ci noga ścierpła podczas siedzenia na płatwi dachowej, albo gdy trzeba przyciągnąć drugi kawałek płatwi, żeby przypasowała. Siekiera wbita w drzewo nie śmie z niego łatwo wychodzić. Ruszasz nią tam i nazad i musisz w rękach czuć jak wychodzi. Ręka twoja musi mieć to czucie. Ręka twoja jest mądra. Uderzy raz i zaraz pozna siekierę. Bo może być taka siekiera, choć ostra jak brzytwa, ale „gruba" — to ci się, bracie, wyrwie nagle i... nakryjesz się nogami, chociaż nic nie piłeś trunkowego. Szczęście twoje bracie, gdy to się stanie na ziemi. Ale nieszczęśliwa twoja godzina, gdy znajdujesz się na dachu, choćby piętrówki, nie mówiąc już o szóstym piętrze. Polecisz na złamanie karku. A tam na dole, to nie opłaci się nawet zbierać tych kosteczek rozbitych na proch.

O tak. Siekiera ciesielska to najważniejsze narzędzie. Uważać na nią trza, jak na oczko w głowie. Ostrzyć na płycie kamiennej, od czasu do czasu dawać ją poklepać do kowala. A kowal to ci musi być do takiej roboty przemyślny, nie jaki bądź. Bo to weźmie ci taki partacz siekierę do poklepania, rozhartuje ją — palniesz człowieku w sęk jodłowy i masz z siekiery dwa kawałki. Przeklinasz cały świat (jakby ci to co pomogło) i zostajesz w najgorszym gorącu roboty jak bez ręki. Kręcisz się jak bąk, a tu jak na złość podmajstrzy krzyczy, jakby go ze skóry obdzierali. „Przytnij, no przytnij gadam. Gdzie siekiera? Z czym przyszedłeś do roboty?" — No i gadaj mu, tłumacz, że ci siekiera pękła (jakby go to obchodziło). Zwracasz się do którego towarzysza: Daj bracie, niech tu przytnę, bo mnie z roboty wyleją. Mówisz to, ale od razu wiesz, że cieśla nie lubi dawać swojej siekiery do ręki innemu. Sam nie dałbyś. Ale trudno. Widzi, co ci się przytrafiło, mruknie pod nosem i da. W sobotę przy wypłacie będziesz miał tę siekierę wypomnianą. Zacznie ci majster wygarniać, że on takich cieśli nie potrzebuje, co to bez siekiery do roboty przychodzą. Chcesz się tłumaczyć. A on od razu z pyskiem. On nie rozumie, jak można przychodzić do roboty bez „naczynia". Jak urzędnik. Może on ma jeszcze przynieść gazetkę do czytania?

Słuchasz, bracie, tego majstrowego gadania i aż ci gorąco. Ale musisz się ostro trzymać, bo wiesz, że tu nie idzie wcale o siekierę. Majster maca, czy nie udało by mu się coś oberwać z wypłaty. Zacznie drwić i gada, że ma w chałupie jakąś siekierę, co to baby szczypki nią łupią, to gada: trza było powiedzieć, byłbym przyniósł. Słuchasz, a tu ci wszyscy naokoło zaczynają się podśmiechiwać, a któryś nawet śmieje się na cały głos. I choć w głowie już ci się zaczyna mącić — teraz właśnie musisz najwięcej uważać. Bo teraz majster zaczyna krzyczeć na całe gardło. A potem, kiedy myśli, że już jesteś w capa zaklęty na amen — wtedy zaczyna rachować pieniądze. Zero do zera, nul do nuli i tak jakoś szybko wsadzi ci do kułaka te parę złotych i zaraz woła następnego. Ale ty stoisz wciąż z tą garścią wyciągniętą, z tą krwawicą na dłoni.

— Co to pan dał, na cukierki, czy jak? —

I tak stoisz. Majster coś bełkoce, ale ty nic, tylko stoisz. Robi się tak jakoś cicho, że i muchę słyszałbyś. Tamci poza tobą kulą się jakoś w sobie, a ci, którzy już wzięli pieniądze, nie odchodzą. Kręcą się, niby coś zgubili. Bo to każdy czuje, że teraz kto wie co będzie. I mało co brakuje,

żebyś nie prasnął tymi złociakami majstrowi w twarz. Ale na szczęście tak nie jest. Bo majster wygrzebuje z kamizelki jeszcze dwa złote i daje spoconą ręką. Wprawdzie należy ci się jeszcze trzy złote, ale to już można podarować. Niech się udławi. Więcej będzie musiał wydać na doktorów za tę krzywdę ludzką, na której się pasie. Te trzy złote to będzie wielka strata. Akurat tyle brakuje do zapłacenia komornego. Poskrobiesz się bracie za uchem, porachujesz jeszcze raz i schowasz dobrze do kieszeni na piersiach.

Idziesz potem powoli i poważnie. Pieniądze w kieszeni grzeją cię takim ogniem jak lód zimnym. Czujesz bracie, jak ważnym jesteś teraz. Nie to, co cały tydzień, kiedy w kieszeni pustka, albo tytla się pomiędzy okruchami tych dwadzieścia groszy drobnymi. Nie wiadomo na co. Bo to ani na jeden mały kieliszeczek, ani na paczkę machorkowego. Tylko czasem chyba na tego sporta. I to dzielisz go na trzy części do cygarniczki, akurat na dziesięć dymów.

Teraz niesiesz dwadzieścia siedem złotych i trzydzieści trzy grosze, wypoconych, wyszuranych, wydźwiganych do ostatniego tchu, wyponiewieranych po wykopach, wywalanych w błocie, wysiekanych deszczami a spieczonych słońcem. Lub wydmuchanych śnieżną zadymką. Lub pokrwawionych tymi skaleczeniami paluchów sękatych i nijak do palców niepodobnych.

Niesiesz bracie za pazuchą cały tydzień. Sharowany tydzień, i dlatego idziesz powoli. Takie pieniądze są ważne i ciężkie. To nie pieniądze. To twoja krwawica mozolna. Wydarta w dodatku połamanymi pazurami majstrowi-wyzyskiwaczowi z gardła. A w dodatku o mało co nie zakończona kryminałem. Bo a nużbyś majstra uderzył? Czekaj towarzyszu, powiedz sam: bo a nużbyś palnął? I co? Siedzisz w kryminale co najmniej trzy miesiące za uszkodzenie ciała. Bo to rękę masz ciężką i nawet żebyś nie wiem jak uważał, tak tylko lekko po wierzchu, a już taki syn traci cztery zęby jak nic. I już prowadzą cię dwaj „mocni“ przez całe miasto jak jakiego złodzieja w kajdankach, bo to nie chciałeś się dać. A tam, to już dadzą ci bracie, dadzą, że i rodzoną matkę zapomnisz. Byś pamiętał, że na chlebodawcę podnosić ręki nie wolno. Jak ci się krzywda stała, do sądu pracy idź, a nie samemu sprawiedliwości na cudzych zębach szukać. Do sądu pracy można, czemu nie! Tylko z robotą musiałbyś się pożegnać na amen. Zresztą, nie potrzebowałbyś stawiać się do bicia, a tylko powiedzieć, że idziesz do sądu pracy. Majster w tej chwili dałby ci tę piątkę, ale zaraz wypowiedziałby ci czternastkę. Przez te czternaście dni chodziłby koło ciebie jak koło zbitego jajka. A jakże! Wszystko według ustawy. Potem wypłaciłby ci do jednego grosza. Nawet dwa grosze posłałby do szynku zmienić i do widzenia. U niego roboty więcej nie ma. Idziesz do innego, ale ten już wie coś ty za numerek. Nie przyjmie, choć bierz i powieś się. O tak! Pamiętasz tego wysokiego z wąsami. No, tego, co gruszki sprzedawał, a potem umarł gdzieś pod płotem. Dobry robotnik był i nigdzie nie mógł znaleźć roboty, choć wtedy jeszcze nie było takiego bezrobocia. Pamiętasz bracie?

Idziesz z tymi pieniędzmi prosto do domu. Starasz się omijać knajpy, żeby cię nie skusiło. Bobyś wsiąkł i nawet nie upił się dobrze. Ale za to w chałupie byłby bal co się zowie. Eh, lepiej iść prosto przed siebie, nigdzie się nie rozglądać. Pieniądze twoje, to nie są takie pieniądze jak inne. To ciężkie pieniądze. Nie miałeś nieraz pieniędzy lekkich? Nie znalazłeś to raz dwadzieścia złotych w banknocie? Albo nie dostałeś zapomogi wtedy za złamanie ręki? Ale nic ci nie było z tych pieniędzy. Rozeszły się tak jakoś prędko jak dym. Ot lekko przyszło, lekko poszło. Takie pieniądze nic nie warte. I dlatego tak się o nie te wszystkie brzuchacze obijają. Czym więcej ich mają, tym więcej chcą mieć. Takie lekkie pieniądze. I myślisz se: Co taki burżuj jeden z drugim dostałby za

te dwadzieścia kilka złotych, co je masz w kieszeni? Na jeden obiad w kawiarni, czy na cygara? A tu tyla gąb rozdziawionych wykarmić. A tu tyla nóg obuć, tyla grzbietów okryć. Jak to się dzieje, że to wszystko żyje, to sam nie wiesz. Pchasz tę biedę naprzód i tyle.

I dlatego, gdy idziesz z wypłatą w kieszeni przez miasto, wydaje ci się, że taki jakiś wielki jesteś, jak od ziemi do nieba. I dlatego patrzysz z góry na to wszystko tałatajstwo, co to odgrywa hrabiów. Na te strojne paniusie, na te fircyki w nowych garniturach. Myślałby kto wie co? Ważne osoby! Eh, wziąłbyś taką ważną osobę choć na pół godziny na budowę, na rusztowanie. Hehe... Nieraz się to widziało takich. Przychodzi na przykład taka komisja na budowę. Zajeżdżają limuzyny, a koło nich już pełno budowniczych i majstrowie i podmajstrzy, i pisarz, i magazynier, i stróż, i wszystkie naganiacze z całej budowy. Zaczynają ci wyładowywać z tych samochodów komisję. Choć wozy pakowne, a ledwo pomieszczą po dwóch takich panisków. Potem zaczynają ich oprowadzać, a kiedy idą na górę, to warto widzieć. Przodem idzie sam budowniczy z inżynierami i ciągle pokazują, jak chodzić po deskach i sztagach. — Tędy panie radco, ostrożnie, ostrożnie... Ooo, nie tędy, bo tam pułapka. — Paniska sapią jak samowary, a tu dopiero drugie piętro! Z tyłu idzie podmajstrzy jak struty i tylko łypie ślepiami na chłopaków z wapnem. Bo to sztaga zrobiona obszernie, żeby dwóch ludzi mogło się wyminąć wygodnie, a tu jeden grubas zmieścić się nie może. — Ty zaczekaj tam na podeście, gadam, zaczekaj na podeście — krzyczy na całe gardło na chłopaków z tymi blaszanymi kubłami z wapnem. Przecież nie przejdzie z baniakiem koło paniska. Utytlałby go na gipsowy pomnik. Ale potem znowuż jeszcze większa bieda, bo idzie koźlarz. Teraz to panowie muszą ustąpić. Bo koźlarz, kiedy idzie, to sam cesarz musiałby ustąpić. Bo koźlarz ma na plecach trzydzieści cegieł, a niesie je na czwarte piętro. Koźlarz nikomu nie ustępuje. Nawet na centymetr nie zboczy. Idzie prosto jak drut. Każdy jego krok jest odmierzony. Noga musi pewnie stąpać, bo inaczej straci równowagę i zleci na łeb. Ba, żeby to poleciał sam, to pal go sześć. Ale za nim leci trzydzieści cegieł i łamią rusztowania, a tam na dole mogą dużo ludzi pozabijać. Bo to szwenda się tam tego bez rachunku. I monterzy od centralnego ogrzewania, i kopacze kanału, i wodociągarze ze swoimi leidlampami, i zbrojarze, i kto ich tam wie ilu rozmaitych majstrów od siedmiu boleści, co to nic nie robią, a tylko ciągle krzyczą: Uważać tam na górze, bo na dole ludzie robią! — A jak spadnie tam kawałeczek odłamka od cegły albo kapnie kropla wapna, to wrzeszczą, jakby im cała budowa na łeb się waliła. Tak, ci panowie lezą powoli do góry, pomimo uważania i krzyków podmajstrzego — dość utytłani, aż nareszcie wgramolą się. Na górze już nic nie widzą, o niczym z pewnością nie myślą, tylko o tym, jakby tu zleźć. Uważasz bracie, teraz jest największa uciecha. O, bo zleźć, to już jakoś trudniej, pewnie dlatego, że to widać teraz jak to wysoko i że sztagi bardzo spadziste. Teraz inżyniery muszą ich prawie że znosić na plecach. Podpierają ich ze wszystkich stron i tak schodzą. Poobłapują się za szyje, jak nie przymierzając kuchty z żołnierzami na spacerze i tak schodzą. Te cylindry i różne takie kapelusze-sztywniaki poprzekrzywiają się im na głowach, a sapią, a stękają i tak schodzą. Jednego razu to taki obrotniejszy i jeszcze nie taki gruby został jakoś w tyle, pewnie nie był jeszcze taką ważną osobą i nie było go komu znieść na dół. Dał se radę sam, a jakże. Zlazł na czworakach tyłem. Tak, tak, na robocie żadne jaśnie państwo jakoś nie wychodzi.

Tak sobie to wszystko przypominasz i idziesz prosto jak koźlarz. Nikomu nie ustępujesz. Wypłatę niesiesz. Wszyscy ustępują ci z drogi, jakby wiedzieli, jaki ważny jesteś. Aha, przypominasz sobie o tej pękniętej siekierze i że trzeba kupić nową. Trudno, ten wydatek musi być.

Siekiera ważna rzecz! Nie dojem, a siekierę trzeba mieć, żeby nie było znowu gadania. Jest tu jeden sklepik żydowski, w którym można dostać dobrą siekierę. Pokazuje kupiec różne. Nie taka, nie taka. Ta jest rzeźnicka, ta babska, ta do rąbania cukru. Co jest? Nie macie tu w sklepie prawdziwej siekiery? — Jakiej? — Ciesielskiej. — To czemu od razu nie mówicie, że ciesielskiej? Mam, czemu nie, ale to coś... Targujesz dobrą godzinę, zanim kupisz. Sześć razy wychodzisz ze sklepu, choć wiesz, że na pewno kupisz. Eh, wydatek jak spod serca wydarty!

A przez całą niedzielę robota w domu jest. Bo to trzonek do siekiery trza zaprawić. Wystrugać dokładnie rączkę tak, żeby była sposobna do ręki. Nie za gruba, nie za cienka. I okrągła musi być i gładka przez te nagniotki na dłoniach, co to nieraz obierają, a bolą, zwłaszcza, jak ma być zmiana pogody. O, wtedy to nawet oka zmrużyć niesposób, choćby człowiek narobiony był jak wół. Takie nagniotki narywają gdzieś chyba z wnętrzności i przez całą noc rzuca człowiekiem, że tylko przekląć cały świat od nieba do ziemi.

Struga sobie człowiek powoli, bo to niedziela — dzień wypoczynku niby. Słucha lamentów baby, że tego brak, tamtego nie ma i że skąd tu wziąć. A tu zdrzemnąłby się człowiek, żeby kości zbolałe rozprostować i sił nabrać na cały tydzień.

A rano skoro świt, zwlec się trzeba do roboty tej ciężkiej. Patrzyć przede wszystkim na niebo, czy będzie pogoda, bo to najważniejsza rzecz. Podczas popijania tej lury z jęczmienia pomyśleć trza o robocie, która tam czeka. Naprzód obmyślić, bo to nigdy nie wiadomo, do czego przydzielą. Dobrze by było, jakby przydzielili do wiązania dachu. Robota lekka i ciekawa. Krokwie składać na profilu. Tu zaciąć piłeczką, tam wyciąć ząb dłutkiem, odwrócić i nową siekierą odłupać blat, zawiercić świderkiem dziurę na kołek i odrzucić. Następna para, dwanaście gołe i dwanaście rut. Siekierą naciąć rzymskie cyfry, żeby potem na górze znaleźć, który kawałek do którego. Dobra to robota. Czas leci jak batem trzasł. Aniś się nie obejrzał a już południe. Siadają wszyscy do jedzenia naokoło ogniska do spożywania co tam który ma. W poniedziałek to jeszcze widać i wędzonkę i kiełbasę i ta kawa z niebieskich puszek dwulitrowych. Potem zapalają sporty, fajki i dalej słuchać opowiadań. Zależy gdzie kto się trafi. Anegdociarz rozmaity. Będzie taki, co śmieszne historie bajdurzy o dawnych czasach, o szewczyku co to z cesarzową tańczył, lub o zbójniku, który stu żandarmów się nie bał, bogatym zabierał, biednym rozdawał. Będzie polityk, o burżujach, o wyzysku, o ciężkiej doli robotnika opowiadał albo o drożyźnie i bezrobociu. Trafi się taki, co to na wojnach był, pół świata schodził i wszelkiego zła się najadł i wszystkich chorób, jakie tylko na świecie, zakosztował. Niedługo tego dobrego, bo już dzwonią o szynę i dalej hajda do roboty. Gdzieniegdzie który zdrzemnął się i ciężko mu teraz wstać. Skrobie się tak długo, aż go podmajstrzy z pyskiem obsiędzie.

Co to ja chciałem mówić. Aha — a więc idziesz powoli do tej roboty, bo to wczas rano się wybrałeś. Na ulicy przeciera się dopiero dzień. Mało ludzi i chyba tacy sami jak ty, bracie. Człapią tymi buciarami, a plują, a kaszlą. Czasem przejedzie wóz z cegłami, albo z pieczywem, co to zapachnie ci pod nosem aż ckliwo. Albo samochód przefurczy z grubymi paniskami, albo oficerami, co to obok siebie dziewczęta takie młode wiozą, aż ci mróz po kościach przejdzie. To ci dziady zatracone, staruchy przeklęte! Z zabawy wracają, używają. To ci świat podły. Eh! Napatrzysz się bracie na niejedno, jak nikt inny. Bo to bieda cię nosi po dachach, strychach, piwnicach, kanałach, kopalniach, fabrykach, urzędach, szpitalach i diabeł wie gdzie. Z tą siekierą, piłeczką chodzisz, budujesz, naprawiasz, przerabiasz. I wszędzie idziesz pierwszy. W nowo wykopany korytarz kopalni idziesz, ściany w ziemi szparajsować, żeby ludzi nie

przysypało. Na budowie rusztowania dla murarzy robisz odpowiedzialne, sztagi dla koźlarza i tych chłopaków, co to wapno noszą. Buduje się most, to linę naciągasz od brzegu do brzegu, pontony łączysz, filary wytyczasz nieraz po szyję w wodzie. Wali się dom stary, podpierasz go słupami, żeby ludzie mogli na czas się wyprowadzić. Tonie okręt, idziesz pierwszy dziurę zatykać przed tą wodą, co cię bije w twarz, i oddechu złapać nie daje. Psuje się dach nad halą browarnianą, musisz naprawić go tak, żeby ani jedna trzaseczka, ani jeden pyłek nie spadł na dół na maszyny drogie, zagraniczne. Rób co chcesz, cieślą jesteś, saperem, który musi być na swoją robotę przebiegły jak adwokat, jak starzy cieśle powiadają.

Albo w salonach u jakiejś jaśnie pani hrabiny pokój trzeba przedzielić ścianką, bo coś jej tam przeszkadza na nerwy, czy jaka choroba. Zrobić musisz tę ściankę tak, żeby szkody nie zrobić, dywanów nie podrzeć, tych jakichś flaszeczek i figurek nie potłuc. I jeszcze hałasu nie robić, bo ta jaśnie pani tego nie lubi. Uderz bracie obuchem, żeby przypasowało, to już leci jakiści lokaj i zaczyna ci językiem długim od wylizywania talerzy mielić. Eh, palnąłbyś tę mordę bezwstydną, ale się musisz, bracie, wstrzymać i tłumaczyć grzecznie, że to nijak nie można inaczej. A ten ci daje mądrą radę, phi. Trza siekierę owinąć, to nie będzie stukała. Patrzysz i rzeczywiście przynosi ci kawałek koca i każe siekierę owinąć. Phi. Szkoda, że nie przyniósł aksamitu albo jedwabiu. Elegancka robota! Bijesz tą siekierą owiniętą, jakby cię po wątrobie biło. A tu jeszcze próbują cię, czyś nie złodziej przypadkiem. Złoty zegareczek położą, że niby to zapomnieli, albo banknot papierowy na tyle pieniędzy, żeś jak żyjesz nigdy nie widział takiego. Rzucą ci przed oczy na takim stoliczku czeczotowym, koło jakiejści lalki czy marmuzeli gołej, że tylko patrzyć, a spluwać, żeby było gdzie. Bo to i splunąć z obrzydzenia nie wolno. Patrzysz bracie na ten papierek i tylko zębami zgrzytasz, bo wiesz, że to na złość położyli. Żebyś wiedział, gdzie robiłeś, tfu. Ale to jeszcze nic.

Jednego razu robiłem w banku, bo tam do piwnicy kasa przychodziła, taka co ważyła pięć ton i trza było ją do tej piwnicy zanieść i ustawić. Trzeba było naprzód wyłożyć taką drogę dla tej kasy deskami grubymi na cztery cale przez cały hol, żeby posadzka nie potrzaskała, a pod spodem sufit podeprzeć słupami, żeby się pod tą kasą nie zawalił. Wypadło tak, że robota była w nocy, bo w dzień ruch był i zresztą panowie bankierzy nie chcieli, żeby wszyscy widzieli, jaką to skrzynię na pieniądze mają wielką. Trza było podkładać drągi, łomy żelazne, wałki; podtrzymywać, uważać, krzyczeć do zachrypnięcia. A najgorzej to na schodach do piwnicy. Eh, praca była piekielna i kiedy już kasa znalazła się w piwnicy, to tych dwanaście chłopa ledwo żyło. To wtedy człowieka wzięła taka złość, taka złość, że byłby człowiek tę kasę rozbił tymi pięściami. Bo i jak?... Tu ludzie pousiadali odsapnąć, obetrzeć pot słony z oczu, a tu patrzysz bracie, tfu, ki diabeł. Lezie ci jakiś człowiek nie człowiek, pokraka w takich cichołazach, cały na czarno, schował się pod schodami i patrzy. Tfu! Szpieg! Patrzy, czy nie dobierają się do tych safesów. Pilnuje niby. A niechże cię jasny piorun z takim pilnowaniem. I dlatego taka złość i dlatego pchasz to pudło zatracone pokrwawionymi rękami, pędzisz chłopów, aż para z nich bucha. Aby dalej, aby prędzej z tego miejsca ohydnego. Dalej! Hej szuup, hej szuup, lepiej. Jest nareszcie pod ścianą. Teraz tylko postawić ją na nogi. Podważ i podłóż! Wyżej, jeszcze, jeszczē! A teraz chłopcy w ręce brać ostro, poprawić, dobra nasza! Teraz przysunąć jeszcze do ściany, do tych różnych drutów, które mechanik potem załączy do kasy, żeby tego złodzieja, jak się zakradnie, pokręciło elektrycznie. Nareszcie koniec roboty. Wychodzić, wychodzić i dopiero na ulicy można odetchnąć. Odwalili robotę o jakie

dwie godziny prędzej, a deski i słupy? Pal je sześć. Niech tam jutro kto inny pozbiera. Pytają ludzie, co za bąk cię ukąsił tam w piwnicy? Tak, teraz można opowiedzieć wszystko po porządku, co i jak. O tym szpiegu niby. Teraz dopiero ludzie zaczynają kląć. Ale mówią: dobrześ bracie zrobił, żeś w piwnicy nam nie pokazał tego szpiega. Wybiliby go i nieszczęście gotowe. Tak, tak, trza mieć głowę na karku, bo co by się stało, gdyby tak w nocy, w piwnicy banku, ludzie zaczęli bić człowieka. Chociaż myślę, że to nie był człowiek, ale bydlę. Takiego to by warto w dzień zobaczyć. Tfu! Obejrzeć sobie ze wszystkich stron.

Tak, tak, napatrzysz się, człowieku, w tym życiu, że i na wołowej skórze nie opisałby. A wszystko jakby się żywcem wypisywało na twojej skórze robociarskiej. Widziałem raz taki malunek na naszej nielegalnej gazetce, gdzie było wyrysowanych kilku brzuchaczy z workami złota, jak siedzą na plecach robotnika i cisną go, aż mu oczy wyłażą. To był mądry człowiek ten artysta, który tak umiał wyrysować. Bo tak to i jest sprawiedliwie, bo to haruje człowiek i haruje bez końca i nie dość na tym: ale ani zapłacone za tę pracę ciężką i prawa żadnego nie ma do życia i wszędzie, gdzie się obróci, to tylko ganiany jest jak ten wściekły pies bezdomny. I nieraz się człowiekowi zdaje, że trzyma na barkach nie tylko brzuchaczy z workami, ale cały świat. I dlatego, kiedy człowiek słucha, jak to tam na wschodzie nareszcie robociarz i chłop wyrzucił brzuchaczy, to aż mu się lepiej robi we wnętrzu. I dlatego, kiedy człowiek słucha, że jest tam taki człowiek, który przysiągł, że nie zdradzi klasy robotniczej, jak to robili dotychczas różni „towarzysze“ z P. P. S., i tak kręci, i tak prowadzi politykę, żeby zawsze wyszło na naszą robociarską stronę, to myślę se nieraz: abyś zdrów był, towarzyszu Stalin, sto, dwieście, tysiąc lat, żeś nareszcie zrobił porządek i dojechał końca pasibrzuchom i strącił ich z naszych pleców. I tylko myślę se zawsze, kiedy to u nas nastąpi, oby jak najprędzej, bo już dychać nie można.

Kiedy przyjdziesz na budowę, już siedzą tam staruchy, co to nie wiadomo kiedy śpią. Żebyś, bracie, nie wiem jak wcześnie przyszedł, już któryś z nich jest. Siedzą, fajki kurzą. Roboty pilnują. Wiedzą, że chyba ostatni raz w życiu mają robotę. I tak nie mogą się z tym jarzmem rozłączyć. Jak woły stare. Potem przychodzą młodsi, pousiadają se rzędem na jakim belku albo na ziemi i czekają. Gadają o różnym. Jak to roboczy naród... O czym będzie gadał jeden z drugim, jak nie o tej biedzie, która ciśnie już tak, że tchu brakuje. Tylko te chłopaki od wapna nie posiedzą na miejscu. To szturchnie jeden drugiego, to w kark palnie. Że to takiemu się gzić chce. Biedne to, gołe, bose, o postnym kawałku chleba, a dokazuje. Żal patrzeć, co się z tego zrobi za kilka lat. Nie poznałbyś, bracie.

Nareszcie przyszedł podmajstrzy i zaraz zaczął latać, krzyczeć, a potem ludzi wywoływać z notatki po nazwisku. Porozpędzał do roboty, jak zwykle, z krzykiem, jakby się paliło. Wiadoma rzecz, im prędzej skończy się budowa, tym więcej zarobią panowie przedsiębiorcy i podmajstrzemu coś rzucą, jak psu kość. Mnie przeznaczył do windy. No, nie lekko będzie tego tygodnia. Windę trza nasztukować ponad dach, żeby murarze mogli kominy murować, wapno, cegły mieć pod ręką. Słupy trzymetrowe podali windą, deski na opaski, klamry, gwoździe, siekierę za pas i dalej piąć się, jak w cyrku. Ostatnia platforma windy znajduje się akurat na równi z gzymsem czwartego piętra. Tu porusza się wałek windy do nawijania liny. Teraz trzeba go zdjąć, gdyż pójdzie on o trzy metry wyżej. Stąd trzeba przerzucić pomost na mury. Więc naprzód słupy. Dwu pomocników podają ci słup. Spuszczają go powolutku do górnego końca ostatniego słupa windy. I tak muszą trzymać, aż przymocujesz słup klamrami. O, bracie, mówię ci: zawrotu głowy nie śmiesz mieć, bo już i po tobie i po robocie. Zanim ten słup złapiesz klamrą, zanim go choć

trochę na razie przyfastrygujesz klamrą, to i ty, i słup, i dwa chłopy trzymacie się powietrza. Nic, tylko nogi rozstawić szeroko na samym krajutku platformy, ręce wyciągnąć przed siebie jak długie i tak spuszczać słup powoli, powoli na górny koniec dolnego słupa. Tylko trafić na niego akurat, bo inaczej pociągnie wszystkich trzech w dół. A tam na dole nie opłaci się już zbierać te kosteczki rozbite na proch. Siłę w rękach trza mieć. Trzymasz słup, aż ci pazury się pozaginają, a oczy wyłażą na wierzch. Nogi ci się zaczynają trząść od trzymania tej równowagi. Nareszcie stuknął o tamten słup. Łapiesz teraz dech i potem nie możesz rąk oderwać. Jakby się przylepiły. Kurcz bracie. I dlatego starym cieślom tak się ręce trzęsą. To od tych wind, rusztowań, krokwi i od tego wspinania się po różnych wysokościach. Powiadają, że w innych krajach są maszyny i różne takie wynalazki, żeby temu robotnikowi ulżyć w pracy. Nie wiem gdzie, chyba w Rosji, ale u nas to wszystko po staroświecku, jak za króla Ćwieczka. A tu u nas, to trzeba wyciągać żyły. Po tym ustawieniu słupów trzeba je przymocować deskami na krzyż. Chłopy deskę potrzymają, a ty bracie wyleźć musisz po tym ledwo przymocowanym słupie, żeby deskę gwoździami przybić. Siekierę wpychasz z tyłu za pas, gwoździe w zęby i dalej piąć się po słupie, jak po kiełbasę na festynie. Chwieje się to wszystko na wszystkie strony. Chwytasz ręką siekierę i chcesz ją wyjąć zza pasa, a tu masz: wysunęła się i poleciała w dół. Patrzysz głową odwróconą i patrzysz bez pamięci. Siekiera leci akurat na tych trzech na dole, co to stoją pod windą. Wypluwasz gwoździe i krzyczysz na całe gardło i czujesz, bracie, że łapie cię jakiś całkiem inakszy kurcz. Po grdyce cię coś łaskocze, a w głowie huczy. O niczym nie wiesz, o wszystkim zapomniałeś i tylko jedno wiesz, że siekiera leci na głowy tych trzech na dole. Krzyczysz co sił:

— Siekiera!

— Ludzie na bok!

— S i e k i e r a a a!

Odskoczyli, jakby w nich piorun trzasł. A temu jednemu świsnęła tuż koło ucha. Podnieśli do góry twarze białe jak papier. A potem, to patrzą raz do góry, raz na siekierę zarytą w ziemię. Potem wygrażają pięściami.

Ale potem chwytają ją szybko i jeden z nich, ten którego omal nie zabiła, chowa ją pod deskę i łopatami nabierają wapno, jakby nigdy nic.

Dlaczego to zrobili?

Bo nadchodzi podmajstrzy. Węszy tym swoim czerwonym nosem jak pies.

JERZY PUTRAMENT

OSTATNIE LATO

To lato. Słońce. Upał. Zakurzone drzewa.
Stolice się przesiadły w nadmorskie pociągi.
Kelnerzy przy stolikach. Łysiejący mieszczuch
od blasku białej plaży mruży się i ziewa,
czytając, że daleko, gdzieś tam, w Chinach, ciągle...
i z nudów zwolna w morzu nurza miękkie ciało.
A w obumarłych miastach giełdy-sejsmografy
już nerwowo dygocą od wstrząsów złowieszczych
i węszą złoto we krwi. Gabinet premiera
jak okręt. Jego sternik głowę osiwiałą
pochylił, niecierpliwie wypatrując rafy,
na którą całym pędem ma najechać.

Noce
rozbzykane iskrami szyfrowanych depesz.
Nad wojskowym lotniskiem gwiazdy z nieba ściera
senna dłoń reflektora.
Nudna jest i trwożna
epoka, której jasność pachnie próchnem. Oceń
jej przejrzałą, bezpłodną naiwność.

Rocznice
wiekopomnych przełomów, gromowładnych zwycięstw
wstają, wyblakłe, z grobów, aby się przekonać,
że z nich nie pozostało nic, prócz pustej nazwy.
Krótkonogie ministry na trybunę wlazły
i przed gromadą fraków długo pieją chwałę
stupięćdziesięcioletnią zdobycia Bastylii,
a konni policjanci strzegą, by nie można
było podejść pod pomnik wnukom Robespierra,
bo ich wzrok może zepsuć uroczystą rewię.
Huczy bruk od dorocznych, wojskowych defilad.
Patrzysz na czołgi, konie, armaty i nie wiesz,
czy tu dzisiaj ćwierćwiecze tamtej wojny czcili,
czy ruszali na nową.
Bastylia zburzona,
wróg na zawsze rozbity — wszystko znów powraca.
Tak ciężkie sny dzieciństwa nawiedzają starca,
z których się już nie zbudzi.

Wieczory niemrawe
wędrują po wsiach dymem spalenizny. Czyżby
ziemia tak, jak w czternastym zawczasu przeczuła
żar, który ją niebawem pożre? Nie, to pewnie
jeszcze dymi sczerniała kastylijska Sierra.
Zbyt groźna w swej młodości była, by jak Piłat
rąk nie umyć i do stóp rozbójniczej ciżby
nie cisnąć pod wzniesiony, ciężkozbrojny kułak.

(z cyklu „Zachód")

LEON PASTERNAK

POETA I ZACHÓD

Wszystko się u nas
dźwiga naprzód
i naprzód.
Wczoraj bagna
dziś miasto
w tym miejscu wyrasta.
I choć bezbożnicy
zacofanym
babciom
nie smakują,
bo cuda
są tylko w ich łaskach,
rosną miasta
i ludzie.
Rosną cuda i basta.
Epatują: „Ach! Zachód!"
Cóż? Wiemy. To było.
Humanizm,
komfort,
żądze za pieniądze.
Poza tym mordownia
przyznacie — niemiło,
u nas
skromniej co prawda,
lecz przyjemniej sądzę.
Na tarczy
kompasu
dużo się zmieniło,
na nas to
ów Zachód
nastawia swe uszy.
Dla nas
wrogów nienawiść
pracujących miłość,
taki żywot
udziałem
geniuszy.
A tu pewien
poeta
niby postępowy,
co snobizm
na wiersze
zamieniał z talentem
cierpi
na niedosyt
i zawroty głowy
w naszych czasach znaleźć
nie może
pointy.

On musi „pogłębić",
on w wszystko się „wzębia"
próbuje
czy warto
wyciągać wnioski,
a mnie się —
przepraszam —
zdaje, że ta głębia
sięga
nam wszystkim
najwyżej po kostki.
No i brak mu
tematu.
A tu przecież pod nosem
poetyckiej
rudy
kryształowe góry! —
I jak tu
nie dostrzec
naszych dumnych wiosen?!
Do stu tysięcy
ton
manufaktury!!
Chodzi ów i sarka
na tamto
i na to
zapoznany w sławie,
za nim szmer:
nowator!
A tu
rok pięciolatki
bez przesady cienia,
prostych ludzi
na twórców wiekopomnych
zmienia.
Dumny batrak
traktora
po raz pierwszy dosiadłszy,
lub robotnik
znad taśmy
kiedy zerknie
w okna,
jak
Leonardo
w nowe wieki patrzy,
pracując
— w komunizm
wbitą myśl
i wzrok ma.
Ale nasz
rezoner,
taka biedna figurka,

co się
życia nawąchał
z estetycznych rozpraw,
który
cegły się boi,
by nie zdrapać naskórka
patrzy
na nas
z uśmiechem Cagliostra.
Rwijże dalej
nad nimi
najwspanialsza z epok!
Bojaźń, lotu
zostawmy
jednodniowym jętkom,
ogarniaj
nasze
wszechzwiązkowe niebo,
sen
płosząc z oczu
przemądrzałym mędrkom.
A Zachód?
Przyznaję.
Skrzętny naród Goethego
Przydałby się,
przydał,
ale z tym powoli,
będzie Zachód,
a z czasem,
nawet więcej z tego,
niech was
o to
już głowa nie boli.

ZUZANNA GINCZANKA

W BITWIE O URODZAJ

Kiedy się kończy bój i stygną łuski kul,
zwycięstwo czcisz marmurem białym i eposem.
I tu się toczą bitwy. Nagłe świty wiosen
przestrzeń tobie ukażą rosnącą jak łuna,
przestrzeń tobie ukażą buraczanych pól.
Niech ją sławi, błyskając i grzmiąc, twoja struna.

Pod silnym liściem głębiej warzywa soczyste
słodyczą nabrzmiewają żywą jak krew twoja,
gdy nagle zgrzyta pancerz, chrzęści czarna zbroja,
podpełza i naciera twardy, chciwy żuk.
Przekłuty miąższ wysycha, rdza pokrywa liście.
Do broni! Oto sięga po urodzaj wróg!

Skądże odsiecz nadejdzie? Szybko i okrutnie
na wroga niech uderzy — w bitwie nie ma łaski.
Ileż mają dziewczyny w gniewnych oczach blasku,
gdy prowadzą, odświętnym warkoczem kołysząc,
łagodne, srebrne kury o puchu mięciutkim,
niosące polom odsiecz i obfitość przyszłą.

Dziób ptasi tnie jak bagnet, losy bitwy zmieni.
W granicie utrwal warkocz i mięciutkie pióra,
niech je pochwali wiersza namiętna cezura;
latom, które nadejdą, niechaj pieśń opowie,
jak wstawał na tych polach w roślinnej zieleni
szorstki, chropawy patos i dni tworzył nowe.

JAN ŚPIEWAK

ROZMOWA Z PRZYJACIELEM

Pamiętasz miły, gasły dni w uliczkach, w których kroki nasze
dźwięczały zwolna. Na dachy słońce kładło cień-kamienne głazy.
I było smutno. Mroźna wiosna wiatrem wiała, razem
szliśmy. Płonął bruk. Budziliśmy uśmiechem twarze.
I myśli wyprzedzając słowa kruszyły miasto, potem ptakiem
niemo krążyły pośród nas, nim krzyk wybuchał. Jakże wyrzec
i śpiewnie kazać wierszom mówić i buntem bić i dawać znak,
gdzie iść i ukazywać zło i wiarę swoją twardo nieść wciąż wyżej.
I niech oślizgłe pańskie gęby gromadzą policjantów dalej,
niech obozami szczują, pałką. Nadchodzi czas, nasz czas. Widzimy jasno.
Przeminie pycha złota, fałszu. Klaskały bramy. Cienie alej
dłużyły się. Szedł dzień. Szła burza. Nadchodził pierwszy maja właśnie.
A ty mówiłeś mi, pamiętam — patrz na ten portret — to jest Stalin.
Ty widzisz Jego wzrok, to radość. Szczęście rzekłem i powiedzieliśmy
wzajemnie,
będziemy dalej iść przez kraty więzień, ognie burz, bo On jest w tobie
On jest we mnie.
On w naszych sercach, tam płyniemy, gdzie Jego miłość nas ocali.
I dni mijały. Słońce często gasiły gwiazdy. Kwiecień ogromny
popłoch niósł. I okna domów szły ku liściom i zamykały się w szeleście
rudawym blaskiem krwawiąc nieraz. Nocą wywlekli ciebie z domu
plugawi szpicle. Sam zostałem. Szukałem twoich kroków w obcym mieście.
Pałkami, pałkami, pałkami poetę katowano w kaźni.
Poezjo dojrzewaj w drzewach, jeśli serca umiały nienawidzieć tylko.
A myśmy dalej szli, jak bojownicy Stalinowskiej epoki. Nie chyłkiem,
nie podstępem. Na sobie czując Wodza wzrok czas pochylaliśmy wciąż
jaśniej
ku sobie, aż nadszedł w tankach i dni czerwony wyścig
wyzwolił nasze pieśni z smutku. Jak burza biją, grzmot, jak tasak.
Tak, przyjacielu, przeżytym dniom pozdrowienie, a teraz w szeregu armii
harmoniści
do marszu podajemy takt idącym po zwycięstwo masom.

ALEKSANDER HAWRYLUK

BEREZA

REPORTAŻ

Młody poeta podróżuje.

Mocny łańcuch twardo uciska przeguby rąk. Obok na ławce siedzi policjant z karabinem w ręku. Okna wagonu przesłania biały szron. Na dworze wściekły mróz.

Nie po raz pierwszy wypadło mu jechać okutym. Pierwszy raz — kiedy to było po raz pierwszy? Aha, wiosna była wtedy na świecie (przed pierwszym maja) i wiosna była w jego życiu. Policja uwoziła go z ojczystej wsi nie jako pisarza, lecz jako 17-letniego wiejskiego parobka, rozkochanego w książkach. Mocne i surowe było to wrażenie. Matka biegła za wozem, niosła węzełek ze strawą, u wrót płakały jakieś dziewczęta, ostro nowe było odczucie utraconej wolności.

Jakkolwiek nie nowe, to przecież jeszcze cięższe było wrażenie za drugim razem. Wybrano ich wtedy z całego okręgu i zwieziono ciężarówkami do lochów „defensywy": dławiącym ciężarem przygniatało to, że policja pochwyciła w ręce nici organizacyjne, wykryła wszystko i zagarnęła dłonią pewną i nieomylną.

Potem, zaznawszy twardej szkoły więzień i konspiracji, rósł on w zawodowej walce proletariackiej wyrastając jednocześnie jako pisarz. Lecz zamiast stać się zawodowcem literatury, wykształcił się w wielkim mieście tylko na zawodowca rewolucji, wśród sponiewieranych, gniewnych, bezrobotnych rzesz proletariatu. Dlatego jedzie znowu okuty.

I chociaż jest on teraz bardziej zahartowany niż niegdyś, ogarnia go lęk. Nie wiozą go do więzienia: przyszła po niego policja z białym papierem, nakazem pana wojewody, ażeby go „odosobnić" w Berezie Kartuskiej. Tym razem nie katowano go w policji i nie dręczono badaniem. Obchodzono się z nim nawet uprzejmie. Wszak „Bereza" wystarczy za wszystko.

„Bereza". Nazwę tę znali wszyscy, acz surowo zakazywano mówić o niej. Nazwa ta wyrosła do znaczenia symbolu, choć mało kto wiedział o niej coś konkretnego.

Ale wiedziano rzecz najważniejszą: skoro się okazało, że w walce z ruchem rewolucyjnym nie pomagają wyroki skazujące na długoletnie więzienia, prowokacje, „defensywiackie" metody badań, „pacyfikacje" wsi, wtedy rząd polski wynalazł i stworzył coś najwymyślniej dzikiego, coś, co powinno było złamać najtwardszego człowieka. I oto w roku 1934 rozeszła się wieść o stworzeniu „polskiego obozu koncentracyjnego", i od tej chwili zaciążył on nad krajem niby cień potworny, wstrząsając lud dreszczem ohydy, strachu, oburzenia i gniewu.

Nawet polskie koła reakcyjne były nieco zakłopotane tym, że ich rząd tak „odważnie", z takim cynizmem zrzucił maskę wszelkiej przyzwoitości i „kultury europejskiej".

Toczy się pociąg. I młody pisarz wie: wiozą go nie po to, aby go uwięzić, ukarać lub odciąć od świata, lecz po to, aby go złamać, zniweczyć. Umieszczą go w takich urządzeniach, gdzie jego duch rewolucyjny i godność powinny rozpaść się, jak rozpada się wiór w ogniu, grudka ziemi w wodzie. Tak postanowili oni.

Przed oczyma jego pamięci natarczywie staje obraz rozstania się z rodziną: nagle wszystko zagęściło się do najwyższego, niemal efektownego — jak w powieściach Wiktora Hugo — napięcia: ciężko chora na zapalenie płuc matka była bliska śmierci, gdy policja wczoraj nocą przyszła go zabierać. I oto, poprzez majaczenia gorączki, matka spostrzegła policjantów, zakuwających syna w kajdany... i wtedy ów bezsilny, żałosny płacz

umierającej... Ojciec, który w porywie rozpaczy jął w oczy przeklinać policjantów... Żona, skamieniała dzięki jakiemuś najwyższemu wysiłkowi woli w cichy spokój, niezachwianie składała w tłumoczek bieliznę i jadło, pragnąc uspokoić wszystkich. Był to — rozumiał on — szczytnie mądry z jej strony wysiłek, ażeby jak najlżejszą uczynić dlań chwilę rozstania, ażeby odszedł z domu spokojny, bez obrazu rozpaczy swoich najbliższych. Jakby spokojem swym zobowiązywała i jego do takiegoż spokoju, skroś własną tajoną udrękę. I dopiero po jego odejściu na pewno padła na łóżko i zaszlochała, chwycona rozpaczą bez pociechy. Szczególniej nie może pozbyć się on obrazu syna: jak podniósł się chłopczyna 5-letni, z posłania, i jaka niedziecięca rozpacz, i jaka niedziecięca nienawiść do policji zaświeciły się w tych oczach dziecka. Młody poeta wie: to, co powiedział on synowi na pożegnanie, dziecko pamiętać będzie na wieki, choć były wyrzeczone słowa niedziecięce. I słowa te kształtować będą rozwój i świadomość nowego człowieka i określać jego szlak życia.

Ale młody poeta odgania precz od siebie te uparte obrazy: nie wracać mu myślą do swego ukochania. Nie. Zastygnąć mu trzeba w twardą, kamienną, niewrażliwą skałę. Nie jest on teraz ojcem, nie jest synem, nie jest ukochanym. Jest tylko przedstawicielem klasy pracującej, bojownikiem wszechświatowego frontu komunizmu, i przeto powinien, musi zachować honor bojownika, bez żadnej plamy. Ażeby i ten policjant, który siedzi obok na straży, nie dostrzegł ani śladu udręki, bólu czy niedoli. Trzeba stać się niepokonanym złomem woli klasowej, niemiłosiernie odtrącić wszystko inne. Trzeba... Może nawet tak i lepiej, że jedziesz: skoro jesteś pisarzem swego ludu, to dobrze zrządził los, że i to zgłębisz osobiście i dasz świadectwo przed obliczem świata. Idź, aby zliczyć wszystkie ciosy i męczarnie, twoja to jest rola i bądź wdzięczny, że los pozwoli ci być wiernym świadkiem doli proletariatu.

Policjant spogląda nie rozumiejąc: co za człowiek, opuścił bezbronną rodzinę, konającą matkę, idzie na jakąś straszną mękę i wiezie kamiennie spokojne oblicze. Cóż to jest w nich takiego?

Pociąg mknie. Poleskie nazwy stacyj: Żabinka, Kobryń.

Nareszcie oto ona — Bereza, maleńka stacja poleska, kilku zgarbionych, obdartych woźniców.

Okazuje się wszakże, że od stacji jeszcze sześć kilometrów. Na mrozie i wietrze kajdany od razu zaczynają piec jak ogień. Policjant widzi, że aresztant już odmroził sobie ręce i, nie rozkuwając, zaciąga jakoś na nie swoje rękawice. Sanie pędzą. Wiatr tnie po twarzy. Uszy marzną, a nie można w żaden sposób osłonić ich zakutymi dłońmi. Woźnica milczy i nie ogląda się. Może codziennie wozi takich podróżnych i życie od tego stało mu się katorgą.

Oczy szukają okropnego celu. Puste, zimowe pole. W oddali, po lewej stronie jakieś sześciokątne wieże i kamienny mur. — Nie — oznajmia woźnica nie oglądając się — to ruiny klasztoru Kartuzów, stąd i nazwa Berezy Kartuskiej. „Bereza" — ot tam.

I spośród płaskiego pola wyrastają dwa olbrzymie, czerwone domy, trzypiętrowe, masywne. Tu na pustkowiu uderzają swymi rozmiarami. Jakby przygniatają całą miejscowość i — duszę ludzką.

Domy otoczone są wysokim parkanem, lecz ten wydaje się niski w porównaniu z ich ogromnymi, czerwonymi murami. Wszystko to notuje młody człowiek sprawnie i dokładnie w pamięci, ostrą spostrzegawczością pisarza.

Po szosie, wzdłuż parkanu, powoli toczy się naprzeciwko wóz; ciężki, naładowany furgon. Bez koni: ciągną ludzie: w szarych kapotach aresztanckich, w maleńkich, idiotycznych czapeczkach. Na plecach przyszyte mają olbrzymie numery, wypisane czarnym tuszem.

Z piekącą ciekawością przygląda się im pisarz, usiłując odczytać z ich twarzy tajemnicę „Berezy". Co się wyryło w tych twarzach? Rozpacz? Niezłomność? Zgroza? Spokój? Jak odbiła się na nich istota Berezy, którą zgłębili już do dna? Nie, twarze te są nieprzeniknione. Są to twarze umarłe dla wszelkich odczuwań. Nikt z nich nie spojrzał nawet na niego, choć — niewątpliwie — wszyscy go zauważyli. Wśród martwego milczenia potoczył się wóz dalej, w towarzystwie odzianego w duży kożuch policjanta.

Ciężka, drewniana brama. W budce policjant w kożuchu. Sanie się zatrzymały. Ba, podjeżdżają nowe sanie: widać, że tym samym pociągiem przybyli też inni towarzysze niedoli.

Z bramy wychodzi kilku policjantów; nawet przyjezdna eskorta trwożnie ustępuje przed nimi: policjanci Berezy, to tędzy zbóje o prawdziwie bestialskich twarzach. Ohydne uśmieszki na ustach, w rękach pałki gumowe. Drapieżne i jednocześnie obleśne spojrzenia obmacują twarze aresztowanych, jakby z góry smakując jakąś rozkosz. Jest w tym coś przeraźliwego. I dlatego kurczą się trwożnie policjanci przyjezdni, choć każdy z nich u siebie na „posterunku", bez skrupułów bije codzień zatrzymanych. Czują oni wszelako, że cała ich „robota" jest tylko zabawą dziecinną w porównaniu z masową „produkcją" zorganizowaną tutaj...

Gospodarze z lekceważeniem, jak malców, wypytują o coś swych kolegów przyjezdnych.

Otwiera się brama Berezy dla przyjęcia ofiar.

Policjanci uśmiechają się urągliwie, podsuwają się do aresztantów.

Rozlega się komenda:

— Biegiem!

Jednocześnie wściekły cios w głowę ogłusza z lewej strony. Taki sam cios pałką z prawej przywraca równowagę. Uderzenie gumowej pały głucho przytłukło głowę z góry.

Aresztowani runęli ku bramie — lecz ciosy sypią się ze wszystkich stron. Biegną, potykając się, padając i podnosząc się pod ciosami, znów padają, gubiąc swe tłumoki i węzełki. Biegną wśród jakichś zasieków z drutu kolczastego, lecz wszędzie napotykają policjantów. Kaci wyskakują naprzeciwko swych ofiar, nastawiają się, jak footbaliści na lecącą piłkę, i strasznym zamachem pałki walą ludzi z nóg.

— Biegiem!

Aresztowani biegną pod gradem ciosów. Nie, nie wszyscy biegną: z tyłu ktoś jęczy przedśmiertnym jękiem, na śniegu. Lecz gonitwa nie ustaje.

— Biegiem!

Aresztowani przebiegają obok ostatnich policjantów. Ale to jeszcze nie koniec. Brzmi nowy rozkaz:

— Padnij!

Więźniowie spełniają rozkaz. Wszak i tak przed nimi piętrzy się kolczasty zasiek. Policjanci podchodzą i zaczynają bić rozciągnięte na ziemi ciała. Przechodzą od jednego do drugiego i biją...

— Wstać! Biegiem marsz!

Ludzie, słaniający się na nogach, runą znów pod ciosami. Biegną — lecz dokąd? Biegną wiedząc, że biegną w głąb Berezy, na dno Berezy. Kierowani ciosami, dostają się w jakieś komory z drutu kolczastego. Spotkani ciosami, wbiegają w drzwi gmachu. Ciosami zapędzeni zostają do maleńkiej izdebki. Głębiej, coraz głębiej, na dno „Berezy".

Tu, za stołem, zawadiacko odrzuciwszy czapkę na tył głowy, siedzi chudy policjant. Zadarłszy głowę do góry i założywszy nogę na nogę, spogląda na więźniów, na zmasakrowane, zeszpecone, skrwawione twarze. Ci czekają — ledwo trzymając się na nogach. Już wstąpili w Berezę.

Ale przecież Bereza dopiero zaczyna się tutaj, w tym olbrzymim gmachu ?

— No, przeczytam wam regulamin Berezy — odzywa się wreszcie policjant drewnianym, skrzeczącym głosem.

Dobywa z szuflady jakiś brudny świstek papieru i czyta, mniej więcej, co następuje:

„Każdy więzień obowiązany jest ślepo słuchać wszelkich rozkazów i wypełniać je natychmiast. W razie nieposłuszeństwa stosuje się środki przymusu, a także kary w postaci aresztu i karceru. Każdy więzień winien zwracać się do każdego policjanta nie inaczej jak „panie komendancie“ i nie czynić niczego bez pozwolenia ani jednego kroku. O wszystko należy prosić pokornie i o wszystkim meldować posłusznie. W Berezie wszyscy winni przestrzegać zupełnego milczenia. Przy próbie najmniejszego oporu użyta będzie broń.“

— Zrozumiano? — skrzeczy policjant i plugawo się uśmiecha. — Nie jest to, oczywiście, wszystko; wszystkiego się nie napisze. Niejedno poznacie z praktyki.

Tak. Aresztowani dobrze rozumieją, że to nie wszystko. „Posłuch, karcer, areszt“ — co za sielanka. Użycie siły w razie oporu. Wszak tego już zaznali... Choć w regulaminie, nawet w regulaminie Berezy, o tym ani słowa.

— A teraz — rozbierajcie się — kracze policjant. — Tylko prędzej. Z kieszeni wykładać wszystko do czapek.

Więźniowie zaczynają szybko się rozbierać, w pośpiechu rozrywając odzienie. Policjant otwiera drzwi i woła swych kolegów.

— Prędzej! — wykrzykuje kat. — Prędzej!

Wchodzą policjanci z pałkami w rękach.

— No, trwa to zbyt długo — kręci głową kat. — Ubierać się.

Prawie rozdziani więźniowie szybko zaczynają się odziewać, lecz ten z powrotem każe się rozbierać. Powtarza się to wiele razy, koszule z przerażającą szybkością to osiadają na plecach, to znów zjeżdżają z nich przez głowę. Lecz pośpiech ten na nic się nie przydaje, bo wykrzyknąć słowo zawsze można prędzej, niż odziać się lub rozdziać.

— Ech, ja was przynaglę! — wydaje okrzyk policjant i wyskakuje zza stołu.

— Skłon! — rozkazuje jednemu z więźniów. Nagiego człowieka popychają ku oknu. Ten, trzymany za kark, milcząc, oczekuje z twarzą pociemniałą. Policjant poprawia palto, zamierza się i z okropną siłą wprawia w ruch swą pałę. Rozlega się odgłos uderzenia, jakby drzewo runęło w lesie. Raz. I natychmiast: dwa. Dwie sine pręgi na szerokość dłoni nabrzmiewają w poprzek nagich pleców. Policjant z zadowoleniem przygląda się siniakom, jak mistrz zachwycony swym dziełem. I nagle zwraca się do drugiego:

— Spinki z rękawów czy wyjąłeś? Nie? Ach, ty...

Chwyta za pałkę.

— Skłon! Skłon, mówię, taki synu...

Raz! Dwa!

— Daj mnie — nie może powstrzymać się drugi policjant. Po prostu chce mu się popisać swoją siłą. Doskakuje, i zamierzywszy się, wali pałką w gołe ciało.

Więzień chwieje się i pada.

— Widzisz? — z dumą powiada „mistrz“. — Nie utrzymał się na nogach po moim uderzeniu.

— No, nerwowy jest jak cholera, ten poeta — odpowiada chudy. Widzisz, jak u niego drgają mięśnie? Zły.

Tak, przerzucając się słowami, jak podczas pracy nad martwymi przedmiotami, policjanci katują trzeciego i czwartego.

— A teraz do magazynu — biegiem! Biieegiem!

Gdzie jest magazyn, co robić w magazynie, nie wiadomo, lecz biją pałkami we wszystkich drzwiach i korytarzu. Okazuje się wreszcie, że magazyn jest to izba, położona naprzeciwko. Pod ścianami — półki z workami i walizkami. Za stołem siedzi policjant, rumiany jak dziewczyna, o czerwonych, dziewczęco delikatnych wargach, pobudliwy i nerwowy, oczywisty psychopata.

Magazyn na pewno będzie nową dawką kijów. Nie. Dziewczęcy policjant, klnąc i złorzecząc, zapisuje rzeczy, rzuca na ludzi puste worki, każe włożyć w nie ubrania.

Znów wypędzono nas na korytarz. Baczność. Obrócić się „komunistycznymi mordami" do ściany. Nie oglądać się.

Mimochodem pisarz spostrzega: tam w końcu korytarza — mury jakby się rozstępowały, jakieś stoły i ludzie za stołami. Ludzie — nie ludzie. Żywe trupy. Jest ich dużo. Młodego człowieka zdejmuje trwoga.

— Przez korytarz biegiem.

Korytarz wlewa się w niechlujną obszerną salę, podpartą słupami. Przez rozbite okna, zasmarowane gliną, przez szpary w drzwiach świszczą przeciągi. Pod ścianą piece, kocioł na kółkach. Dwaj okaleczeni więźniowie w łachmanach, z numerami na plecach, krzątają się koło pieca, podkładając drewka.

Przybyłym znów każą rozebrać się do naga.

Numerowani więźniowie obojętnie pracują w dalszym ciągu, nie patrząc nawet na przybyłych. Zbierają odzież, milcząc kładą ją do kotła, okazując zupełny brak zainteresowania wobec nowych towarzyszów, znów stojących twarzą do ściany z obnażonymi, skatowanymi plecami. Potem przychodzi jeszcze jeden więzień i zaczyna strzyc nowicjuszów tak obojętnie, jakby miał przed sobą nie towarzyszy niedoli, lecz jakieś istoty bezduszne. Było to okropne... Twarze bez wyrazu. Ani myśli, ani uczucia. Ponumerowane automaty...

Dla nowicjuszów było to straszniejsze od pałek, i oczy ich rozszerzają się od zgrozy. Stoją, nadzy, twarzą do ściany, i ciężar straszliwy przygniata im duszę.

Lecz, oto za plecami szept: — Towarzysze! Spocznijcie!

Co?. Co? Co do nich mówią? Nowicjusze nie dosłyszeli słów, lecz zrozumieli to, co najważniejsze: owi ludzie, napiętnowani numerami na plecach, są to towarzysze, oddani i wierni. Noszą tylko maskę na sobie, jakąś okropną maskę Berezy, lecz serca ich po dawnemu biją gorąco i wiernie. Policjant, który na minutę się oddalił, znów powrócił i znowu twarze szarych ludzi stają się ponuro-obojętne.

Oto wyjmują z kotła parującą, wyparzoną odzież.

— Ubierać się!

Nowicjusze naciągają na siebie ciężką, mokrą odzież, która nagle z gorącej staje się lodowato-zimna. Pędzą ich w głąb korytarza i znów stawiają twarzą do ściany, jest to zapewne zwykła postawa dla mieszkańców Berezy. Tysiące przeciągów wyje pod tymi sklepieniami. Mokra odzież przejmuje ciało chłodem nie do zniesienia. Woda, parując, w mgnieniu oka pochłania wszystko ciepło z ciała, i ludzie drżą jak w febrze. Nie drżą, ale dygoczą. Dygoczą ramiona, nogi, całe ciało trzęsie się jak w konwulsjach. Mięśnie dygocą poza kontrolą woli tak, że nie podobna utrzymać się na nogach. Fiju-uuu! świszczą przeciągi po korytarzach i salach, poprzez szczeliny drzwi i okien.

Lecz oto znów zbliżają się policjanci, otaczają więźniów. Słychać za plecami: — Ogrzać ich!... — i śmiech. I znów zaczyna się masakra ludzi, rozstawionych u ścian. Licz, chłopcze. To — dola twojej klasy. Raz! Dwa! Trzy! Czte-ry! Cztery? Czyżby tylko cztery? Może więcej, może pięć, sześć... Świadomość kruszy się od nieludzkiego bólu.

Raptem rozkaz: — Biegiem marsz!
Biegną przez korytarz. Za nimi młodziutki policjant.
— Stój! Do góry — biegiem marsz!
Aha, schody! — Biegną w górę, wspinają się na piętro...
— Z powrotem, biegiem marsz! — Zbiegają w dół.
I znów: — Na górę, biegiem marsz! — Do góry. Na dół. Do góry. Na dół.

Ta szalona gonitwa po schodach nie jest ćwiczeniem łatwym. W gardle zaschło, serce tłucze się w niepomiernym wysiłku, jak ptak, nogi odmawiają posłuszeństwa. I oto pierwszy upada piekarz, chory na gruźlicę kości. Pada i traci przytomność.

Obmierzły młokos nie doznaje zakłopotania.

— Co? — wyzywająco patrzy na pozostałych.

— Wodą go!

Lecz piekarz oprzytomniał sam. Towarzysze podnoszą go.

— Do góry biegiem marsz!

Wciągają towarzysza po schodach, pozostając wciąż pod ciosami pałek. Biegną teraz górnym korytarzem, po bokach — drzwi: jedne, drugie, trzecie, na komendę wpadają w czwarte.

Olbrzymia pusta izba, około 15 metrów długa, około 8 szeroka. Ściany — gołe, trzy duże okna, zabite deskami. Podłoga betonowa, i — ta pustka.

Wchodzi kilku policjantów z pałkami. Z głośnym śmiechem otaczają skatowanych ludzi. Ci patrzą oczekując — co za nową jeszcze torturę niosą ze sobą owe bestie?

— Będziemy was ćwiczyć. Będziem ćwiczyć! Zrobimy z was prawdziwe wojsko! Komunistyczne! Czy służyliście w wojsku? Nie? No, oczywiście, takie wrzody w naszym wojsku są niepotrzebne! Więc my was nauczymy musztry wojskowej. Tylko, że to, czego w wojsku uczą trzy miesiące, my wam zaaplikujemy w ciągu trzech godzin.

— Ty! — nagle krzyczy policjant do jednego z więźniów. — Coś za jeden? Zawód?

— Elektromonter — odpowiada człowiek.

— Aha. Elek-tro-mon-ter. Ta-ak. Montowałeś komórki komunistyczne? Skłon! Skłon — s...synu!

I straszny świst uderzeń: Raz! Dwa!

— Następny! Kto? Doktór? Ach ty! Skłon! ty k... t... mać!

— Poeto, twoja kolej.

Młokos policjant podchodzi do ciebie, pałką dotyka twarzy. — Ty jesteś pisarzem? Zbuntowany cham! Zobaczysz zaraz, ile są warte twoje książki. Zaraz zobaczysz. Ot... Skłon! — wrzeszczy i z jakąś odrażającą lubieżnością sposobi się do bicia. — Skłon — draniu jeden! Przychylcie no koledzy. Lepiej! — Pluje w dłonie, odrzuca mundur.

Cios!

Cios pałki policjanta Berezy, jak cios drwala, natężającego wszystkie siły, aby zrąbać uparty kloc.

Drugi!

Licz, pisarzu. Licz wszystkie ciosy, ażeby — jeśli wyjdziesz żywy na wolność — opowiedzieć światu o normie katowni w Berezie.

Trzy!

Licz, obowiązkiem twoim będzie opowiedzieć o doli twej klasy.

Cztery, pięć!

Świadomość mąci się. Ogień zalewa ciało.

Sześć! — jeszcze notuje myśl wyrywając się z płomienia, który ogarnął mózg.

Siedem...

I nagle rozlega się dziki, nieludzki ryk... i od razu przecinasz go straszliwym wysiłkiem woli, gdy tylko zrozumiałeś, że to ty krzyczysz. Jeszcze cios. Może dwa. Może dziesięć. Ciało wali się na beton podłogi.

Nie zliczyłeś ciosów w Berezie...

Więzień, dręczony nieznośnym pragnieniem, schodzi ze swego miejsca, schyla się do szyby i zlizuje szron. Lecz język czuje wilgoć zaledwo przez chwilę. W następnej chwili język i wargi drętwieją i lód już nie taje.

Od prawej strony dociera szept. Ktoś, zdaje się, doktór Prawin, szepce: „Odwagi, towarzysze, wytrwamy“. Ach, jak dobrze! — Oto człowiek, który przeszedł razem to wszystko, i jeszcze ma w sobie dość mocy, by podtrzymywać innych! Z ogromną miłością i wdzięcznością śle mu pisarz uśmiech w przeciwległy kąt. Pomiędzy nimi stoi jeszcze dwóch, na pół przytomnych ludzi. Pisarz uśmiechający się, zdecydowanie kiwa głową i wysyła szept-odpowiedź: „A jeżeli i zginiemy!...“ „Tak — kończy tamten kiwając głową — ...to zginiemy uczciwie.“ Ach, jak dobrze z takimi umierać! W duszy zapanował spokój i pogoda.

I gdy w świetle wątłej lampki elektrycznej znów zabłysły czapki policyjne, nie było już strachu, tylko spokojna gotowość śmierci. Czuli, że to nie potrwa długo, że wkrótce już runą martwo na ziemię zakatowane ciała.

Lecz nie, przyniesiono kubełek wody... Cudownej, czystej wody. Tak zimnej, że mroziła gardło. Życie powraca. Nie, tutaj na rychłą śmierć nie pozwolą. I znów: „Stójcie obróceni do ściany komunistycznymi mordami“.

Jeśli stać tak — oznacza odpoczynek, to odpoczęliśmy dość. Znów wchodzą oprawcy.

— Odwrócić się — cicho wydaje rozkaz młokos-sadysta. — Trzy kroki do mnie.

Oblizuje rumiane usteczka, uśmiecha się złośliwie i powiada dwuznacznie:

— A teraz zróbmy tak: „Padnij i obróć się na prawy bok“.

Co to będzie? — próbują odgadnąć więźniowie, przywarłszy do zimnego betonu.

— Spać — cichutko kończy policjant. — Tylko pamiętajcie: jeśli ktokolwiek odważy się poruszyć...

Strażnicy wychodzą. Drzwi zostawiają otwarte. Ludzie leżą. Czyżby naprawdę pozostawiono ich na kilka godzin w spokoju? A może to tylko jakaś zasadzka?

Podłoga betonowa chciwie pochłania ciepło. Beton wilgotnieje wokół rozpostartego, drętwiejącego ciała. Mróz tutaj prawie taki sam jak na dworze. Nie ma tylko wiatru. Kostnieje biodro, noga, chłód przenika całe ciało. Dla takiego „snu“ dość było by godziny. Ale noc zimowa jest długa. Wytrwać! Trzeba po prostu wytrwać, nie poddać się zimnu psychicznie. Zdobyć się w sobie na ten sprzeciw, który wspiera siły.

Ale to jest możliwe tylko do pewnego czasu. Możliwe przez jakąś chwilę. Ciało, z którego w ciągu dnia wyszarpano wszystkie siły, nie jest zdolne do takiej odporności. Chłód, jakby zaczyna krążyć po wszystkich komórkach ciała; ciało, zda się, zrobiło się porowate jak gąbka. Zatraca się poczucie czasu. Kto wie, czym ludzie mierzą czas bez zegara, czy rytmem swego serca, czy biegiem swej myśli... Lecz kiedy ciało dygoce na betonie wszystkimi włóknami równo i nieustannie, równo i nieustannie, wówczas minuty rozciągają się w jakieś niepojęte wymiary, i nie wie ciało, jak długo dygoce na podłodze.

Naciągnąć na głowę kołnierz marynarki... odsłaniają się przez to plecy, ale rzecz najważniejsza polega na tym, aby okryć twarz, aby,

oddychając przez sukno, ogrzać nieco powietrze, aby nie wdzierało się do płuc ubezwładnionego ciała jak mrożąca woda.

Bezspornie było by lepiej, gdyby siepacze wrócili i znów nakazali godzinę biegania, pełzania, padania. Oni wszakże tego nie czynią. Oto cicho zjawili się w otwartych drzwiach, lecz tylko po to, żeby spojrzeć, czy aresztanci nie zmienili położenia, czy nie próbują jakoś się ogrzać. I uśmiechając się ohydnie, znikli bezgłośnie jak koty.

I powoli, w tych minutach i godzinach bez miary i formy, chłód wypłukuje z ciała wszystką siłę, i zalewa cię noc najczarniejsza, jaka bywa na ziemi: beznadziejność. Czujesz, że nadchodzi kres, widzisz go już przed sobą, tu w najbliższych dniach, wszczepiony między pałki i katusze. I wtenczas głos wewnętrzny zaczyna ci szeptać kusząco a niby rozumnie:

No, cóż... koniec, widzisz przecież. Więc po co jeszcze znosić tę niezmienną ohydę, gdy kretyni biją was kijami. Uciekaj. Uciekaj! Ucieczka jest możliwa. Wyłam się z życia, aby wyłamać się z Berezy. Jak? Oczy pilnie szukają: nie, tu nie ma żadnego haka, nie ma i pasa. Ale... tak, gdyby rozpędzić się wzdłuż sali i wyrżnąć głową o piec... nie, piec jest okrągły, gładki, lecz choćby o ten kant cegieł... czaszka na pewno by pękła i... o, to brzmi jak tryumf. Padłbyś trupem i nie znałbyś już żadnych mąk ani znęcań nad sobą. Wyskoczyłbyś poza granice dosięgalne dla katów, wyskoczywszy z życia.

Wszelako z mroku wyrasta wspomnienie syna, żony: „Zostawisz nas sierotami?... Czy masz do tego prawo? Stchórzyłeś?“ — pytają z bolesnym wyrzutem.

No, a cóż ty poczniesz? — niby spokojnie i rozsądnie podejmuje myśl druga. Tak czy inaczej, przepadniesz. Owszem, wszystko to dobrze, zamierzałeś wszystko zliczyć, wszystko poznać i przemierzyć własnym bólem, ale widzisz przecież, że nie wyjdziesz stąd żywy. Czyż można przeżyć tak trzy miesiące?

„Ale to hańba: to — ucieczka“.

Hańba?! A to nie jest hańba, że biernie poddajesz się ciosom, że na komendę skaczesz i tarzasz się w prochu. Jeśli jesteś dumny, to zdobądź się na opór, na razy odpowiedz razami i zgiń w walce pod pałkami i bagnetami. W przeciwnym razie, i tak nie ujdziesz przed hańbą. Ja zaś nie namawiam ciebie do zdrady. Nie załamiesz się, tylko, jako pan własnego ciała, wyzwolisz je z upokarzających katuszy. Spójrz — tam, na ten kant muru, rozpędzisz się...

Lecz oto ucho chwyta jakiś ruch. Ledwo dosłyszalny... Co to? Rozpłaszczając się na ziemi, jak gad pełznie dokądś po betonie gruźlik-piekarz. Cały w gorączkowym naprężeniu, posuwa się niepostrzeżenie, cal za calem, w kierunku drzwi. Co to? Jakie zamiary wywołała w nim ta upiorna noc? On... co on robi? Przyczołgał się do drzwi, chwycił z kąta miotłę, i, przytuliwszy ją, jak zdobycz drogocenną, do boku, powraca tym samym gorączkowym ruchem pełzacza, na swoje miejsce... Aha, podesłał sobie miotłę pod chore biodro, które pewno rozszarpuje ból na zimnym betonie.

Fala wstydu zalewa twarz pisarza: oto ten śmiertelnie chory, jakież męczarnie znosi on tutaj i nie myśli o samobójstwie, a ty...

...O nocy bez końca. Kto zliczy twoje godziny. I kto zmierzy ich treść.

Pamiętam, w szarym brzasku poranka (bo jednak nastał poranek)— w brzasku poranka przed nami wszystkimi stanęło pytanie, co będzie dalej? Po pierwszym dniu Berezy — przeżytym, nie zaś przeczytanym — pytanie to stało przed nami ostre jak nóż. Co będzie dalej? Czy tak wygląda w Berezie dzień „zwykły“? I czy można wytrzymać takich trzy miesiące? A może tylko pierwszy dzień był taki, aby się otrzaskać, na-

stępne zaś będą lżejsze? Albo też następne tają w sobie nowe, jeszcze wymyślniejsze bestialstwa?

O nas jakby zapomniano. Do samego prawie południa panowała cisza jak w zatopionej łodzi podwodnej na dnie oceanu.

Co to znaczy? Czyżby naprawdę?... Czyżby taki miał być pobyt w Berezie, to jest po prostu — będą trzymali nas na betonie w pustej izbie o zabitych oknach i wymrażali jak pluskwy? Nie, nie, to być nie może. To byłoby zbyt wspaniale, byłoby to sielanką pasterską, byłoby to po prostu więzieniem, tylko z dodatkiem mrozu. A więzienie — czymże dla nas, ludzi pańskiej Polski, jest więzienie? — niewinna fraszka. Choćby nawet więzienie z mrozem. Możesz sobie siedzieć i kostnieć spokojnie. A jeśli termin trzymiesięczny, wypisany na bielutkim papierze przez pana wojewodę, będzie dotrzymany, to może i wyjść z tych murów się uda. No, zapewne, przyplątałby się w tym okresie kaszel, wyszedłbyś z gruźlicą. Albo, w razie najgorszym, umarłby człek spokojnie na betonie na zapalenie płuc, tyfus głodowy lub jakieś inne paskudztwo. Zmarłby sobie naturalną, lekką, ludzką śmiercią. Są to wszystko bagatele w porównaniu z nieludzką okropnością i ohydą opętańczych katowań. Czyż naprawdę pozwolą nam spokojnie zamarznąć?... Wtem drzwi otwierają się na oścież i przez nie wpada jakieś straszne, dzikie kłębowisko ciał o skatowanych, wykrzywionych od zgrozy i bolu twarzach. Jakie mnóstwo ludzi. Pod ciosami kijów rozsypują się, rozlatują w obłędzie po wszystkich kątach izby. Wbiegają coraz nowi i nowi, a w drzwiach bez przerwy rozlegają się, jak wystrzały, straszliwe chlaśnięcia gumowych pał i złowieszczo rozbłyskują daszki policyjnych czapek.

Nam dostało się dzisiaj mniej, gdyż policjanci zabrali się do „opracowywania“ nowego transportu, na wszystkich zaś nie starczy ani czasu, ani miejsca. Dlatego nam, wczorajszym, nakazano stać twarzą do ściany. Któż jednak wie, czy nie było to katuszą jeszcze większą — słuchać, jak za twymi plecami smagają jednego po drugim schylonych ludzi. Cios... Drugi... Trzeci... Piąty... Dziesiąty... I po każdym ciosie, wymierzonym w cudze ciało, mocniej tłucze się serce twoje własne, i oczekiwanie na odgłos nowego ciosu rozrasta się w wieczność, i serce nabiera rozpędu — niby jakaś międzyplanetarna rakieta do kresu swego lotu, do pęknięcia. Wiem teraz, jak się umiera, gdy serce pęka.

Włosy stają dęba, w piersiach czuje się brak tchu, gdy za tobą, pod uderzeniami pałek, na czubkach butów i na łokciach z jakąś nieludzką zwinnością, niby rój strasznych owadów, miotają się ludzie. (Był to transport z Wilna. Pamiętam niektóre nazwiska: nauczyciel Cukierman, kominiarz Rubinowicz, krawiec Rogow...)

Taki był dzień drugi.

W końcu dnia trzeciego okazało się, że odmroziłem sobie ręce. Rano poprowadzono więźniów na rewizję lekarską: doktór miał orzec, czy możemy wytrzymać taki „regulamin“. Z ciemnofioletowymi, spuchniętymi od razów, gołymi ciałami przechodziliśmy kolejno przed tym bydlakiem, wyposażonym w dyplom uniwersytecki.

Rozdano nam już odrażające kapoty z olbrzymimi, na całe plecy, numerami. (Mnie przypadł Nr 820.) Pod wieczór wezwano czterech, w tej liczbie i mnie, i nakazano:

— Po wodę biegiem marsz!

Pałkami spędzono nas na dół, pałkami wskazywano drogę. Na szczęście doktór Prawin, który już wprzódy zakosztował Berezy, znał drogę.

Wprzągłszy się w beczkę osadzoną na dwóch kołach, ciągnęliśmy ją, wśród zamieci, przez zaspy śnieżne, polem obozu koncentracyjnego. Ja szedłem w dyszlu, towarzysze popychali z tyłu. Czułem, że ręce moje marzną, widziałem — palce zbielały, lecz porzucić dyszel... Zrozumiałem, że dłonie moje giną i spróbowałem ukazać je strażnikowi, porzuciłem

nawet dyszel; lecz towarzysze, wpółobłąkani od przeżytej zgrozy, nie domyślili się lub nie odważyli się zastąpić mnie przy dyszlu, strażnik zaś zwalił na mnie taki grad razów, że pozostały mi tylko dwie możliwości: albo paść w zaspę śniegu, albo chwycić za dyszel odmrożonymi rękami.

Gdy wracaliśmy, nalawszy wody w beczkę, przy dyszlu stanął Prawin. Strażnikowi pilno było kończyć robotę, a tymczasem my z beczką ugrzęźliśmy w zaspie. Wtedy chwycił za pałkę i z wściekłością jął walić w schylony od wysiłku grzbiet Prawina. Straszliwym naprężeniem mięśni, aby ocalić towarzysza od ciosów, wywlekliśmy beczkę z zaspy. Strażnik znów spokojnie jął kroczyć za nami. I nagle z wstrząsającą jasnością spostrzegłem, że katuje on nas zupełnie beznamiętnie, jak rąbie się drwa, jak wyrabia się cegłę, jak buduje się domy. Że nie żywi on wobec nas żadnych w ogóle uczuć, ani nienawiści, ani złośliwości, że jest dlań rzeczą całkiem obojętną: czy ja ręce utracę, czy Prawin mieć będzie odbite nerki. Ze zgrozą zrozumiałem wtenczas, że ta dwunoga istota, idąca za nami z pałką, nie jest w ogóle człowiekiem i jednocześnie jest człowiekiem. Pamiętam, z niesłychaną udręką spojrzałem w śnieżne pola, jakby poszukując odpowiedzi. Lecz dokoła było tylko dalekie ogrodzenie z drutów kolczastych, a obok nas nieludzki człowiek z pałką, i żaden świat inny dla nas nie istniał...

*

I oto zacząłem poznawać „układ życia“ w Berezie, wchodzić w jej powszednią kolej.

Układ życia tutaj wcale nie jest więzienny. Nie. Wszystkie drzwi stoją otworem. W dzień w ogóle bywa tu pusto. W nocy ludzie śpią na narach dwoma szeregami, głowa ku głowie. Nad każdym — tabliczka z nazwiskiem i numerem. W świetle wątłej, żółtawej lampki sala przypomina bratni cmentarz. Śpiący, bądź co bądź, niepodobni są do ludzi żywych. Człowiek, wprowadzony tutaj bez uprzedzenia, wziąłby ich niewątpliwie za okaleczone trupy: taki jest wyraz twarzy ludzi śpiących, bezruch skamieniały, nawet we śnie, ich ciał.

O godzinie czwartej rano martwą ciszę znienacka przeszywa świdrujący gwizd. W tej samej sekundzie na wszystkich salach ludzie pędem staczają się z nar i stają na baczność, każdy u swego posłania. Brzęk kluczy i kroki w korytarzu.

Drugi przenikliwy gwizd. Z niesłychaną szybkością ludzie odbiegli od nar i podwójnym szeregiem uszykowali się pod ścianą naprzeciwko drzwi. Wchodzą policjanci.

— Kolejno. Odlicz!

— Raz! Dwa! Trzy! Cztery!... Dziesięć!... Czternaście!... Pośpiesznie odzywały się głosy. Jednakowoż starszemu policjantowi coś się nie podobało: jął groźnie wymyślać i wskazał na kogoś. Jeden z jego podwładnych dwoma razami pałki ukarał „przestępcę“.

Po dwóch minutach znowu gwizdek. Ze wszystkich drzwi otwartych wbiegają na korytarz ludzie, chwytają odzież złożoną na ławkach. Jednym dokładnym rzutem koszulę wciąga się na ramiona, a ręce już łapią za buty. Równomierny hałas panuje w korytarzu od wichru tego błyskawicznego ubierania się. Pośpiech jest zrozumiały: trzeci gwizdek — i wszyscy zastygają po komendzie „baczność“... i biada temu, kto nie zdążył się odziać, kto stoi w jednym bucie, albo ze swetrem w ręku. Osobliwie wystrzegać się trzeba, aby w zamęcie nie pomylić własnej odzieży z cudzą.

Gwizdek — zaścielać posłania.

Gwizdek — przygotować się do śniadania. Z menażkami w rękach, ludzie tłoczą się u drzwi czekając następnego sygnału. I oto, na dany

znak, pierwsza sala runęła w korytarz. Z chyżością rzuconego kamienia ludzie wyskakują parami, bo w tym szalonym pędzie koniecznie trzeba utrzymać szyk par. Z ostatnią parą sali pierwszej łączy się pierwsza para sali następnej, potem trzeciej, czwartej... Przebiegłszy pędem długi korytarz, potok ludzki skierował się po schodach na dół, lunął w korytarz dolny i zatrzymał się u drzwi kuchni. Nieskończony potok ludzki, wijący się wzdłuż zakrętów schodów, zamarł... Zastygł. Po czym wszczyna się powolny ruch; to pierwsi już otrzymali śniadanie — kęs chleba i kubek „żuru" — niemożliwie kwaśnego rozczynu z żytniej mąki. Ci, którzy otrzymali, szybko odchodzą na bok ustępując drogi następnym. Głodni ludzie z chciwością wilków pochłaniają chleb. Lecz oto — ledwo przyszła kolej na ostatnich, gwizdek oznajmia znów, że śniadanie skończone.

Bieg do góry, do sal. I znów gwizdki: „Do ustępu!"

Ustęp w Berezie. Ach, z jaką pogardą chciałbym opowiadanie swe cisnąć w twarz urzędowym paryskim i londyńskim „obrońcom kultury europejskiej", humanitarnie ubolewającym nad ruiną „szlachetnej" rzeczypospolitej panów polskich.

W każdej sali, gdzie śpi 28 ludzi, stawiany bywa na noc maleńki kubełek. Co rano zawartość kubełka przelewa się ponad krawędzie, wycieka na podłogę. Ludzie wściekają się, lecz opanować się nie mogą, oddają mocz do przepełnionego naczynia, wynik jest taki sam, jak gdyby wprost moczyli podłogę. Dyżurni więźniowie biedzą się także — wszak cieczy nie ma czym zebrać z podłogi, policjanci zaś, urągając, będą pałami uczyli schludności. Jednakowoż przed „terminem" nikogo do ustępu nie puszczą, chociaż drzwi są otwarte.

W oczekiwaniu na ów „termin", ludzie stoją, czerwoni od naprężenia, oblani kroplami potu od niewiarygodnych wysiłków. Nareszcie — gwizdek. Ludzie z pierwszej sali pędzą przez drzwi, mkną przepisanym, wściekłym cwałem obok policjantów, przez cały korytarz, i wpadają do maleńkiej komórki ustępu. Tu jest wszystkiego trzy miejsca, wtargnęło zaś tutaj ludzi koło trzydziestu. Na każdą salę wyznaczono trzy minuty włączając w nie także bieg przez korytarz. Zagadnienie rozstrzyga się po prostu: „Na podłogę". Mimo to, miejsca zaledwo starczy dla połowy mieszkańców pierwszej sali. Druga połowa czeka na swą kolej.

Policjant wszakże już woła, grożąc: „koniec s...nia!" Pierwszy okrzyk rzadko odnosi skutek, i strażnik, wdarłszy się do ubikacji, łupi pałką po grzbietach i głowach ludzi. Marsz!

Cel — a właściwie — sal — jest dużo: siedemnaście. Po każdej pozostaje ślad. A gdy podłoga korytarza już pokryta jest cuchnącymi śladami, policjant nagle zatrzymuje jedną celę:

— Co wy biegacie, jak senni? Już ja was podpędzę — szydzi.

I zaczyna się: Padnij! Wstań! Padnij! Wstań!

Podłogę wycierają ciała ludzkie. Odzież, ręce, wszystkie pory przesycone są smrodliwym kałem...

Opis mój, być może, grzeszy jaskrawością lub nawet nieprzyzwoitością. Ale przecież w pewnych stolicach Europy nie odwracają nosa od samych wynalazców tej dzikiej katuszy, owszem podejmują ich życzliwie, jako przedstawicieli sponiewieranego humanizmu europejskiego.

Nie upadałem na duchu, nie chciałem poddawać się rozpaczy. Dotychczas, we wszystkich ciężkich minutach swego, na ogół niełatwego życia, dodawałem sobie otuchy magicznym słowem: „Nic to. Bywa i gorzej." Spróbowałem zastosować tę formułę i w Berezie. Ze zdumieniem jednak spostrzegłem, że tutaj ona nie działa. Nie, gorzej niż w Berezie nie bywa. Nic od Berezy gorszego spotkać mnie nie mogło.

Pamiętam, raz, podczas „ćwiczeń", gdyśmy, jak zwykle, pełzali, przysiadali, wciąż pocieszałem siebie: „Głupstwo! Można wytrzymać! Nic strasznego!" Wydawałem się sam sobie potem pełen animuszu i rad by-

łem z tego. I raptem, przechodząc obok ciemnych okien naszego domu, ujrzałem w szybie odbicie: na twarzy mojej leżała pieczęć takiej rozpaczy beznadziejnej, że się wzdrygnąłem.

Co mnie dręczyło najboleśniej, choć, być może, na pół świadomie, to zupełny brak tego stanu ducha, jaki powinien znamionować rewolucjonistę: brak ducha walki, oporu, dyscypliny i prężności organizacyjnej, niezbędny nawet w obliczu odwrotu i klęski. Nie wiedziałem i nie zastanawiałem się nad tym, jakie powinny być tutaj formy naszego oporu. W więzieniu, gdy bito jednego, podnosiło krzyk całe więzienie, tłuczono szyby, łamano nary. Gdybyśmy w podobny sposób postąpili w Berezie, wykoszono by nas karabinami maszynowymi. Różnicę rozumiałem dobrze: w więzieniu straż jest względnie szczupła, i żeby bunt taki stłumić, należy sprowadzać policję, a jeśli policję kieruje się do więzienia, w mieście wśród robotników poczynają się zaburzenia. Tutaj zaś na dwóch znękanych więźniów wypada jeden uzbrojony tęgi oprych; i ukrywszy się od świata za bagnami Polesia, mogli sobie z nami wyprawiać, co im się podobało. I mimo wszystko, czułem, że nawet zginąć pod deszczem kulomiotów jest może lepiej niż biernie poddawać się przemocy. Wszak jeśli z naszej strony nie ma żadnego protestu ani oporu, to znaczy, że pod ciosami pałek kruszyła się moc przekonań rewolucyjnych, wiara i solidarność, godność własna, wiara w siebie — najdroższa i największa ze wszystkich wiar.

Nie rozmyślałem o tym; lecz czułem, że ginę, że bez wewnętrznej więzi moralnej moje siły fizyczne zaczną szybko wątleć. Lecz oto, poprzez maskę ślepego posłuszeństwa, poprzez pozory doszczętnego zdławienia naszej woli, naszej osobowości, odkryłem, że i tutaj opór nasz trwa, że i tutaj toczy się nieprzejednana, wielka, stanowcza walka.

Jakoś przypadkiem znalazłem się w grupie pracującej w „betoniarni". Kazano mi przesypać łopatą zmarznięty piach, ażeby nie było w nim zlodowaciałych grudek. Niebawem przysunął się do mnie młodziutki więzień, prawie malec. Nie rozprostowawszy się, udając, że niby to całkowicie pochłonięty jest pracą, malec jął mi perswadować: „...Trzeba się trzymać. Nie bój się, wdrożysz się, przywykniesz, nic to. Ja już tu sześć miesięcy... Najważniejsze, pilnuj swej uczciwości. Bo tu dają do podpisywania deklarację — na prowokatora. Ale na to godzi się tylko ostatni łajdak. Lepiej zdechnąć. Od dawna chcemy z wami pogadać, lecz was, nowych, ciągle trzymają osobno. A przy tym, nie wiedzieliśmy nawet, do kogo podejść. Wszak na waszej sali już są szuje — deklaranci. Trzeba przeciwdziałać. Trzeba..."

— Reichstein — z pogróżką nagle wystąpił zza węgła policjant. — Ileś czasu przesiedział w karcerze, draniu jeden?

— Sto pięćdziesiąt dni, panie komendancie! — stanąwszy na baczność, z wyrazem drewnianej, beznamiętnej przepisowości, wyrecytował malec.

— I chciałbyś znowu tam się dostać?

— Bynajmniej, panie komendancie — skromnie odpowiedział Reichstein.

— Nie? To czemu rozmawiasz? Agitujesz, co?

— Nie, ja nie rozmawiałem — wciąż tak samo skromnie odpowiada tamten, widocznie gotów z całym spokojem pójść znowu do strasznego karceru Berezy.

— Znam ja ciebie — rzekł niepewnie policjant. — Marsz w inne miejsce. Dam ja ci agitację!

Malec odszedł, najwidoczniej zafrasowany tym, że nie udało mu się doprowadzić do końca zleconej mu instrukcji.

Bądź spokojny chłopcze, cel swój osiągnąłeś w pełni. Wskrzesiłeś mnie po prostu dla walki. Nie słowy swymi, ale tym, żeś mi wskazał,

jak powinien prawdziwy rewolucjonista zachowywać się w warunkach Berezy. Dzięki ci, ty prawdziwa „opoko“ w osobie prostego stolarza z Tarnopola...

Następnego dnia już poruczono mi zorganizować konspiracyjną kierowniczą „trójkę“ w naszej sali. Sala nasza włączyła się do ogólnej komuny Berezy, stanęła do walki.

Tak znaleziono formę oporu w Berezie.

Oporowi fizycznemu strażnicy byliby wielce radzi i na każdym kroku usiłowali go wywołać. Opór fizyczny rozwiązywał im ręce.

Bardzo znamienny, na przykład, jest wypadek następujący.

Był czas, gdy w Berezie nie pozwalano mieć szalika, niezmiernie potrzebnej części ubrania przy poszarpanej paltocinie aresztanckiej. Niektórzy towarzysze posiadali swetry ze stojącymi kołnierzami. To nie było zakazane. Jeden przeto z towarzyszów, pracujący w oddziale krawieckim, uciekł się do fortelu — przyszył szalik do kurtki. Policjant, spostrzegłszy ten osobliwy kołnierz, chwycił zań i chciał go zerwać. Więzień instynktownie przycisnął ręce do piersi, tłumacząc, że to nie szalik, lecz kołnierz.

Policjant niezwłocznie wyinterpretował ten instynktowny odruch jako próbę oporu i napisał doniesienie do władzy. Wynik był taki, że „pan inspektor“ posadził policjanta na trzy dni do aresztu za to, iż ten nie zastrzelił więźnia na miejscu. „Stawiającego opór“ należało nie przekazywać władzy, lecz natychmiast zabić. Ku zbudowaniu wszystkich pozostałych, policjant poniósł karę za swą ślamazarność.

Należało więc szukać w Berezie innych form oporu. I formy te wyłoniły się same przez się, nie trzeba ich było wynajdywać. Był to opór najbardziej stanowczy i bohaterski, i zarazem najskuteczniejszy.

Mogli „oni“, ile zapragnęli, pastwić się nad nami. Aresztantów Berezy, upadających ze znużenia, zaprzęgano do furgonów, naładowanych kamieniami. Aresztantów Berezy zaprzęgano do potwornie olbrzymiego, wielotonowego wału, ugniatającego szosę wału, obliczonego na siłę pociągową potężnego traktoru. Aresztantów Berezy można było bez końca ciskać o ziemię, mrozić zimnem i tarzać w kałużach błota. Lecz tego było jeszcze za mało dla dopięcia celu. Mądrzy twórcy Berezy rozumowali tak: jeśli niektórzy ludzie nie boją się nawet więzienia, nie cenią pomyślności osobistej, to należy wymyślić i stworzyć takie warunki, które złamią każdego. I oto rzucano człowieka do Berezy, na czas nieograniczony, dając mu zarazem możność natychmiastowego odzyskania wolności... za cenę podpisania prowokatorskiej deklaracji. Rzecz prosta, spożytkowanie istotne samego prowokatora było w rzeczywistości sprawą drugorzędną, tryumfem był już ten fakt, że komunista haniebnie się załamał. Było to coś lepszego niż fizyczne uśmiercenie choćby setki rewolucjonistów, ci bowiem, którzy polegli z honorem, żyli nadal w gniewie ludu, w pragnieniu zemsty. Rewolucjonista natomiast, który zgnił moralnie, był nie tylko sam unieszkodliwiony dla nich, ale jeszcze szerzył wokół siebie ohydę rozkładu i upadku.

Tacy deklaranci bywali prawie w każdym transporcie więźniów. Do Berezy przychodzili wszyscy razem. Lecz wkrótce, po tygodniu, po dwóch, kilku ludzi wychodziło, ściganych pogardą tych, którzy zdecydowani byli zginąć, ale nie zdradzić. W naszej sali zetknąłem się już w pierwszych dniach z tym zjawiskiem. Pamiętam, ładny młodzian z rodziny drobnomieszczańskiej zaczął pod różnymi pozorami chadzać do kancelarii, zamknął się sam w sobie, spoglądał na nas nieufnie, po tygodniu zaś odjechał do domu.

Były dwie odmiany deklarantów. Jedni — odrażająco jawni, przerażeni, chwyceni ślepą żądzą ucieczki spod kijów, wyzbyci doszczętnie wstydu. Za mego czasu szczególniej zasłynął pewien deklarant, niejaki

Wahl, którego przedtem nie znałem. Pamiętam, jak zaintrygowana była nasza Bereza, posłyszawszy o jego przybyciu. Był to prowodyr polskiego trockizmu. Towarzysze opowiadali mi jego historię: inteligencik mieszczański, który przykleił się do ruchu rewolucyjnego i udawał w kawiarniach warszawskich polityka i literata.

Niedługo wypadło nam czekać, żeby ujrzeć, jak będzie trzymał się w Berezie ten „wódz". Postradawszy ze strachu przytomność — zaczął on, wśród ryczącego śmiechu policjantów, aby się im przypodobać, lżyć towarzyszów niedoli. Sam byłem świadkiem naocznym, jak wybiegł on z kancelarii na korytarz i, nie zważając na obecność dwudziestu więźniów, pokornie jął recytować policjantowi: „Panie komendancie, aresztowany Wahl melduje posłusznie o swym powrocie z kancelarii, gdzie podpisał deklarację; najpokorniej zapytuję, czy mam udać się na ćwiczenia, czy też będę skierowany na lżejszą pracę?"

Policjant zdumiał się: nawet w Berezie nie widziano jeszcze takiego upadku. Zarżawszy śmiechem, popędził „wodza" z powrotem na „ćwiczenia".

Po dniach kilkunastu Wahl, razem z dwudziestu deklarantami, opuścił Berezę... aby z powrotem popisywać się rolą „wodza" — „wodza" deklarantów.

Zachowanie się tego zdrajcy jest bardzo typowe dla trockistów.

Drugą, więcej rozpowszechnioną odmianą deklarantów byli deklaranci, usiłujący skryć swój upadek. Chociaż, ściśle mówiąc, w Berezie była to rzecz nie do ukrycia: deklaranta czuło się na kilometr. Trudno to wytłumaczyć, ale pozostaje faktem, że największym wygom nie udało się zmylić czujności współwięźniów. Prawdopodobnie dlatego, że, aby się maskować, niezbędne jest samoopanowanie, deklaranci zaś częstokroć dlatego właśnie stawali się deklarantami, że im nie starczyło samoopanowania.

*

Nadchodziła wiosna.

Prawie co dzień przybywały nowe partie więźniów. W Berezie robiło się coraz ciaśniej. Z „sali przyjęć" dzień po dniu rozlegały się łomoty pałek, powtarzane echem po całym korytarzu. Wobec napływu nowych aresztantów, władze warszawskie zmuszone były wypuścić tego i owego spośród dawnych więźniów. Zazwyczaj w czasie zbiórki obiadowej wymieniano kilka nazwisk; wymienionych stawiano twarzą do ściany, nas zaś pędzono na „ćwiczenia". Żegnaliśmy ich milczącym spojrzeniem, ślubującym trzymać się tak samo niezłomnie jak oni, aż do końca, jakikolwiek by on był, i wyjść, o ile się to uda, z wejrzeniem równie jasnym i spokojnym jak ich wejrzenie.

Teraz byłem już „starym" bereziakiem. Orientowałem się w licznych tajemnicach Berezy. Znałem jej skład narodowościowy. Początkowo przeważała ilość białorusinów, ale po strajku w Łodzi zmieniło się to na korzyść polaków, oni stali się „większością". Ukraińskich nacjonalistów nie było w Berezie od dawna, a ostatnich „narodowców" polskich — zwolniono przy mnie. Pędzano mnie obecnie na „robotę", nie zaś na „ćwiczenia".

„Roboty" w Berezie też były obliczone na nękanie ludzi i urządzone w ten sposób, żeby jak najwięcej wypruwać sił z człowieka. Na przykład, przymuszano nas dźwigać wory z kartoflami na plecach, jakkolwiek można było je przewieźć o wiele prościej i łatwiej na wozach, stojących tuż obok bezczynnie. Poza tym, „robotę" jak wszystko w Berezie, wykonywano „biegiem": ładowaliśmy na swe barki ciężką płytę betonową i nieśliśmy ją na miejsce, uginając się pod nadmiernym ciężarem, z powrotem zaś po nową płytę trzeba było koniecznie biec kłusem. Zdarzało się, że kogoś przymuszano biegać za karę za niedbałą pracę, a po gwizdku, oznaj-

miającym zmianę, utrudzonych ludzi skazywano na taką gonitwę, że powracali do sal ledwie, ledwie łapiąc oddech w płuca.

Jednakowoż, w porównaniu z „ćwiczeniami", roboty były rajem. Niekiedy przecież robót nie starczyło, i wtenczas wszystkich zagarniano na „ćwiczenia". Dlatego to bereziacy żywili głęboki „szacunek dla robót": należało zrobić jak najmniej, ażeby starczyło pracy na jutro, na pojutrze. Staraliśmy się wykonywać mnóstwo ruchów zbędnych i niepotrzebnych, byle nie ukończyć roboty, byle nazajutrz nie popędzano nas na „ćwiczenia". Na szczęście, zima ówczesna była dobrą dostarczycielką robót: dniem i nocą hulały zamiecie, z szarych chmur sypał śnieg, i po całych dniach odmiataliśmy go miotełką lub łopatką, usłużna zaś zawieja z powrotem zasypywała za nami dróżkę swą miotłą potężną — śnieżną wichurą.

Wszelako chodziło nie tylko o to, żeby samym wykręcić się od „ćwiczeń", należało ratować od zguby i towarzyszy. Do pewnego stopnia udało się nam to zorganizować. Zazwyczaj brano na „ćwiczenia" około stu chłopców, spośród nowicjuszów. Ogółem było nas w Berezie powyżej czterystu. Wprowadziliśmy kolejność: przez trzy dni chadzano na roboty, czwartego dnia wsuwano się do grupy, przeznaczonej na „ćwiczenia". W ten sposób ucisk „ćwiczeń" rozkładał się mniej więcej równomiernie na wszystkich, a poza tym od razu nawiązaliśmy styczność z nowicjuszami. Policjanci, nie bacząc na nasze plecy numerowane, słabo orientowali się w doborze grup, naprzód, dlatego, że sami policjanci zmieniali się co tydzień, powtóre zaś, nie przychodziło im nawet do głowy, żeby ktoś dobrowolnie lazł na „ćwiczenia".

Stykanie się z nowicjuszami miało dla nas jeszcze jedno znaczenie wyjątkowo ważne: od nich dowiadywaliśmy się o zdarzeniach politycznych w świecie. Nam, którzyśmy poświęcili siebie „zawodowo" sprawie przebudowy świata, nam, zespolonym w jedno z tą sprawą, dawało się boleśnie we znaki to, że nie tylko nie mieliśmy możności uczestniczenia w walce politycznej poza Berezą, ale nawet nic o niej nie wiedzieliśmy.

Prawda, coś niecoś dawało nam niekiedy „czytanie" gazet podczas sprzątania pokojów policjantów. Do pracy tej starano się wyznaczać deklarantów, a poza tym, była to praca, chociaż lekka, jednak obrzydliwa — mycie spluwaczek i nocników, czyszczenie butów i odzieży policjantów, zamiatanie podłóg, wszystko na palcach, aby panów komendantów nie obudzić. A jednak na robotach tych „obsadzono" kilku zręcznych towaszów, mających za zadanie ukradkiem odczytywać choćby tytuły z walających się po szafach i stołach gazet. Czasami udawało się nawet ściągnąć gazetkę i przynieść na salę, jakkolwiek za to niejednemu dostawała się porządna porcja pałek, jeśli nie karcer. Zato każdy więzień nowy był dla nas jakby ostatnim numerem gazety, a nieraz i całym przeglądem politycznym.

Podczas pracy, niespostrzeżenie, stary bereziak podsuwał się do nowego i, nie odchylając się, pytał szeptem:

— Co tam w Hiszpanii?

Takie zawsze bywało pierwsze pytanie. Bohaterska, brocząca krwią Hiszpania stała w ognisku uwagi.

Nowicjusz niespokojnie oglądał się na dozorców i zaczynał opowiadać.

Drugie pytanie: — Co słychać na wolności o Berezie? Jak toczy się walka o zniesienie Berezy? — Zrozumiałe, dlaczego bereziacy interesowali się tą sprawą.

*

W porównaniu z nastrojem pierwszych dni, było mi teraz o ileż lepiej. W duszy jakby zatrzasnął się jakiś zamek. Pamiętam, zauważyłem już w pierwszych dniach, że chodzę z zaciśniętymi zębami, zaciśniętymi mocno, aż do bolu. Jąłem śledzić siebie i za każdym razem chwytałem siebie

na tym samym. I szczęki moje rozluźniły się dopiero wtenczas, gdy wyszedłem z Berezy. Taka była technika wytrwania. Osiągnąłem niewzruszony spokój pod pałkami, spokój zaciśniętych zębów.

Dla zobrazowania tego spokoju chcę opowiedzieć o tym, jak w Berezie odnalazłem w sobie dość równowagi na to, ażeby, no, jakby się tu wyrazić?... rozpocząć „pracę literacką". Nie pisać, oczywiście, ponieważ za ogryzek ołówka, za świstek papieru wypadło by zginąć pod kijami. Zacząłem tworzyć poemat. To jest w umyśle moim jął się kształtować poemat. Zaczęło się od tego, że nocy dwudziestej (zapamiętałem dokładnie — dwudziestej) po raz pierwszy miałem w Berezie sen. Sen był dziwny i wyraźny: śniło mi się, że mówię wiersze, cudowne, wzruszające. I w wierszach tych, jak refren, powtarzały się słowa: „Więc cóż mam począć, gdy taki wypadł mi los". Byłem w jakimś tragicznym upojeniu od swych wierszy, lecz, ocknąwszy się, przypomniałem sobie, prócz refrenu, jedno tylko zdanie „...ptaki leciały ku słońcu nad Berezą i w serce raniły mnie krzykiem wiosennym." Wytężając pamięć, doszedłem do wniosku, że żadnych wierszy w ogóle nie było, oprócz kilku myśli i obrazów. Lecz nastrój pozostał we mnie tak wyraźny, napięty i wzruszający, że poddałem się mu od razu. Szybko jęły rysować się w moim mózgu kształty poematu, poematu zaciśniętych zębów. Trzeba powiedzieć, że dotychczas wierszy prawie nie pisałem (pominąwszy wczesne dzieciństwo). Ale bez zapisywania komponować i zapamiętywać można tylko wiersze, a przy tym każdy nastrój wznioślejszy dąży do przyoblеczenia się w formy rytmiczne, dźwięczne, muzykalne. I strofa po strofie jęła układać się w mej głowie „Pieśń z Berezy". Dużą pomoc wyświadczył mi towarzysz katuszy, miłośnik poezji, Jakób Rapaport. Jego pamięci, jak papierowi, powierzałem każdą nową strofę, aby spokojnie móc w dalszym ciągu pracować nad następnym czterowierszem. A wszak wiadomo jest poetom, jak trudno bywa, nie utrwaliwszy na papierze, pamiętać wiersze własne, skoro jeszcze proces twórczy nie uległ zapomnieniu i nie spłynęły wszystkie warianty próbne. O wiele łatwiej od razu zapamiętać wiersze może ten, kto usłyszy je w redakcji ostatecznej. I towarzysz Rapaport pamięta dotychczas.

Drogi Rapaporcie, drogi Prawinie. Nadszedł czas, i my wszyscy spotkaliśmy się w radzieckim, naszym Lwowie.

Lecz wróćmy do moich wierszy. Tak stworzyłem w Berezie trzy rozdziały poematu, który ukończyłem już na wsi i ogłosiłem drukiem zupełnie niedawno. I do tego swego dziecięcia żywię najtkliwszą miłość, prawdopodobnie nie za jego zalety artystyczne, lecz za pamięć o warunkach, w których się ono urodziło.

Niespodziewanie nowicjusze przynieśli do Berezy niezwykle ważną dla mnie wiadomość, która głęboko mnie przejęła: na wolności podjęto wielką kampanię o moje oswobodzenie.

Ten, kto nie zaznał tego, nie zdoła sobie wyobrazić, jak olbrzymie znaczenie dla więźnia politycznego ma wieść o tym, że świat odzywa się na jego uwięzienie. Radosną falą ogarnia cię uczucie jedności ze światem i ścisłej łączności z walką, której nie mogą położyć kresu ani bagnety, ani mury więzienne. Wiesz, że cierpienia twoje są uzasadnione, nie przypadkowe, i że miejsce twoje w szeregu zajmują dziesiątki innych bojowników. Jest to radość tak wielka, że i okowy przestają ciążyć. Przeżyłem radość tę po dwakroć: naprzód, gdym jako wyrostek siedemnastoletni po raz pierwszy dostał się do więzienia i tam się dowiedziałem, że młodzież wiejska, w imię solidarności, poszła uprawić rolę mojej matki, a po raz wtóry — teraz, w Berezie.

O szczegółach trudno się było dowiedzieć, lecz wszyscy nowi dopytywali się, co za figura jest ów Hawryluk, o którego taki hałas podniesiono w kraju.

Wstydziłem się teraz swoich minut przygnębienia, wstydziłem się, że uderzenia mnie bolały i dręczyły, wstydziłem się tego jak niewdzięczności wobec świata. Uznałem siebie za niegodnego tak wielkiego zaufania. Nie czułem się godny, by imię moje podnoszono jako hasło walki z Berezą, jak podnoszą imiona nieugiętych i nieustraszonych. I ślubowałem sobie, że nigdy już nie poniżę się do zgryzoty i przygnębienia, nigdy nie wyda mi się ból trudny do zniesienia.

Towarzysze wróżyli mi rychłe wyjście na wolność.

Wkrótce po tym otrzymałem wiadomość inną, o charakterze przeciwnym: skierowano przeciwko mnie akt oskarżenia, w którym pociągano mnie do sądu za zabójstwo. Zabójstwo szpiega policyjnego.

Wszystkiego mogłem oczekiwać, tylko nie oskarżenia o zabójstwo... We wsi mojej, rzeczywiście, zdarzył się taki wypadek — w ciemną noc zabito donosiciela. Obcość moja wszakże wobec całej tej sprawy była tak oczywista (przyjechałem wówczas na czas krótki ze Lwowa i nigdzie nie wychodziłem), że nawet od policji polskiej nie oczekiwałem takiego posądzenia. Ona dokazała jednak tej sztuki, żeby mnie do sprawy tej przyczepić, i to nawet w roli podżegacza.

Niebawem dowiedziałem się o szczegółach kampanii o moje wyzwolenie. Opowiedział mi o tym towarzysz po piórze i niedoli, poeta polski Leon Pasternak. Spotkałem się z nim na „ćwiczeniach", w pierwszych dniach jego pobytu w Berezie. Na jego chudej, ostrej, nieogolonej twarzy nie było przygnębienia i trzymał się on, jak na pierwsze dni, dzielnie. Opowiedział mi podczas „ćwiczeń" szybko, dokładnie i rzeczowo: postępowi pisarze Polski podpisali protest, żądając mego zwolnienia z Berezy. Szeroko odezwały się gazety. Ze szczególną energią występował nasz „Dziennik Popularny", skupiający wokół siebie wszystkich polskich pisarzy rewolucyjnych.

Wkrótce do Berezy przyjechała komisja ministerialna z Warszawy.

Ta „komisja ministerialna" przyjeżdżająca co jakieś trzy lub cztery miesiące, przywoziła stale te same propozycje podpisania deklaracji, dygnitarze zaś ministerialni bardzo przypominali pospolitych „szpiclów". Oto próbka ich pracy.

Nadchodzi moja kolej, wchodzę do pokoju. Za stołem „szpik" ministerialny.

— Panie Hawryluk, niech pan siada, proszę.

Do diabła — ledwo nie wywracasz się ze zdumienia, usłyszawszy tak uprzejme powitanie. Pomyśleć tylko. „Niech pan siada, proszę", co?

— Tak. Otóż więc... W wojsku pan służył? Nie? Czemu? Wada serca? Ach, co pan mówi, w tak młodym wieku — i nagle — serce! To niedobrze panie Hawryluk, to zupełnie źle! Zwłaszcza... — głos dygnitarza wyraża głębokie współczucie — zwłaszcza, że warunki tutejsze wcale hm... że tak powiem, nie sprzyjają powrotowi do zdrowia, tu, sądzę, że regulamin obozu hmm... że tak powiem, istotnie jest nieco surowy... Hm... hm... Panie Hawryluk, przyszłość pańska stoi przed panem. Pan nie powinien, stanowczo nie powinien pozostawać w Berezie.

— Co? Nie od pana zależy? Nie, nie panie Hawryluk, dużo od pana zależy. Tak, tak. Właśnie, zależy, tak. Ot, powiedz pan, jaki jest stosunek pański do współżycia ukraińsko-polskiego? Wszak pan jesteś pisarzem ukraińskim. Pan, oczywiście, wie, że przewodnicy narodu ukraińskiego, panowie Mudryj, Celewicz i inni...

— Co? Pan pragnie, by dobre stosunki braterskie panowały wśród wszystkich narodów? Cha-cha-cha! Nie, nie panie Hawryluk, to — inna piosenka. Ja pytam o daną rzecz konkretną... Hm... A może jednak dałby pan maleńkie oświadczenie na piśmie... Tak, niewinna bagatelka, żadnych zobowiązań, uchowaj boże. Wszak my szanujemy indywidualność, a pan jesteś pisarzem i tak dalej... Ale to przecież bagatela: „Ja, ten i ten, potę-

piam komunizm i nie chcę z nim mieć nic wspólnego..." Co? Dlaczego? Wszak pan twierdzi, że nie jest komunistą... Ale potępiać pan nie chcesz? Hm... hm... Głos staje się zimny i zły: Tak, możesz pan odejść. Następny!

*

Już zieleniły się płaskie pola naszej Berezy, i po każdym deszczu wypełzały z ziemi miliony dżdżownic.

Już odebrano nam płaszcze.

Już zniknął wilczy apetyt wiecznie marznącego organizmu, i podczas obiadu nikt nie podstawiał miski, aby otrzymać resztki porcji chorego towarzysza.

Tortura chłodu i głodu ustąpiła miejsca torturze upału i pragnienia.

Karcer Berezy był teraz stale przepełniony. Nie dlatego, iżby zwiększyła się liczba wykroczeń, lecz po prostu dlatego, że teraz można było na długo pakować tam ludzi, zimą zaś człowiek zamarzłby tam na śmierć.

Karcer Berezy: — osiem dołów kamiennych wśród pola, osiem celek, ogrodzonych drutem kolczastym, osiem grobów bez jednego promienia światła.

Karcer Berezy: wrzucano tam wpółubranego człowieka na dni siedem. Dawano na dwie doby maleńki kawałek chleba, i, aby nie pozwolić człowiekowi zasnąć, dozorcy dniem i nocą, stukali butami co godzinę do drzwi, i trzeba się było odzywać: „Jestem!" Najtęższi ludzie na trzeci — czwarty dzień zaczynali podlegać halucynacjom. A po siedmiu dniach wychodzili obrośnięci szczeciną, z zapadniętymi szarymi policzkami, chwiejąc się na nogach, lękając się spojrzeć na słońce oczami, nawykłymi do ciemności.

Albo „Droga Stalina". Była to droga, prowadząca przez pole bereskie do karceru i łaźni, droga kolorowa, zrobiona z ułamków cegły, ubita wałem, ciągnionym przez aresztantów, i ich ciałami. Latem kaci Berezy wpadli na pomysł, by zmuszać ludzi do chodzenia obnażonymi kolanami po tej drodze. Ostre odłamki cegieł raniły ciało i czerwona droga jeszcze bardziej czerwieniała tam, gdzie znaczyła ją krew. Policjanci, wśród szyderczego śmiechu, drogę tę nazywali „Drogą Stalina". Bereziacy przyjęli tę nazwę. Wiedzieli, że droga Stalina twarda jest i ostra. I ta, którą on sam przeszedł, i ta, którą kroczą masy proletariatu całego świata. Ale wiedzieli też, że ta droga prowadzi ludzkość do szczęścia. I więźniowie Berezy byli dumni, że oprawcy drogę ich cierpień i ich walki nazwali drogą Stalina, podkreślając tym wielkość owej drogi i podsycając wiarę w moc wytrwania skazańców.

Przestałem już spodziewać się pomyślnego wyniku w kampanii o moje zwolnienie. „Dziennik Popularny" był zamknięty, członkowie zaś redakcji — aresztowani. Terror zniweczył ostatnie przebłyski praw obywatelskich.

Więźniowie szykowali się do Pierwszego Maja. Musieliśmy przecież dzień ten uczcić, nie bacząc na najgorsze warunki. Ułożyliśmy plan obchodu: w każdej sali jeden z towarzyszów miał, uchwyciwszy moment, szeptem wypowiedzieć króciutką mowę, poczem wszyscy razem powinni złożyć przysięgę wierności i wytrwania aż do końca.

Z drugiej strony mieliśmy wszelkie podstawy do oczekiwania, że oprawcy nasi z racji święta rewolucyjnego urządzą jakieś wyjątkowe jatki: to również miało swe tradycje w Berezie. Szczególniej, jeśli demonstracje pierwszomajowe w kraju będą imponujące, wtedy postarają się odwet wziąć na nas. Przypomnijmy okropny dzień w Berezie — 9 maja 1936 roku: owej wiosny przez Polskę przeszła potężna fala walk rewolucyjnych. Niemal we wszystkich dużych miastach rozegrały się prawdziwe bitwy między robotnikami a policją wedle wszelkich reguł bojów ulicznych, przy czym robotnicy nieraz odnosili zwycięstwo. Podwaliny szlacheckiego państwa były zachwiane.

Aby pomścić swe porażki na barykadach, władze urządziły dziką rozprawę z bezbronnymi więźniami Berezy. 9 maja wypędzono wszystkich w pole, nakazano się położyć na ziemię i w ciągu godzin kilkunastu tratowano ludzi butami i łupiono kijami. W rezultacie dwaj towarzysze — Germanicki, student z Wilna, i Mazyrka — chłop białoruski, zginęli pod kijami, a ponad 60 towarzyszów wiele tygodni poniewierało się w szpitalu. Niejeden z nich na całe życie pozostał kaleką.

Oczywiście, z powodu Pierwszego Maja rozprawa taka mogła powtórzyć się i teraz.

Bądź co bądź, nastrój wśród nas był podniosły i mocny.

30 kwietnia podczas przerwy obiadowej policjant w korytarzu jął nagle wykrzykiwać nazwiska. Wśród dwudziestu nazwisk wymienił i moje.

Czyżby?...

Wymienionych zamknięto w małej komórce, i posłyszeliśmy, że wszystkich pozostałych wyganiają z budynku na dwór. Potem otwarto nam drzwi i kazano zabierać swe manatki, odzież i sienniki. Wątpliwości już prawie nie było: nas zwalniano.

Nie powiem, żeby nas upoiła radość: coś wypaliło się w naszych piersiach — to, czym człowiek cieszy się i smuci, czym w ogóle ujmuje świat. Nie byliśmy zdolni nawet do wzruszeń. Następnie poprowadzono nas do depozytu, zwrócono nasze mienie. Podczas kolacji, prawie nie tknęliśmy jadła, nocą zasnęliśmy późno: długo — długo mówiliśmy o Berezie, o towarzyszach z Berezy, i o wielkim Związku Radzieckim.

A wczesnym rankiem, gdy cała Bereza jeszcze spała, wyprowadzono nas i policjant na rowerze towarzyszył nam do stacji. Szliśmy wśród zielonych pól, w rowach przydrożnych kwitły wiosenne kwiaty, w rosistym zaś lesie ptaki witały śpiewem świtanie. Jednakowoż serce nasze wciąż nie odmykało się dla radości: Bereza w nas coś uśmierciła.

Stacja, jak wszystkie w ogóle stacje na kresach pańskiej Polski, była pusta, olbrzymie zaś plakaty głosiły stworzenie nowej partii rządowej, mającej Polskę odrodzić na zasadach antysemityzmu, katolicyzmu, ucisku narodowościowego i fabrykancko-obszarniczej samowoli. Odwróciliśmy się ze wstrętem od niedorzecznej „deklaracji pułkownika Koca“ i jęliśmy patrzeć na tory kolejowe, skąd nadejść miał pociąg.

I nagle szyny rozbłysły jak strumienie światła, płynące od słońca, ono zaś samo wytoczyło się na nieboskłon z tej strony, od której biegły szyny, jakby szyny wypływały ze słońca. I stamtąd, z płomieni blasku, doleciał nagle krzepiący gwizd lokomotywy, i ze słońca, hucząc, wypadł pociąg.

I pojechaliśmy. Wagony były puste i stacje były puste, jak wszędzie w kraju, duszącym się w pańskich okowach. Słońce, dopędzając nas, zwycięsko wzbijało się coraz wyżej.

KONIEC BEREZY

Minęło dwa lata od czasu, gdym wyszedł z Berezy.

Dwa lata, dzień i noc, dręczyło mnie nieodparte pragnienie — odsłonić światu Berezę, pokazać podszewkę państwa, którego stroną zewnętrzną były tylko rauty dyplomatyczne, święta kościelne, procesje księży, bale, nadęte głupie frazesy o jakimś posłannictwie kulturalnym na Wschodzie.

Potem wszystko się odmieniło. Zaczęła się wojna.

Rozprzężona pańska Polska z honorem przeprowadziła mobilizację i przepiwszy wszystkie budżety na rautach, wyciągała połamane wózki włościańskie na „zmotoryzowaną“ wojnę.

Wkrótce panowie, ogarnięci niepokojem, jęli gorączkowo się ruszać. Mknęli gońcy z rozkazami, i w rozkazach tych, trudno orzec, co zdumie-

wało więcej: nieudolność, głupota czy nikczemność. Teraz dopiero zorientowali się w sytuacji i posłali ludzi do lasu, aby szykowali materiał do zasieków kolczastych. Chłopi śmiali się. Zmobilizowani, udający się do wojska, naradzali się — czy od razu mają uderzyć na oficerów, czy cokolwiek poczekać. Sołtys, zdyszany, przyniósł i mnie jakiś nakaz pracy, lecz ja nie wątpiłem, że dla mnie wygotowany był jakiś nakaz osobny.

I nie pomyliłem się w rachubie: nocą, gdy radio przerażonymi głosami oficerów zapowiadało zwycięstwo, pochwyciłem odgłos kroków za progiem chaty — znajome odwiedziny policji. Nie oddałbym się jej w ręce, gdyby nie to, że wszystkie drogi i przeprawy były strzeżone. Nie oddałbym się, gdybym był wiedział, że trzeba wytrzymać wszystkiego cztery dni — i nikt już zabierać nie będzie. Ale tego nie wiedziałem.

Zwieziono nas na posterunek policji, gdy ponad miasteczkiem wysoko, wysoko, połyskując w słońcu, dudniły bombowce niemieckie. Powieziono nas do miasta powiatowego, i z okien wagonu oglądaliśmy gruzy centralnego lotniska w Maliszewicach, niedawno temu zbudowanego, a także zburzone warsztaty Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej. Naliczyłem 14 rozbitych samolotów w polu przed fabryką oraz 6 zwęglonych szkieletów, sterczących pośród zwalisk.

Wszystkich nas, około 25 ludzi, zapakowano w jeden wagon pociągu, zmierzającego do Berezy: byli tu komuniści, byli ludzie o niemieckich nazwiskach, byli jacyś kupcy i spekulanci, dostawcy prowiantu dla miejscowej załogi wojskowej, wiedzący zapewne zbyt wiele o łapownictwie dowódcy garnizonu. Było dwoje nieszczęśliwych i śmiesznych starych sklepikarzy, aresztowanych za to, że byli łotyszami i na domiar ewangelikami. Tak! Był nawet pop prawosławny, słynny „szpik" policyjny. Lecz kiedy jesienią 1938 roku władze polskie zburzyły 131 prawosławnych cerkwi w Chełmszczyźnie, aby wszystkich parafian nawrócić na katolicyzm, zburzono i jego cerkiew. Wyjątków nie wypadało robić; a więc i on mógł należeć do malkontentów — zabrano i jego, na wszelki wypadek. I tutaj jeszcze domagał się on, żeby stawiono go przed „panem szefem", bo on był przecież współpracownikiem policji itd. Ale na to nie było czasu. Za to ja otrzymałem satysfakcję!

Do pociągu załadowano nas nocą: od Białej do Brześcia — 35 kilometrów — jechaliśmy 11 godzin. Olbrzymi pociąg przepełniony był uchodźcami z Warszawy. Wypieszczone, wystrojone damy i wykwintni panowie, zdrowi, syci oficerowie uciekali na Polesie — jak najdalej od frontu. Naprzeciwko, z Polesia ku Warszawie, z jak największą szybkością dążyły inne pociągi, wiozły na front żołnierzy, odzianych w uniformy wojskowe naszych chłopów poleskich, mających walczyć w obronie Polski i własności panów, co uciekali na Polesie. Na platformach stały staroświeckie ubogie taratajki — wózki chłopów poleskich — śpieszyły na front, aby czoło stawić czołgom niemieckim.

Niebawem uświadomiliśmy sobie ostatecznie, że jesteśmy wiezieni do Berezy. Dotychczas łudziliśmy się nadzieją, że, być może, czeka nas na Polesiu jakiś inny obóz, gdzie, oczywiście będziemy morzeni głodem, gdzie jednak pilnować nas będą zwykli żołnierze lub zwykli policjanci. Myśl tę dopuszczałem dlatego, że wydawało mi się niepodobieństwem, ażeby takie mnóstwo ludzi pomieszczono w Berezie, gdzie (ostatnimi czasy) było maximum 800 więźniów. Okazało się jednak, że jedziemy do Berezy: spekulanci dowiedzieli się od straży.

Ponury mrok zalewał duszę: jechaliśmy prawie na pewną śmierć. Śmierć z głodu, z tyfusu — jeśli wojna potrwa. Śmierć od kuli rozjuszonych oprawców, jeśli wojna weźmie niepomyślny dla nich obrót. Mrok zalewał duszę — śmierć zdawała się lepsza niż powtórny pobyt w Berezie! Raz przeżyłem Berezę, i już jakby coś nadpękło w mej duszy. Tylko ja jeden z nas wszystkich znałem Berezę. Inni towarzysze znali ją ze sły-

szenia, ale ze słyszenia — to nie to samo. Spekulanci zaś przypuszczali, że za pieniądze i tam potrafią się urządzić.

Błysnęła myśl — uciekać! Skorzystać z tego, że w konwoju naszym był jeden tylko prawdziwy policjant, pozostali zaś byli to nowicjusze spośród rezerwistów, zastępczo pełniący służbę policyjną. Uciec! Uciec w Brześciu ze stacji, dać nurka w tłum koło bufetu, wymknąć się na ulicę... Uciec przez okno wagonu... Lecz dokąd? Wszystkie drogi są strzeżone... Więc cóż? Do Berezy? Nie, nie!

W Brześciu wypadło się przesiadać. Oczekując na pociąg, kilka razy byłem już zupełnie zdecydowany, lecz powstrzymywałem się w ostatniej chwili. W rezultacie tylko stargałem siły. Rozumie się, ucieczka byłaby niechybną śmiercią, i wiedziałem o tym, lecz wolałem zginąć podczas ucieczki niż skonać w Berezie.

Lecz oto jedziemy przez ciche Polesie; pociąg tu jest zwykły i idzie ze zwykłą szybkością. Wieczorem jesteśmy na stacji Bereza. Przed sobą mamy tylko sześć kilometrów drogi.

Jak? Piechotą? — wzburzyli się nasi solidni kupcy. Ci nie poczuli jeszcze Berezy. Towarzysze moi — ludzie świadomi, drobiazgami się nie przejmują, lecz i oni zamyślili się nad tym, co ich czeka. Oto znowu pod stopami znajoma szosa. Usiłuję rozpoznać w mroku znajome miejsca. Ech, miejsca przeklęte — całą istotą wyrywałem się od was precz — a wypadło wrócić!

Wtem zapadamy w jakieś morze piasku: nogi grzęzną do kolan, w mroku czuć taką chmurę pyłu, że oddycha się z trudnością. Z lewej strony posępnie czernieje wał ziemny i częstokół. Idziemy, potykając się, drogą pełną kurzu, a wał i parkan ciągną się daleko.

I oto znowu szosa, gładka, piękna. Jest to już królestwo Berezy. Jest to szosa uwałowana ciałami aresztantów. Teraz, jak widać, jest ona jeszcze lepsza niż wprzódy. Jest to bulwar, nie szosa. Drzewa schylają ciemne gałęzie; po bokach drogę obramiają kwietniki. Wiele trudu i potu oddali mordowani katorżnicy na zbudowanie tej alei, wiodącej ku Berezie.

Po szosie, wyprzedzając nas, z miękkim szelestem przesunął się samochód bereskiego władcy, mętnie oświetlając klomby przyciemnionymi latarniami. Tu na słupach, między konarami, wiszą lampy elektryczne. Teraz jednak nie świecą, cała Bereza tonie w ciemnościach: ostrożność wobec awiacji nieprzyjacielskiej.

— Stój!

Nasz oddział zatrzymano na szosie: z prawej strony chylą się gałęzie drzew, z lewej, z wrót Berezy, w milczeniu wychodzą czarne wysokie sylwety rysując się na tle nocnego nieba niby aktorzy, ukazujący się na scenie. W tym ich milczącym wystąpieniu jest coś złowieszczego. Ludzie, oniemiali ze zgrozy, drętwieją w oczekiwaniu.

Czarne sylwety podchodzą i zatrzymują się, w milczeniu nas oglądając. Jeden z nich podniósł na chwilę latarkę kieszonkową, lecz drugi burknął gniewnie półgłosem: „Schowaj!"

Tak, to oni, te same nienawistne maszkary, te same po dwóch latach! Dobrzem zrobił, żem przezornie zabłąkał się w tylnych szeregach!

Dostrzegli między nami dziewczynę i zbliżyli się do niej.

— Panna? Też do nas przyszła?

Dziewczyna zamarła i milczy.

— A po cóż wzięłaś z sobą kuferek? — spokojnie i cicho zwraca się do niej jeden z siepaczy. — Tu potrzebny jest tylko wór na kości i wiadro na krew. Tak. No, chodźmy, moja panno.

Ujął ją pod rękę i poprowadził w czarną paszczę wrót.

Drugi podszedł ku nam i rzekł cicho:

— Biegiem!

Wiedziałem co to znaczy i rzuciłem się we wrota.

— Padnij!

Rozpostarłem się, przypadłszy twarzą do ziemi. Lecz dziś bito nie pałkami gumowymi, tylko zwykłymi drągami.

„Biegiem!"

Ludzie w mroku, nie znając labiryntu dróżek w Berezie, wbiegli w zasieki. Wywikławszy się z drutów kolczastych, pognali dalej. Ja stosunkowo otrzymałem jeszcze niedużo ciosów. Raptem, gdym padał, otwiera się moja bardzo stara walizka i zawartość wywala się na drogę. Zrywam się i biegnę dalej.

„Stój"!

Myśl dokładna i prędka: „Biec dalej? Będzie gorzej — zatrzymają wszystkich i sprawdzą, kto jest bez kuferka. No, więc wpadłeś" — stwierdzam chłodno i wracam, by zebrać rozsypane manatki.

Słyszę nad sobą znajome sapanie otyłego olbrzyma, policjanta Tomaki. Ciężko dysząc, zwala mnie z nóg długim drągiem. Po każdym uderzeniu padam, a między ciosami usiłuję zebrać po ciemku rozrzuconą zawartość walizy.

I oto znów — znajomy, ach, jaki znajomy korytarz; wpadamy do pustej sali.

Czerwony, okrutny Tomaka, tracąc oddech od astmy i furii, obrzuca nas czerwonymi, wybałuszonymi oczami i wrzeszczy:

— Ja tu wam wszystkim!... Poskręcam karki!... Ojczyzna nasza... Damy wszystkim rady!... I tym z zachodu i tym ze wschodu!... My wam pokażemy!...

Wydawało się wszakże, że wrzaskiem chciał on zagłuszyć swój własny tajemny strach.

*

Pierwszą noc przeleżeliśmy jak trupy, skatowani drągami, półświadomi. Nazajutrz nikt do nas nie zaglądał, następnego zaś rana, nabrawszy śmiałości, zaczęliśmy bębnić do drzwi. Wszedł do nas zdziwiony policjant — prawdopodobnie o nas w ogóle zapomniano. Po upływie pół godziny wszystkich nas wyprowadzono na otwarte powietrze.

Słoneczny dzień oślepiał oczy.

Jednego spojrzenia na pole dość było, aby pojąć, czemu o nas zapomniano. Bereza była nie ta sama, co dawniej. Cała przestrzeń, stanowiąca wprzódy obszerną łąkę, podzielona była teraz wysokimi przegrodami z drutu kolczastego na cztery kolosalne klatki i w każdej z klatek tych mrowiło się od ludzi. Nad wielotysięczną ciżbą wrzał głośny zgiełk. Słyszało się znajome „wstań" i „padnij". Policjanci mieli w rękach długie pałki bambusowe, rozszczepione i postrzępione od częstego użycia. Wszelako okiem doświadczonym zauważyłem, że tutaj bić wiele nie będą: takiej ciżby wielkiej nie podobna obdzielić kijami. Zwłaszcza, że liczba policjantów, widocznie, nie zwiększyła się: widziałem tylko gęby znajome.

Jesienne słońce przygrzewało. Nas, wczorajsze transporty wieczorne — powyżej tysiąca — zapędzono do jednej z klatek, odebrano od nas kufry i dokumenty. Nakaz głosił: żywność zatrzymać przy sobie, a także bieliznę, wszystko pozostałe wydać! Tak, tak, pozwolono nam przysiąść i posilić się z własnych zapasów. Lecz ludziom chciało się pić. Sucha strawa jeszcze zwiększała pragnienie. My zaś niefrasobliwie pałaszowaliśmy słoninę, cukier i chleb.

Słońce dopiekało coraz silniej, w gardłach wytworzyła się posucha, staliśmy sformowani w oddziały. Wody nie było. Obok mnie spierało się dwóch przyjaciół, zdaje się emigrantów petlurowskich: tak — i ich w zamieszaniu zamknęli niewdzięczni przyjaciele polscy: jeden prosił drugiego o wodę; ten ostrożnie, jak skarb największy, dobył z zanadrza maleńką flaszkę, łyknął i schował z powrotem. Jego przyjaciel, oszalały z pragnienia, błagał, zaklinał, beształ, groził zemstą, groził, że zabije go,

bestię i zdrajcę. Lecz ten, z takim samym obłędem w oczach, milcząc wypił resztę i pustą flaszkę schował w zanadrze.

Minęło jeszcze około kwadransa i ludzie zaczęli walić się bez czucia. Jeden. Odciągnięto go na bok. Drugi. Trzeci. Padł obok mnie stojący gruby stary żyd, dostawca żywności dla garnizonu powiatowego. Runął nosem w piasek, okulary jego rozbiły się, czoło było we krwi, z nosa sączyła się różowa piana.

Tych, co padli, odwlekano na stronę i lekarze (także spośród aresztowanych) wlewali im do ust po łyku wody. Tylko tym, co padli. I jeszcze policjant sprawdzał uderzeniem buta, czy nie ma tu symulacji.

Wreszcie, przywieziono beczkę wody. Obłąkani ludzie splątali szeregi i rzucili się do beczki. Nie pomagały ani krzyki, ani kije policjantów, ludzie tłoczyli się wyciągając do kubków drżące dłonie. Ale cóż znaczy beczka wody na kilka tysięcy spalonych gardzieli! Stoimy znowu.

Pierwszego dnia zaprzątało mnie pytanie — gdzie pomieszczą takie mrowie ludzi. Lecz to rozwiązało się bardzo prosto: do każdej sali Berezy, zamiast zwykłych 28 ludzi, wtłoczono po 140. Każdą salę podzielono na trzy piętra: — jedna warstwa ludzi na betonowej podłodze; druga — na pryczy, trzecia — na górnych pryczach pod pułapem. Ile sześciennych decymetrów przypadało na każdego? — Za to okna teraz nie były zabite deskami, inaczej bowiem podusilibyśmy się wszyscy.

Nowe partie więźniów przybywały nieustannie aż do 5 września. Przybyli opowiadali, że pociągi ich w drodze ulegały wielekroć bombardowaniu. Kilka partyj przypędzono nawet pieszo. W ten sposób do 6-go coś niecoś mogliśmy się dowiedzieć.

Pierwszego dnia mego pobytu w Berezie z pragnienia, wedle pogłosek, umarło ośmiu ludzi. W następnych dniach męki pragnienia prawie ustały, nie dlatego, żeby nam zaczęto dostarczać wody. Nie — po prostu spożyliśmy swe zapasy, a kto nie je, tego i pragnienie nie męczy.

Zaczynał się głód. Prawda, zaczęto nam wydawać „rację“, była to wszakże nawet nie dawna racja bereska czy więzienna. Dawano nam około 150 *g* jakiejś gliny, zwanej chlebem i po litrze mętnej wody na dwóch, dwa razy dziennie. Ogółem 150 gramów namiastki chleba i litr wody na dzień. Ta niby zupa (zresztą nawet policja nie nazywała tego zupą) raz tylko jeden zawierała w sobie coś oprócz wody: pływało tam kilkanaście drobin czegoś niejadalnego, prawdopodobnie paszy kompostowej, przeznaczonej dla krów. Zazwyczaj nie bywało w niej nic, nie było nawet soli. Rzecz prosta, że po takiej zupie pić się nie chciało. Bądź co bądź, męki głodu nie były tak straszne, jak męki pragnienia. Czuliśmy tylko, że stopniowo opuszczają nas siły. Gdyśmy schodzili po schodach, nogi uginały się pod nami. Zresztą, zachowałem sobie jeszcze około 1 kilogram cukru. Podzieliliśmy go z towarzyszem i rozsądnie podtrzymywaliśmy swe siły — po łyżeczce cukru na dzień.

Rzeczą było jasną, że wkrótce wybuchną tutaj epidemie tyfusu, cholery i wszelkich innych chorób — krwawa biegunka i tak już się szerzyła. Na takiej zresztą strawie i bez epidemii długo pociągnąć nie podobna. Na koniec, przy niepomyślnym dla Polski wyniku wojny, mogli nas po prostu powystrzelać. Przypatrywaliśmy się karabinom maszynowym, ustawionym w pogotowiu na wieżyczkach i oceniali tę możliwość. Karabiny maszynowe otaczały nas ze wszech stron i lufy skierowane były w sam gąszcz ciżby ludzkiej, wpędzonej za druty kolczaste.

Szesnastego posłyszeliśmy odgłos dalekich wybuchów ze strony Brześcia. Czyżby tam toczyły się boje? Było to nieprawdopodobne.

Starannie liczyłem dni. Zdaje się, 15-go przyprowadzono do Berezy 17 wziętych do niewoli żołnierzy niemieckich. Byli między nimi ranni. Ustawiono ich na polu, policjanci zbiegli się i patrzyli na nich, jak na dziwo-

wisko. Nie widziałem, by ich bito lub brutalnie się z nimi obchodzono. Patrzono na nich raczej z trwożnym zaciekawieniem, nawet z uniżonością.

W jeden z wieczorów, po komendzie „spać“, wszczął się w obozie jakiś ruch. Ktoś biegał po korytarzu, trzaskając drzwiami, po czym dał się słyszeć odgłos kół mnóstwa ciężkich wozów. Cóżby to być mogło? Przechodzi jakiś oddział wojskowy i zabiera żywność ze składów Berezy? Było to najprawdopodobniejsze.

Potem nagle nastała okropna, martwa cisza. W korytarzu ani szmeru... jakby... policjanci opuścili Berezę!...

Myśl taka błysnęła literalnie wszystkim. Wszyscy nasłuchiwali, zataiwszy dech...

Ten i ów jął się pośpiesznie obuwać w mroku. Słabi nerwowo wydawali przytłumione okrzyki, pełzali po podłodze, zrywali się. Lecz ludzie opanowani, gotowi z hartem bronić swego życia i z hartem umierać, nie poddali się lekkomyślnej nadziei. Ktoś wstał w ciemności i przemówił spokojnie i przekonywująco:

— Towarzysze — to jest panowie! Nie gorączkujcie się! Może to być zasadzka, aby sprowokować rzekomy bunt i otworzyć ogień z karabinów maszynowych. Mnie, jak i wam, pilno na wolność. Lecz jeśli jakiś idiota będzie się tutaj awanturował, gdy jeszcze nic nie wiadomo, to już ja się z nim porachuję. — W sali z powrotem zapanował spokój. Wszyscy czekają na wyjaśnienie zagadki.

Tak mijają całe trzy godziny. I gdy nadzieja ogarnęła już wszystkich, nagle w korytarzu zaczęto trzaskać drzwiami i rozległ się szybki tupot butów. A więc wszystko po dawnemu.

A jednak nadzieja pozostaje, coś zapewne jest... Postanawiamy spać, nie zdejmując obuwia. Wszystko jest możliwe: przypuśćmy, zechcą rozstrzeliwać: należy sumiennie uczynić wszystko od nas zależne, aby ocalić życie. Spokojnie, nieodparcie, do końca.

Poranek nastaje najzwyklejszy. Jak co dnia pędzą nas do ustępu, jak co dnia policjant z pałką krąży wśród biegnących szeregów sypiąc ciosy. Dzień jak najbardziej normalny, nawet z „ćwiczeniami“. Dozorcy szepcą coś między sobą i gęby mają niewesołe, ale przecież tak było od samego początku wojny. I wieczór przyszedł tak „normalny“, że nawet rozebraliśmy się na noc.

Zasnąłem spokojnie i zdaje się, spałem długo. Nagle nad ranem zbudził mnie głośny hałas w sali. Panowało jakieś niebywałe podniecenie: niektórzy, wychyliwszy się poza okno, z przejęciem o czymś szeptali, zwróceni w ciemność, po czym obracali się ku nam i nieprzytomnym, rwącym się głosem szlochali:

— Wolność!...

— Och, towarzysze...

— Ależ za oknem!...

— Wolność! Tam ludzie.

Lecz okrzyki były tak bezładne, ruchy tak gorączkowe, że ja, jak i wielu innych, wzięliśmy je za objaw psychozy zbiorowej.

Po chwili w ciemnościach rozległy się nowe okrzyki:

— Co to? Chleb!

— Rzucają!

— Rzucają chleb!

— Gdzie? Gdzie?

— Daj mi, daj mi!

Pod narami, przy oknie powstało zamieszanie. Widocznie, wyrywano sobie z rąk do rąk chleb, który jakimś cudem się zjawił. Ale i to zamieszanie wydawało się maligną ludzi, konających z głodu.

Większość wśród nas zachowywała zwykły, zimny — przy całym napięciu — spokój. Chwila była zbyt stanowcza, ażeby nie potraktować jej z wyjątkową powagą. Wszyscy byli już odziani i gotowi powitać... wolność. Czyjś głos wyraźny i władczy znowu stanowczo i surowo wzywał do karności i samoopanowania. Poczekać, niech nastanie świt.

Ale na świt nie czekano. Wychodzono na korytarz bezładnie, po jednemu. Drzwi, jak się okazało, były już otwarte. Z sali do sali biegali więźniowie i nawoływali się poszukując znajomych. Zwolna zaczęto wysypywać się na dziedziniec. Tak, policjantów nie było już ani śladu. A więc: runęła Bereza, runęła, zawaliła się kapitalistyczna Polska.

Wśród wielotysięcznej gromady bereziaków dają się zauważyć ludzie postronni — widocznie chłopi miejscowi oraz robotnicy z miasteczka. Szybko zmierzam ku grupie tych ludzi, przybyłych z zewnątrz. Stara, siwa chłopka białoruska z długą zakrzywioną laską zwraca się ku mnie:

— Och, nacierpieliście się, gołąbki! My z daleka tylko patrzyliśmy na wasze katusze, a i to ledwo mogliśmy wytrzymać. No, chłopcy, chodźcie, może zjecie coś, może coś potrzebujecie? hę?

Chwyciłem staruchę za rękę:

— Moiście wy, najważniejsze powiedzcie, co się stało, jeśli wiecie...

W odpowiedzi oczy jej nagle zajaśniały, podniosła swą siwą głowę i z jakąś rozkochaną dumą rzekła:

— Czerwona Armia! Już zajęła Baranowicze. Przez radio słyszeliśmy.

Dziwne ogarnęło mnie uczucie. Jeśli skazanemu na śmierć nagle darują życie... Nie, nie to, nie to jest najważniejsze... Jeśli przez całe życie do jednego dążyłeś celu, jeśli wszystkie swe siły i tęsknoty oddałeś jednemu umiłowanemu marzeniu bardzo jednak dalekiemu, i nagle jednym skokiem dosiągnąłeś tego celu, który jeszcze niedawno wydawał ci się nieziszczalny... Ale to jeszcze coś innego. Wielkie dążenie i walka całego ludu, beznadziejna niedola ludu — i nagle, w chwili, gdy ucisk dosięga najwyższego stopnia, sen staje się rzeczywistością... Ale i to jeszcze nie wszystko: wszak przychodziło nie jakieś tam zwycięstwo cząstkowe, ale nastawała, otwierała się nowa epoka, dająca początek dziejom, prawdziwym dziejom ludzkości. Oto, co taiło się w prostych słowach: „Idzie Armia Czerwona."

Jak zawsze, gdy masy ludowe zdane są same na siebie, od razu wystąpiły usiłowania stworzenia porządku. Jedna grupa towarzyszów zajęła się wydawaniem „depozytu": była to olbrzymia praca — wydać ze składu około dziewięciu tysięcy kufrów i tobołków ich posiadaczom. Wydawanie uskuteczniano poprzez trzy okna pierwszego piętra: wykrzykiwano nazwisko, właściciel odzywał się z tłumu pod oknami i kufer leciał na dół.

Inni towarzysze wydawali chleb przez okno składu. Zgotowano nawet obiad z niesolonych ziemniaków. Lecz ludzie już zbierali się w grupy:

— Białystok — tutaj!

— Wołyniacy — formujcie się!

— Lwów — do gromady!

Tak więc wyszliśmy z Berezy na ogół jeszcze obronną ręką: okazało się, że policjanci istotnie uciekli od razu, 17 września, po pierwszej wiadomości o przekroczeniu granicy przez Armię Czerwoną: nocna trzygodzinna cisza w korytarzu nie była naszą iluzją. Potem wszakże raz jeszcze, zdobywszy się na odwagę, wrócili, aby dokonać jeszcze kilku wyczynów. Uchodząc z Berezy, napotkaliśmy ślady ich pożegnania się z nami: dwa trupy leżały w szopie. Jeden przebity był bagnetem, drugi zaś starszy mężczyzna, zamordowany był jakimś tępym narzędziem, bądź kolbą odkarabinu, bądź młotkiem; czaszka była popękana w kilku miejscach. Towarzysze rozpoznali zwłoki: byli to ojciec i syn — robotnicy z Białegostoku. Ponadto osiem trupów znaleziono na kartoflisku za szopą: wszystkie te

trupy były przekłute bagnetami, oprawcy chcieli zapewne uniknąć odgłosu strzałów. Utrzymywano, że ponad trzydzieści takich samych trupów leży na polu za barakami, które zaczęto budować.

Szliśmy — kolumna zmartwychwstałych trupów — i chłopi białoruscy wynosili nam jadło; oto z odległej sadyby biegnie wyrostek, ledwo dźwigając ciężki ceber, pełen mleka, nie wiadomo skąd on tyle mleka nabrał! oto kobieta dźwiga cały kosz serów domowych; oto staruch, wspierając się na lasce, niesie kilka jabłek.

Nikt pomocy tej nie organizował, lecz przed nami, wyprzedzając nas, mknie wieść o upadku Berezy. Tak, Białoruś wie, czym była Bereza. Cały kraj żył zdławiony tym okropnym cieniem. Przyjmujemy te dary, jako rzecz należną i dziękujemy, i płaczemy.

A wieś już szaleje z radości. W lasach kryją się jeszcze ostatni policjanci, oficerowie i panowie, lecz kraj już rozkwita wieńcem sztandarów witając wyzwoleńczy pochód Czerwonej Armii.

Tłum. W. Rzymowski.

STANISŁAW JERZY LEC

ELEGIA MOSKIEWSKA

Już jesień pod nogami szumi
tutaj pod Kremlem.
Nie poznałbym cię, Muzo, w tłumie
gdybyś tak nie patrzyła we mnie.

A tam na Placu, za Leninem,
w czerwonym murze prochy Krupskiej.
Jakie to wszystko elegijne
i marmurowe. Jakie ludzkie.

Piętrzy się, stupiętrzeje Moskwa,
już jutro obmuruje chmury.
Nad szeregami łuną piosnka —
kocha te mury.

Już gasną liście. Tu pod Kremlem,
gdzie dzieci mówią mową dzieci,
obelisk tkwi po serce w ziemi
jak miecz zwycięzcy. Cisza świeci.

Nie — dziś obelisk wśród drapaczy
z ziemi wyrasta skalną igłą.
Każesz mi patrzeć, Muzo. Patrzę.
Oddechy tu jak gniazda przylgną.

Już jesień się na oczy sypie.
Mnie — polska jesień wierszy złotych.
I rośnie wzrok — Marks, Engels, Liebknecht...
I w sercu czujesz dziejów dotyk.

Wiatr, co się z nurtów Moskwy wzbija,
dźwiga do ucha dzwonny zegar.
Chodź Muzo. Tędy przez Gorkija
na plac Majakowskiego.

ADAM WAŻYK

KOMSOMOŁKI PRZYJEŻDŻAJĄ DO LWOWA

Z przystającej lokomotywy
obłok wypełzał dopiero,
gdy tupotem nóg niecierpliwych
przemknęły z wagonu przez peron.

Spodziewały się — będzie już świt,
a tu jeszcze noc szarzejąca,
tylko tramwaj czerwony
czekał opodal dworca.

A był to tramwaj bywały,
jak człowiek w życiu bywały,
i mówił im po imieniu:
Taniu, Aniuto, Kseniu,
czekałem na was od lat,
gdy woziłem ludzi gromadą
do roboty, albo gdy pusty
w dzień strajku stałem w remizie.
A byłem i barykadą
w roku trzydziestym szóstym.

Wchodząc na stopień, jedna
pomyślała: o takim świtaniu
mój ojciec w bitwie poległ.
Mówiła „pośpiesz się, Taniu!“
i szare, ogromne pole
widziała, w polu wyrosła
pszenica, a jaka już piękna!
Odjechały, obłok pozostał,
i w nim tylko ta, co uklękła
przy pociągu...
                    Ktoś kto zobaczył
pogański profil dziewczyny,
zrozumiał to całkiem inaczej —
że modli się do maszyny.

A ona strugą oliwy
maściła, czuła kolejarka,
tryby lokomotywy
i wstawał świt na jej wargach.

MIECZYSŁAW JASTRUN

NAD MORZEM

Tu w słońcu morza, gdzie o piaszczyste brzegi
rozbijają się z nocą zmieszane śniegi
i głębia grzmiąca wiekami, światłem sklepiona
wiatrom podaje plecy, mnoży ramiona,
w tym jednostajnym szumie, w tym kołysaniu
czułym i krnąbrnym w nieustannym rozstaniu...

Tu gdzie sosna nadmorska, wiewiórka ruda,
siadła na piasku, strzępiąc ogon ognisty,
centaur trzaskając kopytem o brzeg południa
skoczy, pianę zakłębi szumem i świstem
i zniknie — złoty w rozbryzgu. W ręku zostanie
mały, zmarszczkami wieków poryty kamień,
ślimak martwy, co teraz w dłoni mej leży;
może od skandynawskich odprysł wybrzeży
z wizerunkiem płaskiego czasu... Grzmot umilkł.
Łańcuchy fal zgrzytnęły zwarłszy się na dnie.
Szumy z szumów wylewa — i już nie szumi
cisza drążąca ciszę. I tylko żagle
wydmą się słonym wiatrem, skrzydła rozwinie
mewa śpiąca na fali — i w błękit minie.

W samo południe, nad morszczyn gęstwą zaczepną,
kiedy meduzy tęczę ciał przeźroczystych rozepną —
stopy stawia na piasku, przelśniony, nagi,
wyprostowuje ramiona, dwie świata wagi,
cień swój roztapia w powietrzu, imię w morzu:
człowiek, syn tych przestrzeni z nocy i śniegu,
rybak, co sieć południków przykuł do brzegu,
on, który morskie przepaście przenosi w góry,
a góry znosi w doliny, jak wełnę owiec,
on, który wszystkim jest, co było, który
jest tym, co będzie, jak pytanie i odpowiedź —
i tym jest, czego nie ma, jak kształt chmury
odbity w bezkształtnej wodzie.

HERSZ WEBER

NIEZABUDOWANA PRZESTRZEŃ

Okolica jest pusta i pagórki strome
nie śnią jeszcze, że staną tutaj kiedyś domy.
Wiatr po polu wokoło, głucho wyjąc, wieje,
a ponad głową w ciszy na niebie jaśnieją
gwiazdy rozmigotane i gęsto się tłumią.
Światła miast niepowstałych blasku ich nie tłumią,
i lśnienie ich przenika aż do samej ziemi,
na góry i doliny — cyrki ciemnej ziemi,
wygasłej planety.
Rozciąga się ogromna i niezamieszkała,
otwarta zewsząd przestrzeń — oto zahuczało
pomiędzy pagórkami znowu głuche wycie —
to wicher bierze miarę jutrzejszego życia,
wpada pomiędzy wzgórza, w rowach, w jamach huczy,
o przyszłe szyby dzwoni, w przyszłe dachy tłucze,
i oto patrz — daleki blask miejski przemyca
w noc czarną wiatr; w tym miejscu będzie szła ulica
i światła, których jeszcze nie znasz — a tymczasem
jest pustka — tylko człowiek, który w ciemny czas
przechodzi tędy, krok swój niespokojny słyszy,
wbijany młotkiem echa w środek nocnej ciszy
i pustkowia, a nad nim już niebo się wali
na głowę; — tam gdzie jutro może się zapali

w przytulnych domach ogni i świateł tysiące,
dziś leży milcząca
groza życia, co jutro dopiero się staje.
Błędne drogi na próżno chcą się znaleźć wzajem.
Aż nagle — dom mieszkalny! Jak gdyby swą drogę
tu nagle świat zakończył niespodzianym progiem.
I chociaż dom ten tutaj nie dla ciebie stoi,
jasny mur, próg, cień sieni — są jak gdyby twoje —
i dziecko jasnowłose w ciemnym sieni wnętrzu,
gdy woła nagle: — mamo! — do matki na piętrze,
w tym głosie, jak zalążek, słyszysz ciche drżenie
tych niezabudowanych i pustych przestrzeni.

Tłum. z żydowskiego L. Fokszański.

JAKUB SZUDRICH

TANIEC Z CZERWONOARMISTAMI

Roziskrzyło się niebo gwiazdami,
Otuliły się pola w aksamit.
Gra Nikita, a w ciszę spowity
Sad się budzi i słucha Nikity.

A on w takt się kołysze i gra
Czarny kosmyk mu spada na skronie.
Noc muzyką aż dzwoni i drga,
Gdy rozciąga się jego harmonia.

Rozpłakały się skrzypki tak cienko,
Aż Berl, skrzypek, sam dziwi się im.
Jurek bije w swój bęben maleńki,
Bęben śmieje się bom-bom, bim-bim!

Skrzypce idą z harmonią w zawody,
I próbują się wzajem, kto piękniej,
Z zapalonych na ustach melodyj,
Wypływają wesołe piosenki.

Sasza daszek zesunął już z czoła,
Wsparł się w bok, kopnął kamień spod nóg,
I zatańczył, zakręcił się wkoło,
Aż spod butów stuk poszedł i huk.

Ach, popatrzcie, matuchno, matulu,
Ile siły i ognia jest w nich!
To nie taniec, to wiater tak hula,
To nie taniec, to płomień, to wichr.

Wieś wyległa i patrzy i słucha,
Jeden podszedł i drugi i trzeci...
I już ciągną tanecznym łańcuchem
I mężowie, i żony, i dzieci.

A kto by w to kiedy uwierzył,
Czy przyśniło się komuś to może,
Że z cywilnym narodem żołnierze
Pod muzykę tańczyli wśród zboża.

To nie sen, nie marzenie, to sprawa,
Która mieszka i żyje wśród nas,
To jest życie, to prawda, to jawa!
I jak z nieba nie zerwać ci gwiazd,

Tak nikt ludu oderwać nie zdoła
Od tej armii, która jest jego.
Będzie tańczyć i śpiewać z nią społem,
I walczyć z nią w jednym szeregu.

Niechaj hula ten taniec do woli,
Aż harmonia wysunie się z ręki,
Wczoraj oracz szedł tędy przez pole,
I szły przy nim żołnierskie piosenki.

Pieśń żołnierska rozebrzmi znów wkrótce,
Kiedy z chlebem tu przejdą rolnicy,
Będą szli przed wozami dowódcy,
W rękach nieść będą wieńce pszenicy.

Tłum. z żydowskiego L. Fokszański.

NACHMAN BLIC

W MROCZNEJ ULICZCE

Moja opowieść rodzi się w mrocznej robotniczej uliczce, którą z jednej strony dławi duży browar, a z drugiej miejska gazownia, stercząca trzema wielopiętrowymi zbiornikami. W dzień zapadają odrapane domy w szarą mgłę, a ponad dachami leniwie pełzają kłęby pary i czarnego, cuchnącego dymu. I dlatego twarze obdartych, bosych dzieci, włóczących się tu dziesiątkami, są woskowo żółte, jak twarze trupów, dlatego kaszel ich, to trzask łamanych, suchych gałązek. Powietrze przepełnione jest gazem i cierpką wonią koksu. W dnie pochmurne wiatr zasypuje oczy wilgotnym pyłem węglowym, który wraz z plamami sadzy osiada na twarzy i w nosie.

Teraz jest noc. Ponad miastem zawisło niebo jak czarna chorągiew. Nie znajdziesz nikogo w tej ciemnej pustce, gdzie zakrzepła, głucha cisza wychodzi lekkimi, bosymi krokami na spotkanie monotonnego, basowego hurkotu fabryki. Tylko koty, o zielono skrzących się oczach, skaczą tam i sam poprzez małe otwory piwniczne, a wietrzyk goni za nimi z świstem, unosząc z bruku papiery i śmiecie i rozdmuchując je w ciemnej dali ulicy.

W głębi, poza cementowym ogrodzeniem, ostro zarysowują się czarne kontury gazowni. Przez szerokie, bladozielone okna hali maszynowej, widać poruszające się niemo postacie robotników. Uwijając się pośród dynamomaszyn i pasów transmisyjnych, robią wrażenie cieni. Właśnie jeden z olbrzymich kotłów spuszczają w podziemia, skąd jutro w południe powróci napełniony gazem. Kocioł opada powoli po szynach windy z ciężkim, rzężącym sapaniem, od którego aż ziemia drga i wszystko dokoła dygoce.

Samotna latarnia chwieje się na samym brzegu zniszczonego chodnika, naprzeciw parterowego okna, zasłoniętego do połowy białą, płócienną firaneczką. Z latarni ściekają cytrynowożółte strugi światła, tworząc brudnawożółtą plamę na zakrytym oknie. A tam, wewnątrz, na odrapanej ścianie drzemiącej, biednej izby, występuje słaby odblask, który mieni się

i błyszczy jak rybia łuska. I ten oto odblask na ścianie ciemnej izdebki budzi w piersi jedenastoletniego chłopca pierwsze pragnienie czynu i uczucia, w których jest męka i ból. Chłopak leży w łóżku, które mu się w tej chwili wydaje tak dziwnie duże, że aż się gubi w nim. Za oknem wiatr gwiżdże przeraźliwie, przypada do szyb mroźnym podmuchem i powleka je leciutką, mętną zasłoną. Chłopak zapatrzył się w bladą plamę, mieniącą się na ścianie. Wydaje mu się, że to świecą wśród czarnej, głuchej nocy białe, śliskie zwały lodu, od których szklistego blasku drętwieje wzrok. Czuje, jak dreszcz go przechodzi, słyszy szczękanie własnych zębów. Przenika go chłód, całe ciało zdrętwiało, tylko oczy, co w ciszy płakały, pieką od łez. Dotyka pod kołdrą pleców. — Boli... Ach, jakże go matka nabiła!... Skąd u niej taka złość?... — Niedobrze — myśli: W domu co dzień gorzej, chleba coraz mniej, a matka coraz surowsza dla niego. Ale najgorsze to, że zabrania mu odwiedzać Sarę i Daniela, u których w izdebce tuż nad nimi schodzą się wieczorami tacy mili, dobrzy ludzie.

Sara ma brunatne, faliste włosy. Kiedy się nachyla ku niemu, opowiadając mu coś w kącie swej mrocznej izby, przypomina mu się lato i zapach pól. Jej głos jest trzepocąco-miękki, jej słowa rozkwitają przed nim dziwnymi barwami. A później, ciemną nocą, kiedy już leży w swoim dużym, zimnym łóżku, słowa te zjawiają się znowu, wskazują nieznane dale i zostawiają na jego bladej, dziecięcej twarzy coś, z powodu czego matka staje się dlań z każdym dniem ostrzejsza.

Sara wypytuje go o ojca, o matkę, o to, czy matka wciąż jeszcze użera się z ojcem o chodzenie w sobotę do bożnicy. I o mełameda, który go co dzień zamęcza niezrozumiałymi słowami, skaczącymi przed jego oczyma na zżółkłych, zatłuszczonych kartach modlitewnika jak duże muchy-śmieciuchy. Sara mówi o bogu. Opowiada o chłopcach takich małych jak on, odzianych w łachmany, stojących od rana do nocy przy buchających żarem piecach — tam w hucie szklanej, na niedalekim wzgórzu, skąd taki czarny dym ustawicznie leci. Dzieci trzymają w ustach cienkie rureczki i wdmuchują w nie swoje płuca, swoje zdrowie, całe swe młode życie — a na końcach owych rurek rodzą się szklanki i kieliszki, z których bogaci panowie będą pili wino... To wszystko mówi mu Sara.

Ale teraz jest noc. Noc przedzimowa, bez gwiazd, bez księżyca. Głęboka, ślepa otchłań, gdzie żarzą się jego młode myśli, które chcą się uwolnić, przedrzeć się przez tuman kłamstwa. Boga nie ma. Mama nie wie nic. Mełamed kłamie. Wszyscy kłamią. Nawet nauczyciel w szkole. Sara ma rację. Ach, gdybyż matka wiedziała...

Podnosi głowę i opiera ją o wilgotną, lepką ścianę. W drugim łóżku obok widzi leżącą matkę i przytuloną do jej szyi, wplątaną w jej włosy, drobną rączkę Gitełe, jego pięcioletniej siostrzyczki. Matka śpi. W nocnej ciszy słychać, jak grają w jej piersi ochrypłe piszczałki. Tylko nędza nie śpi. Czuwa i nie daje się ukołysać nocą, ciszą i wiatrem. Wyłazi wśród mroków z każdego kąta i podgryza, podkopuje, pożera ludzki żywot. Ot —

Z kranu wodociągu kapie woda, ciężkie krople spadają w milczącą muszlę. Drzwi połamanej szafy z zardzewiałym, blaszanym jękiem chcą wyrwać się z chorych zawiasów, a z ciemności, czyhającej pod łóżkami odzywają się niebawem suchym trzaskiem spróchniałe deski starej podłogi. Piszczące z głodu myszy wypadają z nor i drapią ostrymi pazurkami brzozową miotłę, stojącą w kącie przy drzwiach.

Z zaspanych ust matki wyrywa się krótki, bolesny jęk i zaraz więźnie w gardle, jakby przyduszony czyjąś niewidzialną ręką. Właśnie tak, pamięta Herszl, zdławiony został krzyk matki, pewnej ciemnej nocy, ot tu, w tym samym łóżku. Ale wtedy widział ręce trzęsące się, szalone, zatykające matce usta... Co za dziwne słowa wypowiedział wtedy ojciec. Czarno było wówczas w ich izbie, tak samo, jak teraz, tylko chwiejne, zielone światło księżyca, wspinającego się na dach przeciwległego domu,

załamywało się zygzakami na wykrzywionych wargach ojca. Głos ojca kipiał głucho jak wrzątek w przykrytym garnku, a spod ciężkiego ciała ojca, jak spod zwalonego nagrobka wydostawał się spłoszony, blady głos matki:

— Nie... Starczy ledwie dla tych dwojga... Nie, Dawid... I głos jej wsiąkł w ciemność, jak nagły, krótkotrwały deszcz w rozpalony piasek. I nagle wszystko ucichło. A w ciszy słyszał, jak dwa oddechy, pełne i kipiące, gonią się, jednoczą, wznoszą i opadają.

Teraz matka śpi. Może śnią jej się wykrzywione wargi ojca i ręce jego, zatykające jej usta, jak zatyka się szybko flaszkę z musującym, uciekającym płynem. Ale ojca nie ma teraz i małe ciałko Herszla gubi się w dużym łóżku. Do ojca łóżko należy w dzień. W nocy pracuje on w drukarni. Ciągnie tam na górne piętro windę, ciężko naładowaną ołowiem. Raz w górę, raz w dół. Przenosi tłusto uczernione kolumny czcionek z zecerni do hali maszynowej, wytacza z magazynu białe walce papieru. Kiedy pędząca maszyna zatrzymuje się na chwilę z ciężkim sapnięciem, rzuca się ojciec w ciemny otwór, wyzierający spod olbrzymiego cielska maszyny i zalewa spragnione śruby oliwą z koneweczki o długim, bocianim dziobie.

Rzadko kiedy sypia ojciec w nocy. I rzadko kiedy wdziewa brunatny, odświętny surdut i wąskie jasnoniebieskie spodnie, które mu przysłał z Ameryki kuzyn Boruch. Dni rodzą się, wschodzą w smutnozłotej poświacie nad zadymioną ulicą, jak odblask dalekiego słońca na zakopconej, popękanej tafli ich lustra. Wiosny przekwitają, lata dojrzewają, spalają się na jedynym kasztanie, jaki wegetuje wśród śmiecia i odpadków na ich podwórzu. Rok za rokiem mija, jak odpływające okręty. Zabierają ze sobą radość, słońce, niezaznane przez ojca, niespostrzeżone przez niego.

Zaryty w swym łóżku, nakryty po głowę, z której widać tylko kosmyk jasnych włosów — śniegiem zasypany grób z miotełką zeschłej trawy — przesypia ojciec lata, życie. Dlatego jego twarz jest jak arkusz makulatury — szara, zamazana i smutna.

Na wpół siedząc, oparłszy głowę o mokrą ścianę, myśli Herszl o ojcu. Próbuje sobie wyobrazić, co też on w tej chwili robi? I myśl jego wybiega na dwór, pędzi poprzez milczące, kręte uliczki, gdzie noc, gdzie wiatr, gdzie domy stoją takie smutne i nieme, jak zabite trumny. Daleko, daleko, poza kominami i czarnym smętkiem ich ulicy widzi Herszl ulice inne, gładko i szeroko brukowane, o lśniących szynach tramwajowych, o wysokich wieżach kościelnych, które przebijają sklepienie nieba. Nad wejściem do drukarni widnieje napis „Nowiny“, tak nazywa się gazeta, którą tam drukują. Przed zamkniętą, żelazną bramą stoją teraz zapewne policjanci uzbrojeni w karabiny, niby pilnują, aby uniwersyteckie łobuzy z małymi, aksamitnymi czapeczkami na głowach i grubymi pałkami w rękach znów nie napadli na drukarnię. Policjanci wartują — ale Herszl, leżąc tak w swoim łóżku w ciemnej izbie, potrafi zmylić ich czujność. Z niezwykłą radością widzi siebie, skradającego się na czworakach i przemykającego się pomiędzy nimi, tuż na ich oczach, do drukarni — do ojca.

W obszernej, jasno oświetlonej sali widzi Herszl swego ojca. Topi ołów: pod dziwacznym, dużym kotłem buchają zielone płomienie gazu. Ojciec, obnażony do połowy ciała, w płóciennych spodniach roboczych ściągniętych rzemykiem, dużą chochlą czerpie wrzący ołów i wlewa go w jakiś otwór, podobny do zwierzęcej paszczy. Dwie maszyny rotacyjne wmurowane w betonową podłogę połykają białe wstęgi papieru, spływające bezustannie z ciężkich zwojów, leżących między tłustymi, czarnymi walcami. Na kościstej twarzy ojca drga zielone światło płomieni gazowych, a po jego nagiej, owłosionej piersi ściekają strużki lepkiego, brudnego potu. O, jak ciężko ojciec pracuje! Herszl wpatruje się w niego i czuje, jak siwe spojrzenie ojcowskie wchodzi w głąb jego oczu, jak gdy-

by szukając tam schronienia, odpoczynku... I czuje się teraz tak bliski ojcu, jak nigdy przedtem.

— No, zobacz sam, ojcze, Sara ma rację. Gdzież on jest, ten bóg? Nie ma go. Bogacze go wymyślili, aby ciebie omamić. Cieknie z ciebie tyle potu, jesteś cały mokry. Tato, Sara powiedziała, że tacy ojcowie, jak ty, ojcowie, którzy nigdy nie sypiają w nocy, którzy takie ciężary dźwigają, powinni mieć wszystko, wszystko, tato! A my nie mamy nic, my zawsze jesteśmy biedni. U nas w domu jest tak zimno i Gitełe kaszle tak strasznie, mleka już nie ma dla niej, ona umrze, tato. A ty wciąż tylko milczysz i milczysz... Wydaje się Herszlowi, że ojciec obejmuje go, przyciska go mocno do siebie, a policzki jego wilgotnieją od potu strudzonego ojcowskiego ciała.

Czyjeś samotne kroki, głośnym echem odbijające się w pustej ulicy, wyrywają Herszla z jego rozmyślań. Strażnik miejski gasi długim kijem latarnie gazowe. Żółte, płynne światło sączące się przez okno znika nagle wraz z bladym odblaskiem drgającym na ścianie. W izbie staje się ciemno, ciasno. Z kranu wciąż jeszcze kapie woda i w milczącą muszlę spadają duże, ciężkie krople. U bramy ktoś szarpnął dzwonek. Herszl nadstawia uszu. Tak, tak — to Daniel dzwoni. Teraz musi wstać z łóżka. Żeby tylko matka nie usłyszała. Czy też ona naprawdę śpi? — Tak, tak, śpi. Och, żeby tylko nie nastąpić bosą nogą na piszczącą mysz... Ale Herszlowi nie wolno się bać. Musi on teraz być odważny jak dorosły człowiek. Pomału, cichutko skrada się ku wyjściu i z zapartym tchem, przyłożywszy ucho do wilgotnych drzwi stoi w samej koszuli, dygocąc z zimna. Słyszy, jak dozorca otwiera bramę. Człapiące, zaspane jego kroki suną po kamiennej podłodze z powrotem do izdebki. Ale ten, komu bramę otworzył, stoi teraz pod drzwiami Herszla. Herszl wyraźnie słyszy jego oddech. I cicho, cichutko odsuwa on rygiel, naciska lodowatą klamkę, otwiera drzwi i wysuwa niepewną rękę. Powiało nań nocą, ulicą i chłodem. Czuje, jak ktoś, lekko pogłaskawszy go przemarzniętą ręką, wsuwa mu coś w dłoń. Herszl zamyka z powrotem drzwi i zasuwa rygiel. Serce bije mocno. Ci-i-i-cho... Miotła nagle upadła z głuchym stuknięciem. — Ach, matka...

— Co to? Kto tam?

— To ja mamo... Poszedłem napić się wody. Wody się napiłem...

Herszl nie poznaje swego własnego głosu, tak obco brzmi teraz. Przyciskając paczkę do nagiego ciała przysuwa się do łóżka i zdaje mu się, że stał się dorosłym człowiekiem.

Tej nocy będzie jeszcze długo leżał rozmyślając i nie mogąc usnąć. Będzie myślał o paczce, którą ukrył przed matką, w skrzynce z narzędziami ojca, tu oto, pod łóżkiem...

Ranek. Matka Herszla zdejmuje z okna płócienną firaneczkę, a przez zamglone szyby, niby szary popiół sypie się na izbę późnojesienny dzień. Na płycie kuchennej wrząca woda w starym imbryku wygrywa smutną piosenkę powszedniości. Wchodzi sąsiadka Piotrowa — niska, w wyliniałym baranim kożuszku i wyblakłej, chłopskiej chustce.

— Dzień dobry, Barbaszowa. A wyjdźcie no na ulicę. Koło gazowni pełno policjantów z karabinami. Powiadają ludzie, że jeszcze nas wszystkich wysadzą w powietrze. Zobaczycie. A wszystko przez tych pańskich synków — powiada Piotrowa kiwając grubym, sinym jak śledziona palcem. Matka załamuje ręce, potem rozpaczliwie łapie się za twarz i wykrzykuje płaczliwie, po babsku:

— Nieszczęśliwa moja godzina! A „mój" jeszcze nie wrócił z roboty. — Nagle urywa, słysząc syrenę browaru.

— Piotrowa — krzyczy matka — już siódma godzina, a zawsze przychodzi o piątej. Kto wie, może go gdzieś te chuligany napadły. — I przyskakuje do łóżka, w którym śpi Herszl.

— Wstawaj no, dopilnuj izby. Ojciec jeszcze nie wrócił, gorzka moja dola. Pobiegnę do sklepiku po chleb. — A do Piotrowej:

— Jak myślicie, można chłopca posłać dziś do szkoły, co?

Piotrowa grzeje ręce przy imbryku. Herszl patrzy na nią zaspanymi, na wpół przymkniętymi oczyma. Matka zarzuca na ramiona chustkę i wraz z Piotrową wychodzi z izby. Herszl natychmiast zasypia.

Na rogu ulicy, koło szynku stoją ludzie. Kobiety w podartych sukniach i kilku czeladników piekarskich o twarzach żółtych, wychudłych od ciągłego stania przy gorącym piecu. Właśnie ukończyli pracę nocną. Każdy z nich ma pod pachą „fasunek" chleba, a w ręce blaszany dzbanuszek od kawy. Na wzgórku, za betonowym ogrodzeniem, gdzie stoją zbiorniki, chodzą tam i z powrotem ciężkimi, miarowymi krokami żołnierze z karabinami na ramieniu, w stalowych hełmach. Przypominają się czasy wojenne. Słychać rozmowy:

— Już trzy dni, jak studenci hulają, a jeszcze końca nie widać. Takie chuligany!

— Cały kosz obwarzanków wysypali mi wczoraj w błoto, a dzisiaj — choć giń z głodu razem z dziećmi! Takie piekło! Wszyscy biegniemy, wszyscy krzyczymy, a nad głowami pały! I dokąd tu uciekać, gdzie się skryć?...

— No cóż — na kim by się skrupiło, jak nie na nas, biednych ludziach? My przecież zawsze jesteśmy kozłem ofiarnym...

W sklepie żaluzje opuszczone do połowy, Barbaszowa mocno musi się schylić, by dostać się do środka. Mała dziewczynka opowiada, jak to wczoraj zbili jej ojca. Dziś leży w domu chory. Sklepikarka, kobieta o tłustej twarzy, w kruczoczarnej peruce, apeluje do „najwyższego" przewracając nabożnie oczyma:

— Zmiłuj się, Panie, wybaw już raz z golusu swój biedny naród izraelski i uchroń go od wrażych rąk...

— Ojciec prosił, żebyście mi dali bez pieniędzy pół bochenka chleba, za pięć groszy mleka i deko kawy — wyśpiewuje płaczliwie dziewczynka, mrużąc siwe, smutne oczęta.

— Oj, dziecko moje — wzdycha krucza peruka — jeden złoty winien mi już twój ojciec z tamtego tygodnia, a teraz będzie 32 grosze, czyli wszystkiego razem będzie jeden złoty i 32 grosze. A więcej, powiedz mu, już nie zborguję.

Kiedy Herszl znów otwiera oczy, widzi już ojca przy stole. Siedzi w palcie i w starym, zmiętym kapeluszu, nasuniętym na czoło. Z kieszeni palta wystają tłuste litery nagłówków gazet. Czuć surową woń papieru i czernidła drukarskiego. Twarz ojca jest szara jak ołów. I oczy jego są jak kawałki ołowiu — szare i zimne. Patrzą martwo przed siebie. Tylko warga ojca trzęsie się nerwowo, drga, jak pokrywka na garnuszku z wrzątkiem. Herszl widzi, jak się przymyka jedno oko ojca, a później drugie. Obie powieki, uwalane farbą drukarską wyglądają z daleka, jak oczodoły kościotrupa.

Herszl nie może oderwać wzroku od drgającej wargi ojcowej. Wydaje mu się, że warga ta opowiada coś strasznego, ale on, Herszl, jest głuchy i nie może tego dosłyszeć...

Matka otwiera drzwi, wsuwa się do izby otulona w połatany szal. Wygląda jak mokry, wypchany wór. Spostrzegłszy ojca, siedzącego przy stole, woła:

— Dawid! Dobrze, że cię już widzę w domu! — I wyjmując spod chustki chleb, pyta:

— Dlaczego tak późno dzisiaj, co? Powiadają, że na mieście akademicy tej nocy znów bili ludzi i tłukli szyby.

— Stało się nieszczęście — odpowiada ojciec, przygryzając drgającą wargę.

Matka rzuca chleb na stół. Gitełe zrywa się ze snu z płaczem, ale matka nie słyszy tego. Stoi przed ojcem przerażona. Połowa chustki zsunęła się z jej ramion. Herszl widzi, jak kręcone, grube frędzle chwieją się w powietrzu jak gałązki przed burzą.

— Nieszczęście? Dawid, nie rozumiem... gadaj...

— Odcięło mu rękę —

— Komu?

— Lermanowi... Maszyna do przycinania papieru. — I Dawid opowiada jej, jak to stojąc w stereotypii przy matrycowaniu ostatnich kolumn usłyszał nagle straszny krzyk z drugiej sali, w której Lerman właśnie zajęty był rozcinaniem na maszynie wywieszek. Kiedy wbiegli tam, zastali go omdlałego, wiszącego na ręce, tkwiącej w maszynie między nożem a płytą prasową. On sam, Dawid, przekręcił korbę i uwolnił zmiażdżoną rękę spod noża.

— Odwieźli go do szpitala; rękę trzeba będzie odciąć — powiedział lekarz. Tak, odciąć rękę i cicho sza! I wszystko będzie w porządku... Do stu tysięcy diabłów! — krzyczy Dawid w pasji. Wie on dobrze, że żaden z panów dyrektorów ani nie piśnie o tym, że stracona ręka Lermana, to nie wypadek z powodu nieostrożności przy pracy. Nikt nie dowie się o tym, że „sznajdmaszyna“ jest stara i zepsuta i że już od trzech tygodni goni się do dyrekcji ze skargą, że śruba się wytarła i rozluźniła i że nóż przez to spada nagle, niespodzianie. — Zobaczysz, oni wszyscy będą mieli miny niewinnych baranków, jak gdyby za to nieszczęście nie ponosili żadnej odpowiedzialności. Ażeby ich pokręciło! Trzeba było widzieć, jak maszynista uganiał, jak szalony, krzycząc: „Co za nieszczęście, co za nieszczęście!“ Myślałby kto, że się tak przejął nieszczęściem Lermana — a jego bolało, że maszyny stanęły, a opóźnienie w ukazaniu się numeru przyniesie szkodę dyrekcji. Nie darmo płacą mu trzysta złotych tygodniowo. Socjalista niby. W „Ognisku“ nazywa nas „towarzyszami“ — a przy pracy wypruwa człekowi wnętrzności. Masz, patrz, co piszą na ostatniej stronicy! — I Dawid wyciąga z kieszeni gazetę i wodząc po papierze uczernionym palcem, któremu brak pół paznokcia, czyta: „Z technicznych przyczyn numer dzisiejszy wyszedł z opóźnieniem.“

— Jak wam się to podoba? Robotnik stracił rękę przy zepsutej maszynie, a oni piszą — „techniczne przyczyny.“

Mnie gazetę i z wściekłością rzuca ją na podłogę. W izbie cicho. Tylko imbryk świszczy, dławi się parą. Barbaszowa zupełnie o nim zapomniała. Stoi jeszcze wciąż na tym samym miejscu, przy stole, w chustce, opadającej z ramion, oczy spuszczone ku ziemi patrzą tępo na zmiętą gazetę. Nogi Dawida w wykrzywionych butach, z grudkami ołowiu na rozpłaszczonych czubach butów, kroczą tam i z powrotem po izbie, zostawiając za każdym razem mokrą, brudną plamę na gazecie.

Herszl ubiera się. Zasznurowując buciki myśli o Lermanie. Właściwie nie o nim samym, lecz o jego ręce. Widzi ją odciętą, z kurczowo zgiętymi palcami, leżącą na biało lakierowanym stole operacyjnym jak czerwona, tłusta, plama... Myśli: Co też ci doktorzy zrobią z tą odciętą ręką? Czy może potajemnie ją gdzieś pogrzebią? A może po prostu wrzucą ją do kloaki?

— Dwojro, daj coś wypić. Pójdę spać — powiada ojciec. I zdejmując kapelusz dodaje:

— Gdy Berkowicz przyjdzie, zbudź mnie. Spodziewamy się strajku. Dyrekcja chce nam znów urwać dwadzieścia procent.

Na słowo „strajk" Barbaszowa zrywa się jak oparzona. Oczy jej płoną. Blade, nerwowe jej ręce trzepocą się jak wstęgi na wietrze.

— Znów strajk? Znów ginąć z dziećmi bez kawałka chleba, znów puste dnie w zimnej, nieopalonej izbie? Nie, Dawid — nie, powiadam ci! Lepiej od razu poddać się. Tak czy siak twoi socjaliści z „Ogniska" w ostatniej chwili pogodzą się z dyrekcją. Cały socjalizm, powiadam ci, diabła wart! — krzyczy Barbaszowa. — Kiedy twój Berkowicz przyjdzie, powiem mu to samo.

— Ale co za głupstwa pleciesz, Dwojro! Przecież nie można milczeć, do wszystkich diabłów! I tak ledwie dyszymy — z tymi trzydziestu złotymi tygodniowo. A teraz jeszcze dać sobie urwać dwadzieścia procent? Przyjdzie chyba zdechnąć! Daj trochę herbaty.

Siadając na łóżku mówi Dawid do Herszla:

— Uważaj na ulicy i zaraz po nauce wracaj do domu.

Mrucząc coś gniewnie, Dwojra podaje herbatę. Ale Herszl nie może jej dzisiaj pić. Herbata jest jakaś lepka i przypomina mdły smak krwi. Naprzeciw siedzi ojciec, lecz Herszl wcale go nie widzi. Patrzy na rękę, w której ojciec trzyma polewany czerwony garnuszek i zdaje mu się, że ręka jest odcięta, żyje własnym życiem, porusza się to w górę to na dół, strasznie pokiereszowana, zniekształcona ręka. Cisza. Tylko lekki szelest papieru. To matka zawija dla niego kromkę chleba do szkoły.

W kilka minut później jest już Herszl na ulicy.

Pada pierwszy śnieg. Sklepy pozamykane. Przy spuszczonych żaluzjach stoją kupcy — brodaci żydzi o wylęknionych twarzach. Na samym środku jezdni chodzą powolnymi krokami uzbrojeni żołnierze. Na ścianie budynku szkolnego wisi duży plakat, przed którym zebrała się grupka ludzi. Wchodząc do szkoły przypomina sobie Herszl paczkę, ukrytą pod łóżkiem i czuje, że policzki zaczynają mu pałać. Powinien był może schować gdzie indziej — myśli — żeby tylko matka tego nie znalazła.

Ale matka Herszla nie wie o niczym. Jest teraz zajęta rozpalaniem ognia pod kuchnią. W kominie nie ma przeciągu i mokre drzewo w żaden sposób nie chce się zająć. Jest piątek i Dwojra, czerwona od uporczywego dmuchania na mokre polana, złości się:

— Ot, psie życie. Zanim się człowiek oglądnie — już znów szabas... A tu — komin do stu diabłów!...

Dawid, leżąc w łóżku, otulony aż po włosy w kołdrę, odzywa się zduszonym głosem:

— Mogłabyś już raz skończyć z tymi bzdurami szabasowymi. I tak nie starczy już na chałę i rybę... A dzieciom będziesz mogła dać kamienie gryźć zamiast chleba!

— Wiem, wiem — odpowiada Dwojra — ciebie obchodzi szabas jak zeszłoroczny śnieg. A ten mały drań Herszl też już ujada na boga. Tego się nauczył tam, na górze u tej parki, co to żyje na wiarę. Ciebie to dużo obchodzi!

Dwojra, stojąc przy kuchni umorusana sadzą, mogłaby tak mówić bez końca. Wiele bowiem trosk nagromadziło się w jej kobiecym sercu — i słowa, którymi nie było z kim się podzielić, napęczniały żółciową goryczą. Ale Dawid śpi już. Nadmierna praca i niesypianie po nocach wywołują u niego dziwne zmęczenie. Sen stał się dla Dawida jedyną ucieczką przed troskami i niedostatkiem, jedynym wyjściem z twardej, szarej rzeczywistości. Wokół niego pieniło się życie, każdy dzień przynosił nowe zdarzenia. Na świecie rozgrywały się walki uliczne, wybuchały rewolucje, upadały rządy — tylko on, Dawid, leżąc w swym łóżku przesypiał rzeczywistość i nie mógł znaleźć żadnego związku pomiędzy życiem świata a swoim własnym.

Zakrzepł w tępej obojętności. Tylko w rzadkich, niezwykłych wypadkach, kiedy krzyk świata zdołał wedrzeć się między cztery ściany jego

ciasnego, ograniczonego życia, doznawał takiego wstrząsu, że stawał przed zjawiskiem w bezradnym oszołomieniu. Przesypianie dnia, pory, w której inni czuwają, żyją i działają — zabiło w nim wolę i chęć zastanawiania się nad tym, co się dzieje dokoła.

Kiedy Barbaszowej udaje się wreszcie rozdmuchać ogień pod kuchnią, izba pełna jest dymu. Mała Gitełe siedzi na podłodze i bawi się z kościstą, wyliniałą kotką stróżki. Od dymu oczy dziecka są zaczerwienione i łzawią. Szarpane kaszlem ciałko pochyla się, a twarzyczka chowa się w cuchnącą sierść miauczącego, krztuszącego się dymem kota.

Tłum. z żydowskiego Erna Imberowa.

ZYGMUNT SOBOLEWSKI

PIERWSZE DNIE

Z parogodzinnym opóźnieniem Edward stawił się w cytadeli.

Olbrzymie place przykoszarowe zasłane są bezładną gęstwą ciał. Ciasno, ramię przy ramieniu, leżą, każdy ze swym węzełkiem pod głową, wezwani rezerwiści.

Z tej nieruchomej, poziomej, nagrzanej ciasnotą, omotanej czernią nocy — masy, wyrastają stoliki komisyj ruchomymi wysepkami chybotliwych świateł naftowych. Każdy stolik oblepiony hałaśliwą gromadą.

— Choćby najgorszy przydział, choćby wymarsz natychmiastowy w pole, lepsze to — niż niezorganizowane czekanie, bez jedzenia, bez ciepłego okrycia na noc, bez wiązki słomy pod głowę — mówi ktoś.

— Tyle roczników na raz! Tyle tysięcy do umundurowania, uzbrojenia i rozlokowania — wzdycha inny.

Komisje pracują bez wytchnienia, w uproszczony sposób. Zapisują nazwisko, imię, szarżę, specjalność i — marsz do wyznaczonej kompanii. Rosną oddziały, kompanie, bataliony i pułki. Odchodzą w pole, na front. Rezerwiści wciąż przybywają, napływają niby rzeka rozlana w czas powodzi, zalewają każdy skrawek ziemi, wciskają się we wszystkie szczeliny zabudowań cytadeli.

Stąpając ostrożnie poprzez ciała śpiących, Edward przeciska się jak najbliżej do stołu komisyjnego.

— Rezerwiści już po dwa dni czekają na przyjęcie, może by tak jeszcze wrócić do Ireny — myśli Edward — zawieźć ją w bezpieczne miejsce?

Wówczas jeszcze sądził, że może być bezpieczne miejsce w czas tej wojny, że można by znaleźć kryjówkę, norę jakąś, by schować głowę przed deszczem kul, granatów i szrapneli.

Lecz brama cytadeli zatrzasnęła się za nim jak drzwi więzienia za skazańcem. Został wessany przez tłum, zlany z nim w jedno, nierozdzielny. Stąd już nie było powrotu do dawnego życia, do zwykłych dni, do myśli — mających sens jeszcze wczoraj, a dziś — bezwartościowych już i niepotrzebnych.

Postanowił więc — jak najprędzej dostać przydział. Przerwać dręczące chwile czekania. Przyśpieszyć rozwiązanie niepewnego jutra. Iść samemu wydarzeniom naprzeciw.

Nad ranem docisnął się przed oblicze Komisji. Po spisaniu personaliów, krótkie pytanie doktora.

— Zdrów?

— Zdrów — odpowiedział.

Było to pytanie retoryczne. Bo jeśli ktoś odważył się odpowiedzieć przecząco, zostawał posądzony o symulację, w potworny sposób zwymy-

ślany i odesłany wraz ze zdrowymi do kompanii. Odrzucano tylko widocznie ułomnych.

Ci właśnie, za „symulantów“ uznani przez władze, jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych, odstając w marszu od swych oddziałów, kaszlący, gorączkujący, trapieni przez tysiączne bóle, chorzy ludzie, tworzyli bandy maruderów włóczących się po drogach, lasach i zagrodach wiejskich.

Edward dostał przydział do kompanii „zwiadowców“.

Cztery motocykle (dwa z przyczepkami i dwie „solówki“) oraz stu pięćdziesięciu kolarzy — utworzyło samodzielną jednostkę bojową, która miała za zadanie współdziałać z kawalerią i piechotą.

Gdy utworzyła się dość duża grupa przydzielonych do „zwiadowców“, kapral Berych zaprowadził ich na ulicę Felińskiego, gdzie lokal szkoły powszechnej Nr 62 zamieniono na koszary.

Dziedziniec szkolny i mały skwerek, otoczony wokół drucianą siatką płotu, zalegała pstrokata masa rezerwistów. Część z nich była już w zielonych drelichach wojskowych, ale jeszcze w czapkach i kapeluszach. Inni, kucając na ziemi, zdejmowali z nóg żółte, brązowe lub czarne, cywilne pantofle i zakładali ciężkie, podkute gwoździami, wojskowe buty.

W różnych kątach szkolnego placyku „fasowano“ mundury, buty, karabiny, gazmaski, łopatki i hełmy bojowe.

W miarę przybywania coraz nowych rezerwistów z cytadeli, rozbity początkowo przestrzenią placyku, bezładny szum poszczególnych grup, zlewał się w jeden nieustający gwar, który przez oka okalającej siatki przeciekał na ulicę i tam mieszał się z płaczem kobiet i dzieci.

— Czy zdążę zawiadomić Irenę? Czy zobaczę ją jeszcze? A Olek, dziecko, nie, to niemożliwe... — rozmyślał Edward.

Wmieszał się w tłum rezerwistów, stanął w kolejce „fasujących“. Podoficer mundurowy mechanicznie, nie zwracając uwagi na wielkość, rzucał im pod nogi spodnie, bluzy, bieliznę, pasy, rzemienie, menażki używane, z zielonym grynszpanem w załamaniach, pordzewiałe niezbędniki... Rosły stosy żołnierskiego ekwipunku. Na szczycie ich, na rozpostartych, białych, barchanowych onucach, legł ostatni przedmiot. Jak krwawa pieczątka złożona pod wyrokiem śmierci. Mała, okrągła, cynkowa blaszka... Na niej, pośrodku, wytłoczone cyfry.

— Numer ten nawlec na sznurek i zaraz włożyć na szyję — pouczał mundurowy. — Nosić jak medalik święty, nie zdejmować ani na moment. Bo jak was ukatrupią, to i rodzona matka nie rozpozna.

Oni zgarniali z ziemi swój rynsztunek, osobno, w drugą rękę, brali blaszkę. Prawie każdy patrzył na nią chwilę i ważył w ręku, zanim założył na szyję, zanim zgodził się na swą śmierć, na leżenie we wspólnym dole, na to, że go będą kiedyś wygrzebywać spod stosu trupów czyjeś ręce i że czyjeś oczy po numerku na piersi będą rozpoznawać zmasakrowane ciało...

Szyja Edwarda nie chciała wejść w sznurek. Blaszka zahaczyła się najpierw o nos, potem zgrzytnęła o zęby. Dreszcz pełzał przez plecy. I Edward nie zgodził się na wspólny dół w obronie ojczyzny, która nie była nigdy ojczyzną dla takich jak on. Szarpnął blaszkę, rozerwał sznurek, wyrzucił śmiertelny numerek poza siatkę.

W nocy z 25 na 26 sierpnia, kompania zwiadowców wyruszyła drogą poprzez Bielany, Łomianki, na Modlin. Edward, mając w przyczepce motocykla szefa kompanii, ruszył przodem. Mieli za zadanie przyszykować nocleg dla podążającej za nimi kompanii.

Zanim opuścili Żoliborz, natknęli się tuż za rogatką, na zator stłoczonych podwód, armat, wozów amunicyjnych. Krzyki i przekleństwa donośnie brzmiały w czarnej, nie naruszonej ani jednym błyskiem światła, nocy.

Wówczas nie wiedzieli jeszcze, że ten pierwszy zator był symptomatyczny dla całej kampanii wrześniowej, że ścisk, hałas i przekleństwa, absolutny brak organizacji, bezład i panika będą im towarzyszyły aż do kresu działań wojennych.

Edward jednym susem śmignął przez rów i wyprowadził maszynę w odległości stu metrów od zatoru na szosę. Tu już w mniejszym lub większym porządku, ciągnęła nieprzerwanym sznurem piechota, artyleria, czołgi. Warszawskie pułki szły pierwsze na front.

Pod Modlinem wytrysnął nagle zza zakrętu potężny strumień niebieskiego światła. Olbrzymi potwór, o przyćmionych ślepiach, przeciągnął z szumem obok nich. Za nim drugi, trzeci i dziesiąty. Szły wielkie reflektory z Modlina na Warszawę.

— No, zaczyna się na całego — rzekł siedzący w przyczepce sierżant Dziwisz.

Edward nie podtrzymał rozmowy. Z natężeniem wypatrywał w ciemności wijącej się między szpalerem drzew czarnej smugi asfaltu. Po oślepiającym co chwila świetle mijających go reflektorów, z trudnością odnajdywał właściwy kierunek. Toteż nie spostrzegli, kiedy minęli z boku leżący Nowy Dwór, przecięli szosę do twierdzy modlińskiej i skręcili na Pomiechówek. O siedem kilometrów dalej, w małej wiosce, składającej się z jedenastu zagród, wyznaczono postój dla kompanii.

Za Pomiechówkiem szosa urywała się nagle i dalej droga prowadziła poprzez las, piaszczystym traktem wiejskim. W lesie natknęli się na oddział kawalerii, podążający w tym samym kierunku. Gęsty tuman pyłu wzniecany kopytami końskimi wypełniał przestrzeń pomiędzy pniami sosen. W ustach poczuli zgrzytanie ziarnek piasku. Zapachniało skórą uprzęży i końskim potem.

Edward wyprowadził maszynę z głębokiej koleiny i zaczął jechać pomiędzy drzewami. Tu był grunt twardszy i pył nie dusił tak w gardle. Nagle drogę zatarasowało olbrzymie auto, spotkawszy w ciemności pień ściętej sosny, utknęło na nim jak zwierzę wbite na hak. Podważając ramionami bok limuzyny, trzech wojskowych nadaremnie usiłowało ją zepchnąć z pnia. Edward zatrzymał motor. Wysiedli. Wspólnymi siłami udało im się wreszcie zepchnąć maszynę na drogę. Za szybą, w kącie auta, zamajaczyła twarz wtulona w puszysty kołnierz futra.

— Nasi oficerkowie i teraz nie zapomnieli o zabawie — mruknął Dziwisz, gdy ruszyli za oddalającą się szybko limuzyną. — Widzieliście tę damę? Z Warszawy ją widać taszczą ze sobą, aby im się nie nudziło, cholery...

Sierżant Dziwisz uchodził w kompanii za „swojego chłopa“. Był on też chłopem naprawdę. Z kieleckiego. W piętnastym roku, w wojnę światową, gdy przyszła wiadomość, że ojciec zginął pod Królewcem, a rodzinna wieś poszła z dymem podczas ofensywy austriaków, Franek Dziwisz, zaledwie czternaście lat mający wówczas, zaprowadził matkę z dziesięcioletnią siostrą do krewnych, do sąsiedniej wioski, a sam przyłączył się do „Pierwszej Kadrowej“ legionów Piłsudskiego, operującej akurat w kieleckim. Po wojnie światowej, Dziwisz nie wrócił w rodzinne strony, nie miał zresztą po co wracać. Z wioski zostały zgliszcza. Sprzedali swoje dwie morgi gruntu i matka z siostrą dalej żyły u krewnych, a on został w wojsku na „zawodowego“. Za zasługi legionowe dostał stopień sierżanta, mógł pomagać rodzinie.

Z każdego urlopu w swojej wsi wracał mocniej ponury. Stronił wtedy jeszcze bardziej od swoich kolegów podoficerów i jeszcze bardziej „po ludzku“ odnosił się do żołnierzy. Mógł to robić bezkarnie, gdyż jako gospodarz kompanii nie bywał na ćwiczeniach, nie potrzebował więc pod bacznym okiem oficerów znęcać się podczas ćwiczeń nad rekrutami, tak jak inni podoficerowie.

— Trzeba było kazać jej wysiąść, niechby też pomogła spychać auto — wymruczał Edward.

— No, przecież nie mogli pokazać żołnierzom, jaki skarb wiozą — odpowiedział sierżant.

O drugiej w nocy przybyli wreszcie na miejsce postoju. Dziwisz zajął się szykowaniem noclegu, Edward poszedł do studni, zaczerpnął drewnianym wiadrem wody, obmył się z grubej warstwy kurzu. Potem skierował się do stodoły, uchylił wrota. Z wnętrza buchnęło mocnym aromatem świeżo zżętego zboża. W świetle ręcznej latarki ujrzał stos ciasno, aż pod sam dach, upchanych snopków niewymłóconego jeszcze żyta. Z boku, spoza przegródki dolatywały pochrząkiwania wielkiej maciory z czworgiem przytulonych do niej białych prosiaczków. Na klepisku, obok sieczkarni i koryta, leżało na rozesłanym grubo sianie, troje dzieciaków gospodarzy... Spod kraciastej, niebiesko-czerwonej pierzyny wystawały bose nogi najstarszej dziewczynki.

— Dobrze wam, że nie macie dzieci, że nie macie żony — zachciało się powiedzieć Edwardowi do Dziwisza. — Że nie musicie myśleć, drżeć o nich... Ale Dziwisza nie było.

Zakrywszy dłonią światło latarki i stąpając ostrożnie, by nie przebudzić śpiących, Edward zgarnął trochę siana i legł na pachnącym posłaniu. W półśnie słyszał wjeżdżające w podwórze motory. Najpierw Frydrycha, po piętnastu minutach Kosińskiego i wreszcie reszty motocyklistów.

— Ale się bractwo porozciągało — mówił Frydrych świecąc latarką i szukając sobie miejsca do spania.

— Ja jechałem za kompanią, kiedy jeszcze była cała — mówił Kosiński — ale jak zaczęli od czołówki odstawać, postanowiłem pojechać naprzód. Kiedy ich mijałem, to byli już rozciągnięci na jakie dwadzieścia kilometrów.

— Do południa możemy spać spokojnie — powiedział jeszcze Frydrych. — Na pewno prędzej się nie pozbierają.

Po pół godzinie, gdy zapadli w głęboki sen, skrzypnęły wierzeje stodoły. Przybyła pierwsza grupka kolarzy. I od tej chwili już do samego rana skrzyp wrót nie ustawał.

Różowa tarcza słońca jeszcze niedaleko odbiła się od ziemi, gdy Edward wstał i wyszedł przed stodołę. W pół otwartych drzwiach obory, u boku chudej, łaciatej krowy siedziała na małym zydlu gospodyni w kolorowej spódnicy. Miarowo, przeciągle dźwięczały cienkie strugi mleka dojonego w drewniany szkopek.

W głębi podwórza, na kupie gnoju, gospodarowało stado kur. Czarna kokosza z krwawym, obwisłym na jedno oko grzebieniem, rozgrzebywała słomę i znajdując zagubione ziarna owsa gdakała, nawołując gromadkę pstrych, piszczących kurcząt. Pod okapem chałupy, na belce, leniwie rozciągnięty, wygrzewał się czarny kocur.

Głęboki spokój podwórka mącił jedynie spiętrzony pod płotem stos porzuconych w nieładzie rowerów. On to zapowiadał, że tryb codziennego życia zagrody został zakłócony w sposób nieodwołalny i straszny.

— Czy można zamówić u was litr mleka?

— Litra już chyba nie będzie, z pięciu wojskowych zamawiało — odrzekła gospodyni.

— Wodę ze studni wszystką wypili — dodała.

Rzeczywiście, we wszystkich zagrodach już nie było wody. Płytkie, chłopskie studnie zostały jeszcze w nocy zupełnie wyczerpane. Maruderzy, którzy dopiero teraz nadciągali, oblepieni kurzem, z zaschłymi gardłami, nie znajdowali już ani kropli wody. Zmordowani całonocnym włóczeniem się po lesie w poszukiwaniu drogi do wsi, w której zatrzymała się kompania, biegali teraz od chaty do chaty brzękając pustymi manierkami.

O dwunastej w południe nadjechało auto z dowódcą kompanii, który

po drodze utknął na kolacji w Nowym Dworze i teraz, jeszcze w oparach całonocnej libacji, rozkazał zebrać kompanię i przed frontem wygłosił przemówienie.

— Żołnierze, jesteście o krok od nieprzyjaciela — grzmiał. — Niech wam się nie zdaje, że to zwykłe ćwiczenia i że wasze przewinienia będą karane jak dotąd — „paką“ lub „postawieniem pod karabin“. Teraz, w obliczu wroga, kiedy może już jutro pójdziemy w bój, każde naruszenie dyscypliny, każda niesubordynacja, najmniejsze nieposłuszeństwo — kula w łeb.

Mówił jeszcze i jeszcze, chwiejąc się trochę i tłumiąc czkawkę, o obowiązku, o ojczyźnie, a Edward na próżno usiłował sobie przypomnieć, gdzie słyszał już ten chrapliwy głos, skąd zna tę tłustą twarz z krogulczym nosem, te małe oczka kryjące się pod powiekę jak żmija pod kamień...

— Dowiedziałem się — piorunował dowódca — że już po pierwszym dniu marszu znalazła się w mojej kompanii cała masa łazików, którzy naumyślnie odstają w marszu od kompanii, zaglądają do chałup, do karczem, koczują w lesie i dopiero po kilkunastu godzinach zjawiają się w kompanii. Jeżeli to jeszcze raz mi się powtórzy, winni od razu pójdą pod sąd wojenny.

W tym sensie przemawiał jeszcze długo, grzmiał donośnym, chrapliwym głosem przed frontem kompanii, czkał i groził, zagrzewał i straszył, ale nikt go nie słuchał. Umęczeni drogą, głodni i spragnieni żołnierze myśleli tylko o jednym — kiedy nadjedzie kuchnia polowa. Od wczoraj przecież nic w ustach nie mieli, a tu już prostopadle padające rozżarzone promienie słońca oznajmiały południe.

Edward mrużył oczy i potrząsał głową, jakby go pajęczyna omotała, jakby przemocą bronił się przed inwazją przerażających wspomnień. Bo już wiedział, skąd zna pijanego oratora z medalami. To przecież kapitan Gąsiorowski, dobry, o, aż, za dobry znajomy z ciężkiej katorgi „obowiązkowej służby wojskowej“ w 1926 r. Niby w kalejdoskopie zawirowały ochłapy koszmarnych scen.

Nagie ciało szeregowca Blauwajsa, którego zamęczono pod pompą, przegląd zielonego kuferka Korolenki, który się powiesił, zbrodnicze twarze kaprali Welca i Zborowskiego, posłusznych narzędzi patologicznego sadysty, kapitana Gąsiorowskiego...

Nie było takiego ćwiczenia, którego by Blauwajs, „oferma“ kompanii, nie wykonał odwrotnie niż należało. W marszu — gdy stu pięćdziesięciu ludzi stawiało lewą nogę, Blauwajs musiał wtedy akurat wystawić prawą. Gdy były chwyty „na ramię“ lub „prezentuj broń“, Blauwajsa karabin zostawał przy nodze. Psuł szyk w marszu, łamał linię szeregów — wysuwając się zanadto do przodu lub pozostając w tyle. Podczas ćwiczeń gimnastycznych, gdy były skoki wzwyż, to Blauwajs, po nabraniu rozpędu, przybiegał do sznurka, podnosił go ręką do góry i lekko przygarbiony prześlizgiwał się pod nim.

Oficerowie i podoficerowie wściekali się, ryczeli na niego, bili, popychali.

Blauwajs, drobny, blady chłopak, z zawodu fryzjer damski, odpowiadał na wszystkie obelgi zawsze tym samym zdaniem.

— Róbcie, co chcecie, ja się do wojska nie nadaję.

Prócz niedołęstwa, jeszcze jedna cecha Blauwajsa denerwowała zwierzchników. Oto — jego maniackie wprost zamiłowanie do czystości. Jego szczoteczka do zębów. Płaska, półkolista flaszka „Odolu“ do płukania ust. Jego zawsze równo przycięte „w serduszko“ i czyste paznokcie. Jego zwyczaj nacierania kilka razy dziennie, rano, po ćwiczeniach, przed snem, całego ciała mokrym ręcznikiem...

Wszystko to przeczyło utartemu przekonaniu o „żydowskim niechlujstwie“. Przekonanie zaś owo, wraz z paru innymi przekonaniami tego sa-

mego typu, składało się na oficerski światopogląd społeczny i narodowy.

Jakże więc nie miał się denerwować kapral Zborowski, jak mógł nie czuć się dotknięty, obrażony, zelżony wprost, gdy ten nędzny, niezdarny żyd, dzień po dniu, w sposób prowokujący i demonstracyjny godził swymi obyczajami w jego światopogląd, w jego dumę narodową i podoficerski honor?

Aż znalazł sposób na Blauwajsa.

W dziesięciostopniowy mróz rozebrano Blauwajsa do naga, zataszczono na podwórze pod pompę.

— Myje się i myje, a nie może się domyć — gderał kapral Zborowski. — Trzeba go raz porządnie umyć. Żeby mu na długo starczyło...

Rekruci: Sokal, Żukowski i Łubień już poskręcali wiechcie ze słomy, już szorowali anemiczną, kostropatą skórę Blauwajsa.

Blauwajs najpierw wydzierał się z rąk i krzyczał piskliwie ku wesołości zebranych wokół pompy żołnierzy. Później już tylko cicho jęczał. Wtedy puszczono mu na kark strumień lodowatej wody i Blauwajs przestał jęczeć, zawisł całym ciężarem ciała bezwładnie w rękach oprawców.

— Puścić — krzyknął kapral Zborowski. I dokończył: — No co, Blauwajs, może ci starczy tego mycia?

Puszczono Blauwajsa. Upadł na twarz w brunatnoczarną kałużę rozdeptanego śniegu. Wąska struga wody cieknąca z otworu pompy polała się po gołych plecach. Ciało nie drgnęło. Zaniesiono Blauwajsa do koszar, położono na stole.

Ci, którzy się śmieli przed chwilą, stali wokół niemi, z otwartymi ustami, a Pluciński, który był dwa lata na medycynie, i na którego wołano „doktór", pochylił się nad stygnącym ciałem, przyłożył ucho do serca.

— Nie bije — wyrzekł cicho po chwili.

Nie uwierzono.

— Czy umarł kto kiedy od mycia? — zapytał kapral Zborowski.

Jego tępe rysy jeszcze bardziej otępiło zdziwienie.

Szef kompanii rozkazał zawieść Blauwajsa do szpitala. Stamtąd dopiero dyżurny lekarz skierował ciało do kostnicy.

Były też i mniej tragiczne odejścia z kompanii tych, co nie mogli się pogodzić z brutalnością i sadyzmem, rygorem i niesprawiedliwością. Dezercja Pawlaka i Święcickiego, którym udało się zwiać za granicę Prus Wschodnich, choroba umysłowa Cygana, umyślne, notoryczne zarażanie się chorobą weneryczną Fijałkowskiego, który w ten sposób już czwarty rok „odsługiwał" wojsko, odbywając wędrówki pomiędzy koszarami a szpitalem. A potem jeszcze jedno nazwisko przybiega z przeszłości. Nie daje się odgonić. Korolenko... Niski, krępy, z dużą głową, jasnoniebieskimi oczyma, z zawsze zamyślonym i roztargnionym wyrazem twarzy, Wasyl Korolenko z Kołomyi już po trzech miesiącach opuścił kompanię.

Codzienne wymyślania od „hałujów", „ciubaryków", niekończące się karne ćwiczenia, na które zawsze „zasługiwał" nie rozumiejąc polskiego języka i wykonując nieprawidłowo rozkazy i komendy — zwyciężyły jego chłopską cierpliwość.

Bywało, ledwie oczy otworzą na okrzyk podoficera dyżurnego — „Pobudka, pobudka — wstać", a już Wasyl dostaje się w szpony kaprala Zborowskiego lub Welca, którzy wstawali przed wszystkimi i jak zmory z majaczeń sennych niecili dalej, na jawie już, grozę, splatając noc z dniem w koszmarną rzeczywistość.

— Krop, krop, ty murgo zatracona — rozlegał się bas Zborowskiego, lub cienki, piskliwy, „kozi głos" Welca.

I zaspany jeszcze, jeszcze bardziej nie rozumiejący o co chodzi, Korolenko, padał, wyciągnięty jak struna na ziemię, podnosił się i znów padał, przywierał ciasno gołą piersią do kamiennej podłogi, zaciągał się kurzem i błotem, zniesionym z pola ćwiczeń przez sto pięćdziesiąt par ciężkich,

wojskowych butów, i leżąc, starał się jak najbardziej przedłużać sekundy wytchnienia aż do następnego, podrywającego na nogi okrzyku.

Gdy komenda była zbyt szybka i odrywanie się od ziemi wymagało coraz więcej wysiłku, Wasyl padał tylko na ręce, wyginał grzbiet w kabłąk, starał się być jak najdalej od ziemi, by móc szybko wyprostować się.

Lecz Zborowski był „starym wróblem“, jak sam mawiał, nie dał się nabrać na takie „kawały“. Podchodził zupełnie blisko, stawiał ciężką stopę na wygiętym grzbiecie i gniótł tak długo, aż pierś płasko przylegla do posadzki. Wtedy znów padała komenda — powstań, a potem — padnij, i znów — powstań, aż do zupełnego wyczerpania, aż do charkotu, wydobywającego się z zachłyśniętego kurzem gardła Korolenki.

Te sceny powtarzały się często. Po jednej z nich Wasyl postanowił odejść.

W styczniowy, mroźny ranek, jeszcze przed pobudką, chyba nie spał ten nocy wcale, poszedł Korolenko na brzeg rzeki. Przed rozwidleniem, w tym miejscu, gdzie Wieprz wpada do Wisły, były dwa mosty. Jeden stary, drewniany, ze spróchniałymi już belkami, przeznaczony tylko dla pieszych, przerzucony nad miejscem płytkim i cichym, i nieco dalej — drugi, nowy, kolejowy, z potężną siatką żelaznych przęseł.

Korolenko wybrał ten drugi. Wyższy. Ładniejszy. Na który nieraz, gdy nie był na śmierć zmordowany ćwiczeniami, gapił się z podziwem jak dzieciak.

Na górze, w odległości stu metrów od siebie chodziły posterunki. Mogłyby go zauważyć... I Korolenko wszedł między żelazne wiązania mostu, skrył się wśród nich i zaczął patrzeć...

Daleko, w dole płynęła żółtobura rzeka, spieniona, spiętrzona wiosenną krą. Olbrzymie bryły podpływały do wyszczerzonych zębów mostu, i tu, o żelazne ich ostrza, darły się z hukiem na drzazgi. A woda kotłowała się, wrzała jak ukrop i skręcała się w wiry.

Wasyl patrzył długo, swymi niebieskimi, okrągłymi oczyma dziecka w tę straszną wodę i wreszcie zdecydował inaczej.

Odpiął skórzany, wojskowy pas, założył na szyję, zacisnął. Drugim końcem obwinął cienkie, żelazne przęsło, zawiązał na supeł, jeden, potem drugi, potem trzeci, pociągnął oburącz, pas się naprężył, trzymał jednak mocno. I wtedy, zabezpieczony już od lecenia w tak odległą, zimną i dziką otchłań — Wasyl odepchnął się rękami, wykonał całym ciałem ruch naprzód, nogami uderzył w próżnię.

Przy porannym raporcie szef kompanii nie mógł się doliczyć jednego. Zaczęło się sprawdzanie drużynami. I odezwał się sekcyjny siódmej drużyny.

— Korolenko nieobecny!

Przeszukano koszary. Czekano jeden dzień, dwa. Trzeciego żandarmeria dostała meldunek, że szeregowiec Korolenko zdezerterował. Wysłano listy gończe.

Gdy przyszedł policjant do Petra Korolenki pytać o syna — stary zmartwiał. Przeczuł nieszczęście. Znał on dobrze swe jedyne dziecko, wiedział, że nieśmiały, cichy Wasyl nie zdobyłby się nigdy na ryzyko ucieczki z wojska.

— Musiało mu się przytrafić coś złego — rzekł wreszcie. — Wypadek jakiś...

Wygrzebał spod siennika, owinięte w szmatę pieniądze, przeliczył wytarte wielu palcami niklaki i ruszył w drogę.

Przybył do koszar tego dnia akurat, kiedy kompania wróciła z ćwiczeń nie jak zazwyczaj, o dwunastej, ale o pięć godzin później.

Stary Korolenko czekał na nich już od jedenastej. Mówił im to póź-

niej. Ale tego wieczoru nie wiele mogli mu powiedzieć o synu. Nie mieli sił...

A zaczęło się od sprawy nieważnej, od — śpiewania. Ćwiczenia tego dnia były wyjątkowo ciężkie. Najbardziej męcząca „musztra formalna". „Na ramię", „do nogi", „prezentuj broń" i marsze.

Kapitan Gąsiorowski latał jak wściekły przed frontem kompanii. Ryczał wyrzucając co chwila z siebie przekleństwa i wyzwiska. Chciał, żeby jak za pociągnięciem sznurka wszystkie karabiny jednocześnie sunęły od nogi na ramię, z ramienia na pierś. Każde odchylenie od wyprężonej i lśniącej w słońcu linii bagnetów wprawiało go w szał. Męczył kompanię przez pięć godzin, nie dając nawet zwykłej, piętnastominutowej przerwy.

Toteż, gdy w zmordowaną, mokrą od potu, wracającą już do koszar gromadę, padł rozkaz — śpiewać, zaledwie kilka głosów podchwyciło wesołą, żołnierską piosenkę.

— Co, nie chcecie śpiewać? — wrzasnął kapitan. — No, ale ja was zmuszę!

I padł rozkaz.

— Lotnik, kryj się.

Rzucili się do głębokiego, przydrożnego rowu, napełnionego po brzegi śniegiem. Ledwie zapadli w zimny, gęsty piach po szyje, już następny rozkaz zmusił do poderwania się i zgrupowania w szeregu na szosie.

I za chwilę znów.

— Lotnik, kryj się... — i z powrotem do szeregu.

Gdy ćwiczenie to powtórzyli kilkanaście razy, padł rozkaz.

— Maszerować. — I jeszcze — kompania śpiewa.

Znów odezwało się tylko kilkanaście głosów.

— Co, jeszcze mało? No, to dodam wam — ryczał Gąsiorowski.

I wydał rozkaz — czołgać się —

Czołgali się więc. Przez las, przez łąkę, przez śnieg, przez rozmiękłe, rozdeptane i wyjeżdżone brunatne błoto drogi. Czołgali się szosą do koszar. I myśleli, że tam już będzie kres ich dzisiejszych męczarni.

Ale po dwóch kilometrach pełzania, wtedy gdy wiatr przyniósł kwaśny zapach warzonej kapusty z niedalekiej już koszarowej kuchni, kompania została na nowo sformowana i znowu padł rozkaz śpiewania.

Jednak ludzie zacięli się. Może za trudno już było wydobyć głos ze ściśniętego zmęczeniem gardła. A może to nienawiść tak dusiła, tak dławiła każdy dźwięk, i na przekór samozachowawczemu instynktowi nie pozwalała wykonać rozkazu. Dość, że kompania i tym razem nie usłuchała.

I był znów rozkaz czołgania się, ale już nie do koszar, w przeciwnym kierunku, na plac ćwiczeń. Tam męczono ich do czwartej. O piątej wrócili do koszar. Bez śpiewu. Ponuro, z zaciśniętymi wargami, ale z głowami uniesionymi, ze świadomością, że jednak — oni zwyciężyli.

Lecz i tamci zawzięli się. Szef kompanii, który nie był na placu ćwiczeń i zdawało by się — o niczym nie wiedział, rozrzucił podczas ich nieobecności posłania na całej sali.

Że — nierówno zasłane kocami, że — pod łóżkami kurz znalazł.

Gdy weszli do koszar, ujrzeli na środku sal spiętrzone stoły i ławki, sienniki z których otwartych brzuchów sypała się słoma, sterty skłębionych, szarych koców i białych rozrzuconych poduszek. W czerwonych, ukośnie padających pasmach zachodzącego słońca wirował jeszcze gęsty pył opadając powoli na ziemię.

Widać było, że cyklon burzący żołnierskie posłania przeszedł przed chwilą. Przed minutą, dwiema może, wtedy zapewne, gdy wchodzili na dziedziniec koszarowy.

Milcząc rzucili się do sprzątania. Gdy wreszcie sala przybrała normalny wygląd, rozległ się gwizdek zwołujący zbiórkę po obiad.

Jedli dziś tylko raz, rano, o piątej, pół menażki czarnej, ledwie osłodzonej kawy i po kawałku razowca. Toteż teraz, o szóstej po południu, dawno już minął okres męczącego pragnienia i głodu, które kurczyły ich żołądki o dziesiątej i jedenastej... Teraz, o szóstej, wcale już nie byli głodni. Z chęcią wyrzekliby się jedzenia, byle móc runąć na siennik, zasnąć...

Ruszyli powoli na zbiórkę. O wiele za wolno dla wymagań kaprala Welca, który prowadził po obiad. Poza tym on też przecież od rana nic nie jadł. Był głodny i wściekły. Przez nich. Przez tych „zatraconych murgów".

Gdyby stanęli na zbiórkę szybko, jak najszybciej nawet, i tak znalazłby zapewne jakiś pretekst do zemszczenia się za swój głód, za popsucie planów dnia. Bo może miał dziś randkę po zajęciach służbowych? Może wybierał się do kina ze swoją dziewczyną?

Dość, że — zbiórka była za wolno zrobiona. Powtórzyli. Jeszcze raz. I Jeszcze. Potem parę razy „kropnęli" na ziemię. Nie zadowoliło go i to, było to zbyt zwykłe, powszednie. Na zakończenie takiego dnia trzeba było znaleźć coś zupełnie nowego. Coś „extra" — jak zwykł mawiać przy nadzwyczajnych, wymyślnych odmianach karnych ćwiczeń.

I wreszcie znalazł.

Ustawił kompanię w czwórki, rozkazał — paść na ziemię, menażki w zęby i — marsz na czworakach do kuchni.

To było naprawdę — „extra".

Gdy czworonożne szeregi maszerowały przez dziedziniec, z sąsiednich budynków wylegli podoficerowie innych kompanii. Welc kroczył obok. Uśmiech tryumfu zawisł na pożółkłych, spróchniałych, długich zębach.

Wracając z pełnymi menażkami wystygłego dawno jadła, kompania spotkała starego Korolenkę, który czekał od rana. Podszedł do niego najpierw Panyszyn, który był z tej samej wsi co Korolenko i razem z Wasylem przyszedł do wojska, a później przyłączyli się inni.

Stary Korolenko już nie zadawał tych pytań jakie obmyślił czekając na nich tyle godzin. Widział ich zabłocone ciała, słyszał ich zdyszane oddechy, oglądał czworonożny pochód kompanii po obiad. To było więcej niż wszelka opowieść o życiu syna. I stary zapytał tylko, nie wiadomo po co, o nazwiska.

A Panyszyn i koledzy z tej samej drużyny wymieniali je. Kapral Zborowski i Welc, którzy się nad Wasylem specjalnie znęcali, kapitan Gąsiorowski, który się znęcał nad wszystkimi...

W kancelarii kompanii stał zielony kuferek Wasyla. Był zamknięty na małą kłódkę. W obecności starego Korolenki rozbito ją. Ktoś ostrożnie podniósł wieko kufra. Na samym wierzchu leżał, oplątany w długą, białą nić, kawał zeschłego już, pokrytego zieloną pleśnią razowca. Obok dwie szczotki. Jedna z czarnym, miękkim włosiem, służąca do glansowania butów i do odkurzania munduru, druga z żółtej, ryżowej słomy — do wszystkiego. Do zeskrobywania z płaszczy i butów nalepionego grubymi warstwami podczas czołgania, błota, do zbierania ostatnich, po gruntownym zamieceniu, ździebeł słomy spod łóżek, do szorowania podłogi i stołów w jadalni, wreszcie do — „czyszczenia zębów", jeśli kiedykolwiek przyszła ochota któremuś z podoficerów, zrobienia zabawnego widowiska — szorowania brudnych zębów rekrutowi.

Dalej obok szczotek na dnie kuferka duże pudło czarnej pasty, przywiezionej jeszcze z domu, kawałek twardego, żołnierskiego mydła, przylepiony do naddartej, z fioletową podszewką koperty, zapewne ostatniego listu otrzymanego ze wsi.

W samym rogu, przykryta niebieskim, kratkowanym, niezapisanym, i nie wiadomo do czego mającym służyć zeszytem, leżała zniszczona, pociemniała od wielokrotnych, spotniałych dotknięć, żółta, skórzana „pod-

kówka". Wewnątrz portmonetki — pieniądze. Niedużo. Jednak niewiele mniej niż ojciec dał na drogę do wojska. Piętnaście złotych papierkami i trochę drobnych...

Wasyl nie miał nałogów. Nie palił nawet. Nie miał więc na co wydać tych, z trudem zaoszczędzonych, ojcowskich pieniędzy.

I teraz, gdy się okazało, że nie zabrał tych jedynych pieniędzy, jasnym się stało, że Wasyl Korolenko nie zdezerterował, że jednak — rację miał ojciec, nie szef kompanii, który odgrażał się, że jak żandarmi przyłapią i przyprowadzą z powrotem do koszar Korolenkę, to on, szef, osobiście, będzie pasami, żywcem, skórę darł z „przeklętego rusina".

Stary Korolenko poprzysiągł, teraz, bijąc się w piersi i trzęsąc łysą głową, że nie odejdzie stąd, póki nie znajdzie syna, póki nie wyjaśni sprawy. I jeszcze poprzysiągł, że — choćby miał całą swoją chudobę stracić, nędzne i licho urodzajne, lecz żywiące całą rodzinę — trzy morgi gruntu sprzedać — to jednak on im musi pokazać, on musi znaleźć sprawiedliwość. Choćby mu przyszło do samego Piłsudskiego iść — to pójdzie. Na piechotę, boso, ale o krzywdę syna będzie się upominał.

I całymi dniami widziano Korolenkę — ojca, jak włóczył się po okolicy, zaczepiał przechodniów, rozpytywał, znów szedł przed siebie, i z powrotem, w koło, tysiąc razy depcąc własne ślady, i dopiero gdy zapadał zmierzch, wracał do stodoły, w której zakopany w słomę, odsypiał krótki, starczy sen.

Tymczasem chwyciły silne mrozy i ścięły na nowo w lodowatą, śliską gładź, wartki prąd Wieprza. Lutowe, lekko ciepławe już, promienie słońca zatapiały swe ostre końce w lśniącą taflę lodu. Przebijały grubą, brylastą masę. Dostawały się pod ciężkie okrycie do wnętrza koryta rzeki.

W ich jasnym blasku ukazywały się brunatne, pokryte mułem, korzenie przybrzeżnych zarośli. Między gibkimi prętami wiklin przelewał się leniwie, nie ujarzmiony jeszcze mrozem, przezroczysty nurt Wieprza.

Stary Korolenko zapuszczał się teraz w swych poszukiwaniach na rzekę. Często widziano go, jak posuwał się wolno, krok za krokiem, brzegiem lustrzanej tafli, z rozpostartymi i machającymi co chwila, dla utrzymania równowagi, rękami.

Z oddali, w swej wysokiej baraniej czapie i długiej kapocie, robił wrażenie dziecka ślizgającego się po raz pierwszy w życiu na zamarzniętej strudze podwórka.

Wreszcie trzeciego tygodnia pobytu w Dęblinie, po beznadziejnych zdawało by się trudach codziennej włóczęgi — natknął się Korolenko na ciało syna. Wszedł po prostu na nie.

W odległości trzech kilometrów od mostu Wieprz skręca gwałtownie na zachód i tuż za ostrym zakrętem wpada do Wisły.

Na lewym brzegu zakrętu, przy samym oszalowaniu, zatrzymało się ciało Wasyla. Leżało twarzą do góry, wyprostowane, w okowach lodu. Zakonserwowane mrozem, nie robiło wrażenia topielca, lecz raczej rzeźby lub śpiącego człowieka. Tylko twarz, sinozielonkawą, tak zawsze łagodną i cichą, wykrzywiał teraz grymas, podobny do grymasu szyderstwa. Szyję obciskał, zapięty na klamrę, skórzany pas. Urwany w połowie, sterczał swym poszarpanym końcem ku górze niby widoczny symbol obroży, którą dławiono tu ludzi.

Drugą połowę pasa znaleziono już łatwo. Zwisała powiewając jak żałobna chorągiewka na żelaznym przęśle kolejowego mostu.

. . . .

Skończyła się oracja, głodni, spieczeni słońcem ludzie rozłazili się po obejściu, szukając cienia.

Edward patrzył po twarzach żołnierzy, myślał: czy oni też pamiętają? I czy zapomną teraz? Czy teraz, w obliczu niebezpieczeństwa,

w obliczu wroga, pójdą za kapralem Welcem i Zborowskim, za kapitanem Gąsiorowskim, by bronić ojczyzny, która stwarzała takie obroże i takie śmierci?

O zmierzchu Edward dostał rozkaz pojechania do batalionu. Tam został przydzielony do dyspozycji oficera żywnościowego pułku.

Pojechali do twierdzy modlińskiej po żywność. Zaczęła się wędrówka po różnych resortach sztabu dywizji. Okazało się, że w twierdzy jedynie chleb można wyfasować, resztę jedzenia trzeba skombinować samemu. Poinformowali ich jeszcze, że w Nowym Dworze, prywatnie, u rzeźników można mięso dostać.

Pojechali do Nowego Dworu. Oficer żywnościowy, kapitan rezerwy, Ludwikowski, z zawodu aptekarz, wzięty z mobilizacji w tym samym dniu co i Edward, zaczął kląć siarczyście na organizację sztabu, na przełożonych.

— Bałagan nieprawdopodobny. Nie tylko, że nie przyszykowali żywności dla dywizji i każą oficerom żywnościowym starać się samym, na własną rękę o zaopatrzenie, ale nie pomyśleli również i o pieniądzach. Przecież gwałtem nie będę ludziom zabierał ich mięsa. Dobrze, że popadło akurat na mnie. Mam kilkaset złotych z domu, będę więc mógł coś niecoś kupić. Ale ciekawy jestem, co będą robili inni? Musimy jutro pojechać do Warszawy po pieniądze do kasy dywizyjnej.

Końcowe słowa kapitana Ludwikowskiego zelektryzowały Edwarda. A więc — pojadą jutro do Warszawy! Będzie mógł wpaść na Grochów, do domu, zobaczyć Irenę? Ogarnęła go nagle niewypowiedziana radość, serce zaczęło bić mocniej, prędko, w ustach wyschło od nagłej gorączki.

Dopiero nazajutrz po południu wyruszyli do Warszawy. Po gładkiej, zalanej krwawym blaskiem zachodzącego słońca, asfaltowej szosie pędził Edward wydobywając z motoru całą jego moc. Wiatr wyciskał łzy z oczu.

Co chwila, kapitan Ludwikowski szarpał rękaw Edwarda, by zwolnił trochę tempa i Edward przymykał lekko gaz, serce uciekłe w popłochu tuż pod gardło, spływało powoli na swoje miejsce. Nie na długo jednak. Po paru kilometrach, Edward, zapadłszy w myśli o Irenie, zapomniał o kapitanie Ludwikowskim, bezwiednie sama ręka spoczywająca na gazie odkręcała manetkę do końca i znów mknęli z zawrotną szybkością.

Tak rozpędzeni wpadli na Żoliborz. Przed cytadelą zatrzymali się na chwilę. Tłum kobiet tak jak i dawniej, jak trzy dni temu, zapełniał wąską uliczkę prowadzącą do cytadeli. Wciąż jeszcze odprowadzali swoich najbliższych. I wciąż jeszcze rozlegał się żałosny szloch opuszczonych żon, matek i dzieci.

Kapitan Ludwikowski wyskoczył z wózka, przepchnął się z trudem przez tłum, docisnął do bramy cytadeli. Edward widział z daleka, jak rozmawiał chwilę z oficerem stojącym przed bramą w otoczeniu kilku żandarmów i żołnierzy z nasadzonymi na karabiny bagnetami.

Gdy kapitan Ludwikowski wrócił do Edwarda, rzekł:

— Kasy dywizyjnej tu już nie ma, wyruszyła w pole, musimy jechać do sztabu głównego, a potem do banku.

Po podjęciu pieniędzy z banku pojechali na Hożą do domu kapitana.

— Poczekajcie dziesięć minut, zaraz wyjdę i wracamy z powrotem.

Na ten moment czekał Edward. Od dawna, od kilku już godzin. Wiedział, że gdzieś w końcu uwolni się od kapitana, że będzie mógł wreszcie skoczyć do Ireny.

Ruszył w kierunku Grochowa. Mijał tramwaje, autobusy z zawrotną szybkością. Przechodnie uskakiwali w popłochu spod kół motocykla. Na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i 3-go Maja policjant dał ręką znak zatrzymania. Z Nowego Świata nadjeżdżało wielkie, ciężarowe auto.

Edward nie zatrzymał się. Minął policjanta, przeciął drogę tuż pod samym nosem zdumionego szofera ciężarówki. Rozległ się gwizdek. Edward lekceważąco uśmiechnął się. Co mu policjant może teraz zrobić? Kask bojowy, karabin przyczepiony wzdłuż wózka zapewniały nietykalność. Jeszcze cztery dni temu, policjant wskoczyłby do pierwszego lepszego samochodu i pogonił za śmiałkiem. Teraz nie odważył się.

Na Waszyngtona Edward rozwinął jeszcze większą szybkość. Nastraszeni przechodnie z trwogą i zdumieniem odwracali się na przeciągłe, nieustanne wycie klaksonu.

W niespełna trzy minuty od rozstania się z kapitanem motor już warczał pod oknami domu Edwarda.

Irena nie wybiegła naprzeciw. Czy mogła nie usłyszeć motoru? A może nie ma jej w domu? Ma tak mało czasu, wyrwał te kilka minut, i teraz — nie zobaczy jej? Pędem wbiegł na schody, drzwi mieszkania były uchylone, poruszał je przeciąg, firanki w oknach wydymały się, śmiecie i kurz wirowały na niesprzątniętych podłogach, po krzesłach walały się jej suknie, jego ubrania, książki, wszystko w najokropniejszym nieładzie.

— Złodzieje — pomyślał Edward. — Ona wyszła i —

Lecz ona nie wyszła. Siedziała w pokoju, na fotelu pod oknem, w zwykłej pozie — nogi podkurczone, broda wsparta na dłoni.

— Co się tu dzieje? — zawołał Edward. — Myślałem —

Wzruszyła ramionami.

Wtedy, rozdrażniony jej obojętnością, tym, że się nie ucieszyła z jego niespodziewanego przyjścia, że nawet nie pocałowała go, zaczął krzyczeć.

— I okna widzę nie zaklejone! A zapasy, zrobiłaś zapasy, przecież prosiłem cię, wypisałem wszystko, co trzeba, kupiłaś?

Pokręciła głową, że nie, a potem znów wzruszyła ramionami.

— Po co?

Pobiegł do kuchni, złapał walizkę, wściekły poleciał do sklepiku, nakupił wszystkiego, co było jeszcze można, słoniny, chleba, mąki. Po znajomości dostał nawet kilo cukru i masła, choć tych produktów już nie sprzedawano, chowano na pasek.

Przytaszczył to wszystko na górę, głaskał żonę po włosach, gderał, co chwila patrząc na zegarek.

— Dziecko jesteś, nieznośne, głupie dziecko i jak ja cię taką zostawię, zaraz tu przyjdzie dozorca, on ci zalepi szyby, jeśli nie możesz sama się zdobyć. A papier czarny kupiłaś?

Podała mu herbatę, wyciągnęła z walizki chleb i wędlinę, kładła na stół, jednym ruchem ręki zrzuciwszy na ziemię wszystko, co tam leżało, jakieś ścierki, szpulki, resztki jedzenia. Usiadła obok, oparła głowę o jego ramię. Edward mówił, pośpiesznie łykając chleb, podsuwając jej kęsy. Irena cofała się wtedy i kręciła głową jak kot.

— I co ty wyprawiasz? Ślubowałaś sobie do końca wojny nic nie jeść, nie sprzątać? Musisz się opanować. Musisz się właśnie zająć czymś, jakby nigdy nic, postaram się wpadać jak najczęściej.

Teraz była uległa jak dziecko, godziła się na wszystko, potakiwała.

— Jak drugi raz przyjedziesz, będzie zupełnie inaczej. Przyrzekam ci. Taka mnie napadła apatia. No pomyśl, ledwie dwa miesiące, jak się znamy, i musiała przyjść ta przeklęta wojna... I musiała nas rozłączyć.

Opóźniał okrutne słowa pożegnania, już dawno powinien był być na Hożej, a on wciąż jeszcze głaskał ją i całował i pocieszał i przyrzekał najbardziej nieprawdopodobne rzeczy, że przyjedzie, że nie umrze, że wojna skończy się bardzo szybko...

* * *

Dwudziestego dziewiątego sierpnia dywizja kawalerii polskiej przeszła granice Prus Wschodnich. W planie było zaskoczenie z flanki nacierającej na Mławę dywizji niemieckich wojsk pancernych. Kontratak czołgów niemieckich nie tylko szybko zniweczył plan sztabu polskiego, ale po rozbiciu dywizji kawalerii począł ją pędzić ku granicy polskiej i po zajęciu Mławy szedł już teraz szeroką ławą na Ciechanów—Pułtusk.

Mocno przetrzebione po bitwie mławskiej warszawskie pułki wycofywały się teraz szosą Mława—Sierpce i Mława—Ciechanów.

Batalion, w którym znajdował się Edward, posuwał się już od kilku godzin piaszczystymi, wąskimi dróżkami sosnowego lasu. U wylotu jego, tuż przy samej szosie natknęli się na baterię dział polowych, która już była w akcji z nieprzyjacielską artylerią, trzymającą pod obstrzałem przedpole ciągnące się wzdłuż szosy graniczącej z lasem.

Batalion spiesznie zajął pozycję po obu flankach baterii. Ustawiano szybko działka przeciwczołgowe i karabiny maszynowe.

W nieustającym huku padały gęsto pociski artyleryjskie, ryjąc ziemię głębokimi lejami. Fontanny olbrzymich brył ziemi leciały wysoko w górę i wraz z wizgiem rozrywających się szrapneli spadały deszczem piasku na ziemię. Kanonada wzmagała się z coraz większą siłą. Wzbijające się, ciemne, pomieszane z błyskawicami ognia wysokie słupy ziemi zbliżały się nieuchronną zagładą coraz bliżej, metr po metrze do lasu.

Naraz na horyzoncie pojawiły się ciężkie czołgi nieprzyjacielskie. Pełzały wzdłuż szosy jak potworne karaluchy z żuchwami śmiercionośnych luf armatnich. Batalion otworzył ogień. Popłynął jednostajny strumień terkotu karabinów maszynowych i nieregularny rzadki huk działek przeciwpancernych.

Kolumna czołgów drgnęła, zawahała się, a potem sunęła dalej. Tylko jakby niewidzialnymi lejcami kierowana, skręciła trochę w prawo i ruchem oskrzydlającym zbliżała się do lasu.

Nagle w pośród huku rozrywających się granatów, rozległ się ponad głowami potężny warkot silników samolotowych. Edward spojrzał w górę. Poprzez cienkie gałęzie sosen obsypane zielonymi igłami ujrzał eskadrę nieprzyjacielskich samolotów. W jasnym blasku południowego słońca mieniły się srebrzyste skrzydła drapieżnie krążących ptaków. Ginęły na mgnienie, znów się pojawiały, zataczając półkola.

Nagle jeden z nich oderwał się od eskadry, prostopadle z nastawionym dziobem runął na las. Rozległo się ciężkie westchnienie potwora, który w odległości dwustu metrów od ziemi wyprostował się nagle, wypuścił z siebie śmiercionośny ładunek i z dziobem zadartym poszybował w górę. W tym samym momencie rozległ się przerażający świst i w moment później potężny huk rozrywającej się bomby.

Kilka sosen podskoczyło w górę i z trzaskiem zwaliło się na ziemię. Rozległy się jęki rannych i wizg konia, któremu ułamek granatu rozpłatał zad.

Teraz eskadra samolotów już bez lotów nurkujących, zataczając nisko półkola ciskała bomby. Zamilkły karabiny maszynowe, zamilkły działa. Tylko jęk coraz głośniejszy szedł przez walący się las.

Edward skurczony, wciśnięty w wyrwę po obalonym drzewie, przylepiony po prostu do korzeni olbrzymiego pnia, zerwał się na nogi, gdy tylko usłyszał oddalający się nieco warkot eskadry. Skoczył do stojącego opodal motocykla. Kopnął nogą starter, motor szczęśliwie od razu zapalił, i puścił się piaszczystą, wąską ścieżyną w kierunku, skąd przybyli dziś rano. Potem skręcił prostopadle do jazdy, na wschód.

I okazało się po drodze, że inni dawno już rozpoczęli odwrót. Sami, bez rozkazu. Oficerowie bowiem już przedtem gdzieś zniknęli. Zanim się jeszcze zaczął nalot.

Pomiędzy drzewami biegli teraz żołnierze bez broni, plecaków, zostawili je tam, na miejscu, w tym piekle ognia i walących się drzew, lub teraz je rzucali po drodze, aby móc szybciej uciekać.

Niektórzy z kompanii zwiadowców biegli z rowerami na plecach. Inni wczepieni kurczowo zakrzywionymi palcami w lekkie dwukołowe amunicyjne wózki, ciągnione przez rozszalałe konie, pędzili w gęstym tumanie wzbijanego przez setki nóg, kopyt i kół — kurzu.

Zatrzymali się dopiero po dwudziestu kilometrach w wiosce, w której sztab naprędce formował rozbite oddziały.

Niewielka grupa lekkich czołgów i zdekompletowana kompania zwiadowców dostała rozkaz spiesznego przerzucenia się na szosę ciechanowską. Wśród przekleństw, nawoływań, wymysłów ruszyli w naznaczonym kierunku.

Gdy już byli w odległości ośmiu kilometrów od Ciechanowa, nagle, zza zakrętu wypadła wprost na podążający oddział bezładna grupa kilkudziesięciu kawalerzystów.

— Stać — krzyknął młody porucznik rezerwy, który siedział w pierwszym czołgu i na widok uciekających kawalerzystów zatrzymał czołg, wyskoczył na środek szosy. W wyciągniętej ręce groźnie połyskiwał niklowy browning.

— Stać, bo będę strzelał — wrzeszczał ochryple. — Dlaczego uciekacie?

Z gromady odezwały się bezładne głosy. Przekrzykując się wzajemnie, rzucali gorączkowo, w pośpiechu.

— W Ciechanowie już są niemcy. Nasi rozbici, cofają się.

Dowódca prowadzący oddział jeszcze nie powziął decyzji, co dalej robić w tej sytuacji, gdy naraz po ścianach tankietek posypał się jak ciężki grad po szybie, niespodziewany strumień kul.

Zakotłowało się na szosie. Grupa kawalerii wbita klinem w oddział rowerzystów, zmieszała i rozbiła równe szeregi. Rozległ się trzask łamanych kopytami końskimi rowerów.

Tymczasem, zataczając półkole, nieprzyjacielska kolumna, licząca około piętnastu czołgów, wjechała na szosę od tyłu oddziału. Byli odcięci od drogi powrotnej.

Wobec nacierającej z tyłu kolumny ciężkich czołgów z groźnie wyszczerzonymi paszczami armat, z najeżonymi jak szpilki jeża — lufami karabinów maszynowych, nie pozostawało nic innego jak ruszyć przed siebie, wolną drogą do — Ciechanowa.

Tam jednak byli już niemcy. No cóż, byli osaczeni. Jeszcze uzbrojeni, jeszcze na koniach, motocyklach i rowerach, a już w niewoli!

Bez rozkazu, bez zastanawiania się, wlekli się zbitą, bezładną gromadą w kierunku Ciechanowa. Nikt się z nikim nie porozumiewał, nikt nie przemówił słowa, ale wszyscy myśleli to samo: koniec. Koniec ich kampanii wojennej. Koniec strasznej grozy, jaką dziś rano tam, w lesie przeżyli. Koniec gorszy niż śmierć.

Edward myślał to samo co inni. I zadecydował, że ryzyko śmierci lepsze niż pewność niewoli. Posuwając się metr za metrem, mijał konie, rowery, motocykle i wreszcie wydostał się na czoło kolumny.

— Wiejemy — rzucił krótko do siedzącego w wózku sierżanta Dziwisza.

— Dobra — odmruknął tamten.

Jechali w tempie czoła kolumny jeszcze kilka minut i nagle, rozglądając się na wszystkie strony, Edward ujrzał, że dotychczas strome brzegi przydrożnego rowu niespodziewanie obniżają się, przechodzą falistą linią w poczerniałe, zasłane pękami badyli kartoflisko.

Dodając gazu, rzucił się Edward w prawo, dał nura w przydrożny rów i wylądował na polu. Dodał jeszcze gazu i ciął teraz, pod kątem prostym do szosy, szachownicę pól.

Gdy się skończyło pole kartoflane, maszyna wpadła na ściernisko świeżo zżętego żyta. Pod kołami poczuło się twardszy grunt i motocykl osiągnął maksymalną szybkość.

Naraz zatrajkotały „maszynki“ niemieckich czołgów. Kule zabzykały koło uszu uciekających. Wokół nich zaczęły podskakiwać twarde pecyny ziemi, podrywane deszczem kul. Odległość pomiędzy uciekającymi a śmiercionośną pogonią karabinów maszynowych wzrastała błyskawicznie.

Gdy w ciągu kilku minut przebyli dystans kilkunastu kilometrów i wydało im się, że trwa to już całą wieczność, Edward skręcił motor i zataczając olbrzymie półkole, omijając po drodze maleńki, sosnowy zagajnik, wydostał się z powrotem na szosę prowadzącą do Warszawy.

Gdy wjechali już na szosę, Edward puścił kierownicę, rozprostował zgięte, przylepione wprost do motoru ciało, otarł rękawem pot z czoła i oglądając się na Dziwisza, uśmiechnął się szeroko, radośnie.

— Żyjemy! — sinymi wargami wycharczał Dziwisz.

WINCENTY RZYMOWSKI

WANDA WASILEWSKA

SYLWETKA LITERACKA

Jest chwila po zachodzie słońca, gdy promienie, sięgając spoza widnokręgu, złocą jeszcze wysokie drzewa, wieże lub góry; lecz noc idzie niewstrzymana, mrok gęstnieje, punkty wyzłocone gasną po kolei, aż w końcu zostają tylko najwyżej wzniesione. Wtenczas wydaje się, że te ostatnie wchłonęły w siebie całą resztę słońca, że zbierają w sobie i ogniskują wszystkie światła pociemniałej ziemi.

Wanda Wasilewska była jednym z takich świateł pociemniałej ziemi, na schyłku istnienia faszystowskiej Polski, gdy w państwie okutym przez rządy kapitalistów i obszarników gasła wolność, umierała prawda.

Tak też wszyscy czuli, tak rozumieli zarówno w obozie stronników i przyjaciół, jak w obozie przeciwników i wrogów. Ci ostatni dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że w kraju, gdzie lud pracujący został oszukany w swych najżywotniejszych dążeniach i nadziejach społeczno-gospodarczych, nie ma i nie może być miejsca na wolność polityczną, na wolność słowa, myśli i sumienia. Ale rozumieli zarazem i to, że tych nawet skąpych swobód, które mieściły się w konstytucji pierwotnej, nie można zniweczyć od razu, że unicestwiać je należy stopniowo. Nim więc zdecydowano się na okrojenie konstytucji, już ubroczono ją we krwi prezydenta Narutowicza, już zaczęto gwałcić i karykaturować poszczególne jej artykuły. Gdy zaś wreszcie nowa konstytucja rozwiązała ręce administracji państwowej, stojącej do usług wielkiego pieniądza, upłynął czas pewien, nim odważono się „zreformować" ordynację wyborczą obalając fundament demokracji — powszechne prawo głosowania.

Im głębiej nasuwał się na Polskę cień nadciągającej wojny, tym bardziej wzmagał się w niej terror przeciw klasie roboczej i organizacjom rewolucyjnym; tym śmielej sfery rządzące wymierzały cios za ciosem w poszczególne odłamy świata pracy, krusząc podstawy jego samoobrony, łamiąc jego front jednolity, obezwładniając jego energię walki. Oświata powszechna, wymiar sprawiedliwości, ustawodawstwo społeczne — jedna funkcja życia publicznego po drugiej — padały ofiarą rozjuszonej reakcji, której kolumną szturmową stał się sławetny „Obóz zjednoczenia narodowego" (Ozon).

W takich warunkach, wobec tryumfującego pochodu wstecznictwa, uzbrojonego całą aparaturą państwa, gdy przestano słuchać sejmu i senatu, gdy zdeptane zostały wszelkie posterunki i rękojmie niezależności, twórczość literacka na czas pewien dźwignęła chorągiew protestu, rozwinęła ją nad oniemiałym polem i zatknęła na szańcu, poza którym pisarz rewolucyjny mógł jeszcze — choćby pod gradem pocisków — walczyć o swą prawdę.

Na tym to szańcu literatury, jak na osaczonej przez wroga reducie bojowej, obwarowała swe stanowisko Wanda Wasilewska. Swój talent pisarski, swój niepospolity dar obserwacji, swój temperament artystyczny, swe serce płomienne, całą swą bogatą naturę bojownicy-rewolucjonistki poświęciła ona na oddanie tego, co nurtowało w piersiach rzesz pracujących, a co było dławione żelazną stopą soldateski, finansjery i ziemiaństwa.

Tym tłumaczy się ta kolosalna, niebywała popularność, jaką autorka „Ojczyzny" zyskała w świecie chłopskim, w robotniczych okręgach Warszawy, Łodzi, Wilna, Krakowa, Lwowa i innych miast polskich, ukraińskich, białoruskich, litewskich. A w popularności tej było coś więcej niż rozgłos, jaki daje sława literacka. Była w niej spójnia, jednocząca serce z serc milionami, tętniła w niej krew prawdziwej solidarności ludowej, sięgającej ponad granice narodowościowe i ślubującej wspólny front nieprzejednania w obliczu wspólnego klasowego wroga.

Towarzyszyła ona wystąpieniom Wasilewskiej wszędzie, gdziekolwiek tej ostatniej zdarzyło się stanąć na arenie publicznej. Każdy jej odczyt, każde przemówienie na zgromadzeniu ludowym kończyło się burzliwą owacją entuzjazmu dla młodej autorki i głoszonych przez nią idei. Już od pierwszego, wyrzeczonego przez nią słowa wywiązywała się między trybuną a słuchaczami więź, naprężona jak struna. Słuchacze czuli, że mają przed sobą osobistość, w której między artystą słowa a szermierzem idei nie ma żadnego przedziału, dla której słowa i czyn jednaką mają wagę, bo w jednakim wykute są kruszcu. Helena Usijewicz, pisząc o Wasilewskiej *, trafnie ujęła ten jej związek z masami, jako najrdzenniejszy nerw jej twórczości, podkreślając, że „odcięta od ludu radzieckiego murami granic i cenzury pańskiej, Wanda Wasilewska już wtenczas była pisarzem prawdziwie radzieckim, ambasadorem ludzkości i człowieczeństwa w Polsce, zdławionych przez czarną reakcję pańską". Tak, pracujące rzesze Polski ukochały w Wasilewskiej to, co same w głębi marzeń swych wypiastowały, ale czego nie zdołały ziścić i co zostało przez rządy Rzeczypospolitej straszliwie sponiewierane. Dlatego to w tych pełnych uniesienia okrzykach, którymi spotykano ją na wiecach, było coś z wierności, poprzysięganej sprawie, za którą walczymy i walczyć jesteśmy gotowi do ostatka. Na posępnych, ciężkich latach, poprzedzających wojnę a zapowiadających katastrofę, gdy rosła nędza a jednocześnie coraz szerzej rozlewało się martwe morze bezrobocia, Wasilewska stawała się w oczach ludu coraz kategoryczniejszym imperatywem walki przeciw rządom ruiny i głodu. I w miarę, jak na szyi robotnika i chłopa coraz bardziej zaciskała się obroża, książka Wasilewskiej, słowo Wasilewskiej, nabierały znamion symbolu, w którym przeglądało się to wszystko, co zostało w Polsce strwonione, zmarnowane, wdeptane w ziemię, a co jednak jest niezbędne, jedyne, najcenniejsze w życiu.

Człowiek pracy rozminął się w Polsce ze swoim losem. Zamiast matki, do której tęsknił pod obcymi rządami, znalazł macochę. Zamiast wyzwolenia czekało go nowe jarzmo, tym bardziej obmierzłe, że rodzimą nałożone ręką. Czy tak stać się musiało? Czy innej drogi nie było? A jeśli była, czemu ją zagubiono, i gdzie spoczywa ów węzeł fatalny, ów grzech pierworodny, który zaciążył nad dziejami „odrodzonej" Polski, czyniąc z nich efemerydę, zamkniętą między dwiema katastrofami? Czyż ludowi polskiemu jak owemu Jaśkowi z „Wesela" wiecznie ma echo dziejowe odnosić ów nieszczęsny refren: „Miałeś chamie złoty róg — ostał ci się jeno sznur..."

Wszystkie te pytania, nurtujące rzesze chłopskie i robotnicze, ze szczególną siłą wżarły się w umysł i serce Wasilewskiej niemal od zarania jej świadomości. Z udręki, jaką ją napełniały, z chęci przezwyciężenia trucizny, jaką zawierały w sobie, narodziły się wszystkie jej powieści. Stąd ów znamionujący je ton powagi i szczerości, żarliwy ton badawczego napięcia, z jakim człowiek dąży do wyświetlenia zagadnień, tkwiących u podstaw jego bytu.

Już w „Obliczu dnia" — tej powieści, która poniekąd programowo wyrasta z reportażu, jakby na znak, że nie wyrosła z bałamutnej fantazji — dociera Wasilewska do jednego z węzłowych fałszów, na których burżuazja buduje swe władztwo i demaskuje obłudną tezę o rzekomej równości wszystkich obywateli wobec państwa i stanowionych przez nie praw. Tak, zapewne: — powiada, a raczej w żywych epizodach pokazuje autorka — prawo kapitalistyczne jest równe dla wszystkich. Teoretycznie państwo nie czyni różnicy między jednym obywatelem a drugim: i ubogim i bogatym jednakowo zabrania nocować pod mostem!... To, że bogacz nigdy nie pozostaje bez dachu nad głową, a biedak aż nadto często nie ma gdzie kości złożyć, to w państwie burżuazji jest drobnostką formalną, której nie bierze się pod uwagę. Nie jest to zresztą przypadkiem, że klasy majętne i rządzące o wiele rzadziej wchodzą w kolizję z prawem niż ubodzy: wszak prawo to jest właśnie stanowione przez możnych, jako uzda i wędzidło, mające w posłuchu i poddaństwie utrzymywać proletariat.

Wszelako, malując ucisk i biedę proletariatu, Wasilewska ani chwili nie pod-

* „Piesnia borby", Literaturnyj kritik, 1940, Nr 9—10.

daje się przygnębieniu lub melancholii, podgryzającej siły. Z bystrą, niezawodną przenikliwością chwyta ona i podnosi w człowieku uciśnionym te momenty, w których gorycz jego krzywdy przeistacza się w gniew i tężeje w opór. Łzy niedoli znajdują w niej usprawiedliwienie, gdy zmieniają się w ogień, sycący pogotowie walki. Szanowna dłoń robotnicza, namulona pracą, budzi w niej szacunek stokroć większy, gdy zaciska się w twardą pięść wyzwania, rzucanego wyzyskiwaczom i ciemięzcom.

Oto dlaczego w ognisku jej tak gorącej sympatii stoi postać robotnika-murarza Anatola. Mocny, nieugięty kręgosłup tego człowieka jest jakby wcielonym buntem przeciwko poniżającym warunkom, w jakie kapitalizm spycha swe ofiary. Nienawidzi on przemocy możnych, ale gardzi tchórzostwem słabych, które wobec przemocy korzy się i pełza. Anatol jest urodzonym rewolucjonistą. Będąc dzieckiem, zobaczył on razu pewnego dwa sunące po ziemi owady. Większy, uzbrojony w kleszcze, nacierał, mniejszy cofał się drobnymi skokami, jakby chcąc rozśmieszyć i przejednać wroga. Anatol zrywa się wzburzony i obcasem miażdży napastnika.

— Za to — woła — że napadasz słabego.

Po czym, z jeszcze większą zapalczywością, zabija małego.

— Za to, żeś stchórzył.

Ów pion niezłomności pozostał postawą jego na całe życie. Nic nie zmogło hartu jego natury: ani głód, ani upokorzenia, ani pokusy, ani groźby. Im głębiej sięga w życie, tym głębiej utrwala się on w przekonaniu, że ustrój kapitalistyczny musi być zniweczony aż do gruntu, z którego wyrasta, aż do korzenia. Z jakimż zapałem, z jaką krzepiącą otuchą ukazuje Wasilewska w osobie Anatola wielkość i moc uszlachetniającą walki rewolucyjnej, tej walki, w której „towarzysz" brzmi serdeczniej niż „brat"; w której czerwony sztandar staje się ogniskiem zestrzelającym w sobie wszystkie myśli, wszystkie tęsknoty współbojowników.

Co jednak w „Obliczu dnia", tym utworze jeszcze młodzieńczym, zastanawiać musi najbardziej, to dojrzałość sądu, z jaką Wasilewska przedstawia nieprzejednane stanowisko rewolucyjne klasy robotniczej w bezpośrednim jego oparciu o trud powszedni robotnika, o codzienną jego praktykę życia. Czytając karty tej powieści, śledzimy niemal naocznie, jak trud i mozół, ryjąc bruzdy na czole proletariatu, toruje w jego mózgu drogi nowym myślom, nowym zbawczym prawdom. Żywiołowy ferment, narastający w piersiach wyzyskiwanych, rodzi uświadomienie, z uświadomienia powstaje solidarność klasowa, a solidarność poszukuje dla siebie wyrazu i oręża w rewolucyjnej teorii proletariatu. Wzruszający jest moment, w którym Anatol po raz pierwszy spotyka się z nauką Marksa i przejmuje się jej treścią. Rzekłbyś: żywioł poślubia ideę i staje się dźwignią, zdolną z posad poruszyć dzieje świata. „Anatol powoli, uważnie czyta trudne słowa. Starannie składa literę z literą, zbiera je w wyrazy. Wyrazy łączą się w zdania, w okresy, w nową myśl. Myśli ustawiają się w mózgu zwartym, ciasnym szeregiem. Nie tak nawet trudno je zrozumieć, jak wydawało się zrazu. Znane są one Anatolowi... Posiadało je bezdomne dzieciństwo, posępne lata chłopięce, byt zaułków, dzieje ulicy. Myśli te są koniecznością, tym, co musi być powiedziane, ażeby życie miało jakiś sens."

...By życie miało jakiś sens!... Ale właśnie w Polsce wszystkie siły burżuazji, wszystkie tradycje zbutwiałej szlachetczyzny i rozzuchwalonej magnaterii, wszystkie uroszczenia żarłocznego kościoła sprzysięgły się na to, aby nie dopuścić sensu, nie dopuścić twórczej treści społecznej do budowy życia. Mocarstwowość państwa założono na ruinie ludu, na nędzy i zgryzocie robotnika, na ubóstwie i ciemnocie chłopa, na niewolniczej tresurze inteligencji. I to od samego początku, od pierwszego dnia niepodległości, z którym tak wielkie nadzieje wewnętrznego przełomu kojarzył w swoich snach kordianowych Słowacki...

Tak już w toku tworzenia pierwszej swej powieści Wasilewska wyzbyła się wszelkich złudzeń, stanęła oko w oko z przeraźliwą prawdą. Państwo polskie odrodzone w burzy dziejowej, powołane do życia nie przez gabinety dyplomatyczne, lecz przez Wielką Rewolucję Październikową, która zdjęła zeń okowy caratu i przecięła intrygi Ententе'y, proklamowawszy prawo narodu polskiego do niepodległości, nie zrozumiało swej roli i przeznaczenia. Zwichnęło los swój już w pierwszym

dniu swego istnienia. Rękami własnego rządu zaprzepaściło odzyskany skarb. Zamiast pójść za wezwaniem sił życiodajnych, zdolnych podźwignąć masy ludowe i rozpętać ich entuzjazm twórczy, zamiast otrząsnąć z siebie pleśń wieków, osadzić prawdziwą, nową *rzecz pospolitą* w sercach i mózgach chłopa i robotnika, Polska porwała się do walki z tą samą rewolucją, której zawdzięczała odrodzenie. Co gorsze, pozwoliła burżuazjom zachodnim zrobić ze siebie „przedmurze“ reakcji europejskiej.

Odgrodziwszy się od rewolucji, Polska rękami swoich własnych rządów zasypała te jedyne źródła, z których zaczerpnąć mogła podniety i siły do życia, wzrostu i rozwoju.

I aby całej Polsce stawić przed oczy obraz straszliwej kainowej zbrodni, popełnionej przez sfery obszarniczo-mieszczańskie na swoim własnym ludzie, Wasilewska po „Obliczu dnia“ pisze swe następne powieści: „Ojczyzna“, „Ziemia w jarzmie“, „Płomień na bagnach“ *. Pisze je — rzec można — krzykiem sumienia, wołającego o zemstę na zbrodniarzy, o karę na zdzierców ludu i grabarzów ojczyzny. I nigdy chyba twórczość pióra literackiego, nigdy słowo wyrywające się z głębin duszy, przepełnionej udręką, lecz skazanej na niemiłosierną trzeźwość widzenia, nie zespalały się tak ściśle, tak bez reszty, z ogromem losu, który ciążył nad krajem, z obszarem męki, która kipiała w jego podziemiach.

Różne są środowiska, w których odbywa się akcja tych trzech powieści, rozmaite są strony kraju, na których tło je rzucono; różni występują w nich ludzie, różne są konflikty, które między tymi ludźmi zachodzą, ale istota dramatu, jaki się w nich toczy, jest wszędzie ta sama. Krzysiak z „Ojczyzny“ jest bratem bliźnim Piskora z „Płomienia na bagnach“, choć różnym mówią językiem i do różnych należą narodowości, obaj zaś bez wahania podaliby bratnią dłoń zaufania i Wincentemu, nauczycielowi z powieści „Ziemia w jarzmie“ i bezdomnej Ance i całej gromadzie ludzi, nękanych jarzmem hrabiego Ostrzeńskiego. Podaliby im dłoń zaufania, bo wszyscy oni — i Krzysiak, i Piskor, i Wincenty, i Anna — należą do jednej rodziny ofiar kapitału i obszarnika, objęci wspólnym koliskiem solidarności klasowej. Solidarność tę odczuwają, być może, w stopniu niejednakowym, znajdują się na różnych stopniach uświadomienia klasowego, ale kierunek, który obrali, jest jeden; i wspólny jest cel, do którego dążą.

Cóż, że Krzysiak jest fornalem dworskim, a Matus lub Płyciak „samodzielnym wiejskim gospodarzem“? I cóż, że potem swego czoła poją oni role nad Bugiem i Wisłą, gdy Piskor lub Iwanczuk uginali się pod swym jarzmem na Polesiu lub Wołyniu? Życie chłopów siedzących na własnych skrawkach roli, niewiele różniło się w Polsce od życia bezrolnych i parobków. Bieda chłopów na rdzennych ziemiach polskich podobna była do biedy chłopskiej na zachodnich ziemiach ukraińskich i białoruskich. „Tam, nad Bugiem — pisze Wasilewska w posłowiu do „Ziemi w jarzmie“ — żyje, walczy i cierpi chłop polski. Ginie z nędzy, kona z głodu, pracując na pszennych polach pańskich. Nagie, obdarte chodzą dzieci chłopskie. Tam szerzy się krzywda, panuje ucisk, przemoc człowieka nad człowiekiem... Tam, w polskich wsiach, ponuro spogląda nienawidzącymi oczyma na wyrosłe z potu chłopskiego bogactwo pańskie, znękana, trudem do ziemi przygnieciona, kobieta. A gdy dojęty krzywdą chłop próbuje podnieść głowę, gdy mimo woli dźwiga się w górę zaciśnięta pięść, chłopu odpowiada salwa karabinów policyjnych, strzały pańskich gajowych, kije i baty.“ Taki był w Polsce los chłopów nad Bugiem i Wisłą. Takie dźwigała jarzmo ziemia polska. Czyż inny mógł być los chłopów ukraińskich i białoruskich? To prawda, że tutaj do kompletu zdzierstwa dochodził jeszcze nieznośny ucisk narodowościowy. Ale czyż policja, na bagnach poleskich ścigająca Iwańczuków i Piskorów, nie była refleksem władzy i stanowiska tych samych hrabiów Ostrzeńskich, którzy gnębili lud polski nad Bugiem? I czyż nie ten sam system ucisku więził Piskorów, Iwańczuków, który tak nikczemnie zadrwił z aspiracyj i ofiar Krzysiaka?

---

* Ta ostatnia napisana jeszcze w b. państwie polskim, lecz wstrzymana przez jego cenzurę, wydana została dopiero na ziemi radzieckiej, jednocześnie w 3-ch językach: polskim, rosyjskim, ukraińskim.

Polscy mieszczanie-nacjonaliści obiecali Krzysiakowi, obiecali całemu chłopstwu polskiemu ziemię, wolność, dostatek, kulturę. Wszystkie te skarby miała przynieść im Polska niepodległa, zbudowana na gruzach dawnych zaborów.

W imię skarbów tych, w imię Polski, Krzysiak i setki tysięcy jego braci poszli na walkę z zaborcami. Wierzyli, że wartość ma to tylko, co jest własnym zdobyte wysiłkiem. I na tej ich wierze, jak na szczerozłotej strunie, zagrali panowie, zagrali hrabiowie Ostrzeńscy, tudzież ich czeladź dworska. Przedstawiono Krzysiakowi Ojczyznę jako ołtarz wyzwolenia i sprawiedliwości, godny tego, by na nim spalić się mogły w ofierze najczystsze ognie i porywy duszy chłopskiej... Krzysiakowie nie szczędzili swej krwi... W pewnej chwili wydało im się, że są bliscy celu. Oto wśród gromów rewolucji, pod którymi w gruzy waliły się trony zaborców, zmartwychwstaje Polska... Z ran chłopskich, z ofiar ludu odradza się ojczyzna... Ale ojczyzna — czyja? Wszystkich ludzi pracy, czy tylko — wybranych? Niestety, złudzenia trwały krótko... Spoza ołtarza wzniosłości, na którym składano ofiary, wychylił się tryumfujący egoizm Ostrzeńskich, a niebawem wyłonić się miał w kompleksie i cały program „bogoojczyzny", od kanonizacji kartelów i zysków kartelowych aż... do kanonizacji Andrzeja Boboli.

Krzysiak został przy swoim pługu, na swym wąskim ubogim zagonie. W jego życiu nic się nie odmieniło. Nie dla niego zmartwychwstała ojczyzna. „Tragedią Krzysiaków — jak słusznie zauważono w poważnej krytyce radzieckiej * — jest to, że wszystek zapał ich serc, ich najszczytniejsze porywy, ich siły duchowe i fizyczne zostały nikczemnie wyzyskane przez burżuazję polską dla oszukania milionów ich współbraci klasowych". Ale tragedia Krzysiaków czyż nie była jednocześnie najgłębszą tragedią Polski? Bo do czegóż wreszcie sprowadzała się ta odbudowa „ojczyzny", jeśli w odbudowanej dwór pański stał nadal na tym samym miejscu, co dawniej, i baraki fornalskie stały tam, gdzie wprzódy, i na tym samym miejscu stał kościół, i na tym samym plebania, a — co najtragiczniejsze — ustosunkowanie wzajemne, hierarchia i pozycja społeczna tych wszystkich punktów pozostały bez zmiany, nienaruszone i nietknięte. Dwór i plebania były nadal dominantami życia wiejskiego; baraki dworskie — nadal siedliskiem nędzy i upośledzenia. Czymże było to wyzwolenie Polski, jeżeli w wyzwolonej trwało po dawnemu tyle niewoli i krzywdy, tyle tyranii i zdzierstwa? Jakże powierzchownym w niej zjawiskiem musiała być owa wytęskniona „niepodległość", jeśli, wkraczając do kraju, nie potrąciła ani jednego ze zgrzybiałych autorytetów, nie odprostowała ani jednej głowy zgiętej na chłopskim zagonie, nie przesunęła ani jednego stanowiska w układzie społecznym!

Ale bo też Polska, i właśnie Polska niepodległa, dla hrabiów Ostrzeńskich i całego ich klanu nie miała, sama przez się, żadnego znaczenia. Nie śniło im się o niej wtenczas, gdy idea niepodległości oznaczała ideę walki, ruchu zbrojnego i rewolucji. Przeciwnie, złorzeczyli każdej buntowniczej dłoni, która ośmielała się targać łańcuchem niewoli. Powstania i rewolucje wyklinali jako niezdrowe majaki, pojęte z „intrygi żydowskiej" lub „podszeptu masonów". Dopóki niezachwiane stały w mocarstwach zaborczych trony samowładców-cesarzy, póty oni z wiernopoddańczą dumą nosili swe uniformy trójzaborowego lojalizmu. Dopiero gdy runęły „miłościwe" dynastie, a pożar rewolucji, który się rozlał na wschodzie, nie tylko nie ugasał, ale szerzył się z siłą coraz bardziej wzrastającą i zdobywczą, przerzucał się do Niemiec i Austrii, dopiero wtenczas panowie Ostrzeńscy tudzież ich famulusi przypomnieli sobie o Polsce i schronili się pod hasło niepodległości, jak pod namiot mający ich zabezpieczyć przed groźbami przewrotu. We własnym państwie spodziewali się najspokojniej — za plecami Krzysiaków — przetrwać okres burzy i doczekać się pogody, tj. momentu restauracji politycznej i społecznej w jednym z mocarstw ościennych. Czyż nie tą właśnie kalkulacją tłumaczy się żądna niecierpliwość, z jaką reakcja polska wypatrywała odradzających się ośrodków kontrrewolucji w całej Europie? Czy nie dlatego rzucała się ona w objęcia wszystkim po kolei jej hersztom, gotowa zaprzedać swe państwo w zamian za swobodę żerowiska na karkach własnego ludu?

---

* O. Reznik „Zamietki o tworczestwie W. Wasilewskiej". „Znamia" 1940, Nr 11—12.

Tej skrytej kalkulacji nikt nie przezierał bystrzej, nie demaskował odważniej niż Wanda Wasilewska. Z nieubłaganą konsekwencją, na żywych dokumentach wykazywała, gdzie jest lud-naród a gdzie jego wrogowie, gdzie kultura a gdzie zdziczenie, gdzie wolność a gdzie niewola. Nie do grona wybranych, ale do szerokiej rzeszy pracujących zwracała się z apelem walki, wołając, że tylko w walce jest ratunek i uwydatniając nieprzejednane przeciwieństwo dwóch światów, między którymi nie ma ani ugody ani rozejmu. W poczuciu niebezpieczeństwa, czającego się w zbrodniczych knowaniach burżuazji, każdą prawie kartą swych powieści budziła w masach prężność rewolucyjną, nagliła ludzi do pośpiechu, wyprzedzała wypadki, podkładała pożar własnego serca pod serca bratnie, by gorącej czuły, by silniej płonęły. I nie jest to tylko efektem literackim, że każda z jej powieści kończy się jakby dzwonem złowieszczo bijącym na trwogę, jakby błyskawicą gniewu, zapowiadającą sąd dziejowy, żagwią, niosącą strupieszałemu światu wyrok zagłady. Najpełniej symbol ten wyrażony jest w powieści ostatniej, której finał oświecony jest łuną płomienia, płomienia na bagnach, obracającego w perzynę posterunek znienawidzonego systemu, policyjno-wojskową osadę Chorzyniaka. Lecz już „Oblicze dnia" zamykał groźny obraz masowej demonstracji strajkujących robotników, a „Ziemia w jarzmie" wybucha pod koniec pomstą chłopskiego powstania, w której przyroda cała płomienieje krwawą czerwienią gniewu. Bledszy, mniej jaskrawy, lecz nie mniej przejmujący jest epilog „Ojczyzny", w którym stary Krzysiak spogląda na swego dorastającego syna Pawła i dostrzega jego „oczy zapalone gniewem, pełne nienawiści". W wyrazie tych to oczu, w ich błysku nieprzejednania i bezwzględności, chwyta on olbrzymi, radykalny przedział, jaki powstał między starym a młodym pokoleniem chłopskim. I czy, rzeczywiście, w młodych oczach Pawła Krzysiaka nie czai się ten sam płomień, który „krzykiem protestu" wzbił się na bagnach Polesia, a którego iskry rozsiane są po wszystkich utworach Wasilewskiej?

Czerwienią krwi własnej, iskrami ognia własnej duszy zapalając dusze tworzonych przez siebie bohaterów, Wanda Wasilewska pragnęła jak najwięcej bojowego zapału przelać w klasę pracującą, a jednocześnie najdobitniej pokazać ludowi jego wrogów. Wrogów nie tylko jawnych, ale i zamaskowanych. I nie tylko takich, na których twarzy wypisane są wszystkie odrażające świadectwa bezwstydu, ale i tych, którzy sami przez się, osobiście, stanowić mogą typy dodatnie, niepozbawione cech ujmujących. Jak dowódca przed rozprawą, ściskający swe szeregi, dba o to, aby wchłonęły one wszystko zdolne do boju, lecz nie zawierały w sobie nic, co może zawieść lub oszukać, Wasilewska, w przewidywaniu prób, oczekujących proletariat, zagrzewa go odwagą, ale i uzbraja w przenikliwą ostrożność. „Chodziło mi o to — pisze ona w epilogu „Płomienia na bagnach" — ażeby ukazać wroga, który nie przestaje być wrogiem nawet wtenczas, gdy sam czuje się skrzywdzonym, gdy kocha i cierpi, gdy sam jest gorąco kochany, jako dobry syn, mąż albo brat. Chciałam wyjaśnić czytelnikom, że istnieją pewne funkcje klasowe, określające człowieka jako wroga, chociażby on sam przez się wcale nie był człowiekiem złym. Chciałam podkreślić, że zły bywa nie ten lub ów osadnik, nie ten lub ów zwyrodniały policjant, ale że każdy osadnik i każdy policjant są to nasi przeciwnicy w walce, którą toczymy, że nie powinny nas wzruszać ani jego uśmiech dobroduszny, ani łzy jego matki". Jak doniosła jest przestroga w słowach powyższych zawarta, widzimy stąd, że ona to, a właściwie siła i plastyka, z jaką przemawia ona z kart „Płomienia", sprawiły, że powieść wstrzymana została przez cenzurę polską w Warszawie. Cenzor wyczuł cios godzący w tych, których kazano mu osłaniać. „Motywował on swój zakaz — jak dowiadujemy się z artykułu H. Usijewicz * — tym właśnie, że osadnik przedstawiony jest nie w postaci bestii, lecz jako człowiek dość normalny, jednocześnie zaś z okropną siłą pokazane jest zło, które wyrządza i cała nienawiść, jaką budzi przeciw sobie; rzecz jasna, wnioskował cenzor, że książka godzi w samą instytucję osadnictwa, w same podstawy polskiej polityki rządowej".

Dążność do przedstawienia wroga, ze stanowiska jego „funkcji klasowej", istotnie święci prawdziwy tryumf artystyczny w „Płomieniu na bagnach". Nie wzruszy

* „Literaturnyj kritik", 1940, Nr 9—10.

nas na kartach tej powieści ani Chorzyniak, mimo wszystkich cnót „domowych", w jakie osobiście jest wyposażony, ani policjant Ludzik, mimo gorących łez, jakimi opłakuje go kochająca matka. Nie wzrusza nas i niefortunna dola Jadwigi, która tak małodusznie pokierowała swym sercem, bezspornie zdolnym do kochania, lecz niewytrwałym, sprzeniewierzając się Piotrowi i poślubiając wroga ludu, osadnika. Czy znaczy to, że każdy z nas z góry jest przygwożdżony do pewnego stanowiska społecznego, które mechanicznie szereguje go, zaliczając do jednej z dwu stron walczących? Nie. Ani stanowisko społeczne, ani pochodzenie nie tamuje naszej woli, nie przesądza naszego wyboru. Jadwiga, stojąca zrazu po stronie rewolucji, wybiera następnie drogę, która ją zawiedzie do obozu burżuazji. Odwrotną, poniekąd, drogę odbywa Wincenty, nauczyciel wiejski („Ziemia w jarzmie"): z początku chwiejny i bliższy raczej światu staremu niż nowemu, w pewnej jednak chwili tknięty ogromem cierpień chłopa i doniosłości jego walki, odnajduje w sobie solidarność z ludem i, wierny raz powziętej orientacji, postanawia już do końca „z chłopem być, nie przeciw chłopu".

Każdy z nas w życiu ma prawo wolnego wyboru — zda się mówić Wasilewska całą galerią stworzonych przez siebie postaci. Każdy może stanąć po stronie hrabiów Ostrzeńskich lub po stronie Krzysiaków, po stronie Chorzyniaka lub po stronie Piskora, po stronie szczupłego klanu pasożytów i wyzyskiwaczy, czy po stronie całej pracującej ludzkości. Każdy ma prawo wyboru. Lecz z chwilą, gdy wybór jest dokonany, z nieubłaganą mocą występują wszystkie sankcje, będące następstwem dokonanego wyboru. Kto los swój powierzy obozowi krzywdy ludzkiej, ten sam staje się krzywdzicielem. Kto poda dłoń reakcji, bez względu na to, jakimi kierował się pobudkami — egoizmem czy słabością serca — stracony zostaje dla ludzkości.

Miała to prawo wyboru i Polska w osobie tych, którzy objęli jej rządy na gruzach wszystkich trzech zaborów, zburzonych przez wojnę i rewolucję. Z rządami tymi łączono zrazu piękne i daleko idące nadzieje; nadzieje, dla których Krzysiak i setki tysięcy innych oddali swoją krew. Ale nadzieje te okazały się złudą, która pękła jak bańka tęczowa. „Z pięknego, burzliwego okresu pierwszych dni niepodległości — gorzko stwierdza w swych „Kartkach przeszłości" Wasilewska — nie pozostało prawie nic. Reakcja podniosła głowę. Ludzie szli do więzień, i były to już nie więzienia carskie, lecz polskie."

Nie carskie, lecz polskie były te więzienia, w których gnojono polskich robotników i chłopów, ukraińców, żydów, białorusinów. W więzieniu zmarł, nie doczekawszy terminu zwolnienia, młody Saszka, brat Olgi. Na dziesięć lat zakuto w kajdany komunistę Piotra Iwańczuka. Osaczony zewsząd i zmuszony z kraju uciekać Iwan Piskor, zaszczuty przez policję, ginie w grząskich topieliskach — tuż u progu wolności, której nie doczekał. Ginie chłop znad Buga, Zieliński, zamordowany przez opryszków hrabiego, którego majątek stanowi istne państwo w państwie. Opryszkowie ci, zresztą, mają na swym sumieniu nie jeden dziesiątek ofiar, bądź rozszarpanych przez psy, bądź wtrącanych do więzienia, bądź zastrzelonych jak zwierzyna w lesie.

Cóż innego, cóż gorszego mogłoby ludzi tych spotkać pod rządami caratu? Lecz państwo, które stało się tylko zastępstwem caratu, jego jakby dalszym ciągiem i rezerwatem politycznym, samo przekreśliło moralną podstawę swego istnienia; samo przypieczętowało swój los. Przyszło to, co przyjść musiało. „W grzmocie pękających bomb — mówi Wasilewska — w łunie pożarów, w huku wystrzałów runęło państwo polskie. Runęło, rozsypało się w panicznej ucieczce wszystko, co było Polską krzywdy, Polską przemocy i ucisku. Ale była, jest i będzie inna Polska, Polska chłopa i robotnika, Polska rzesz pracujących."

Tej Polsce przyszłości, która jest jednocześnie Polską opartą o najpiękniejsze, prawdziwie szczytne tradycje naszej przeszłości, złożyła Wanda Wasilewska w dani swój gniew i swoją miłość, swe najgórniejsze myśli, swoją wolę niezłomną, zahartowaną w trudach, nieustraszoną w walce.

STANISŁAW WASYLEWSKI

JULIA WOJKOWSKA

Przyjdą burze, przyjdą burze,
Przyjdą niespodzianie,
Runie pałac, runie pałac,
A chatka zostanie!
(*„Piosnki dla ludu wieyskiego“*)
(1841)

Lekturze niniejszego opowiadania winienby towarzyszyć pogwizd ulubionych aryjek z dwóch oper: z „Cyganerii“ (wszystko jedno która) oraz z „Żydówki“: „na stos, prowadzę cię na stos“.

Nie należy jednak przypuszczać, że bohaterka była żydówką. Nie, w opinii bowiem większości swych krajanów była czymś nierównie potworniejszym. Córka celnika i administratora poczty, Wincentego Molińskiego w Obornikach — pochodziła z rodziny ze wszech miar statecznej w mieszczaństwie wielkopolskim. Tyle chyba zawinił papa, że pragnąc obfitszych pociech z jedynaczki (urodzonej w Bninie koło Śremu 12 marca 1816 r.) dał ją uczyć starannie. Najpierw w Lesznie, potem na pensji we Wrocławiu, wreszcie za granicą. Że — jak twierdzi pierwszy biograf Molińskiej J. N. Gniewosz — „otrzymała wykształcenie poważniejsze aniżeli to, które powszechnie panny ze średniego stanu, naśladujące ślepo arystokrację otrzymywały“ — to pewna, ale że wykształcenie było i dorywcze i niesystematyczne — również nie ulega wątpliwości.

Paryż, w którym, zdaje się, jakiś czas przebywała, uformował młodą dziewczynę rewolucyjnie. Nałykała się haseł fourieryzmu i saint-simonizmu, naczytała pierwszych powieści George Sand, pod której urokiem stała wówczas Francja. Na pogłębienie, na przetrawienie nie było czasu. Rozwinął się za to temperament pisarski, jakiego Polska w świecie kobiecym dotąd nie miała.

W Berlinie Bettina Arnim była przyjaciółką nie tylko Goethego, ale i Julii Molińskiej; podobno wyzyskał to niedowarzony dyktator poznańskiej „wiosny ludów“ Mierosławski, znalazłszy się w więzieniu berlińskim.

Około roku 1839 wraca Julia Molińska do domu, zdecydowana na walkę bezwzględną. Było to zaiste dowodem mickiewiczowskiego mierzenia sił na zamiary, że postanowiła działać w swoich stronach rodzinnych, w dzielnicy najbardziej opornej, najsilniej zorganizowanej przez reakcję szlachecką i księżą.

Córka bogobojnego celnika z Obornik występuje od razu z programem tak radykalnym, że nie ma mowy o aprobacie go nie tylko na poznańskim podwórku, ale w całej reszcie Polski, gdzieby mogła się wypowiedzieć swobodnie. Tezy młodziutkiej, niecierpliwej bojownicy, która czując ogrom trudności, z tym większą furią przystępuje do ataku, są następujące: 1) wywłaszczyć szlachtę, 2) poskromić księży i ograniczyć ich wpływ na społeczeństwo, 3) zerwać z literackim sentymentalizmem w stosunku do ludu (nie „ubóstwiać chłopa, nie narzucać mu się arbitralnie“, lecz uznać w nim „człeka-brata“), 4) wyzwolić kobietę z niewoli konwenansu, 5) zreformować wychowanie dziewcząt.

Od tego ostatniego zaczyna Molińska, zakładając w Poznaniu pensję dla dziewcząt w roku 1840. Łatwo wyobrazić sobie przerażenie wielkopolan. Heretyczka, podnosząca zbrodniczo rękę na święte prawo własności i wyzysku, lord Byron w spódnicy — będzie nam jeszcze córki deprawować. „Oj, polacy — pyta z bólem Apolonia Motty, dzwoniąc na trwogę w liście do syna — poczciwie wam to dobre dzieci swoje w takie miejsce oddawać?“

Tym bardziej było niepoczciwie, że Julia Molińska, nie ukrywając nic pod korcem, takie oto złote myśli wypowiadała:

„Szarlatany, szarlatany! Duch kłamstwa wieje po waszych zakładach; formy przyzwoitości, bojaźń opinii, to cała zasada ich moralności... Panny mają się rumie-

nić, mają w oczy mężczyznom nie patrzeć, idąc przez ulicę nie oglądać się, a w kościele patrzeć w książkę do nabożeństwa, dygać zręcznie i miłostek się wystrzegać...

...„Jeżeli ścinają dzieciobójczynie, czemu nie ścinają matek, co córki swe oddają na takie pensje?

„Jeżeli piętnuje się publicznie rajfurki nierządu, czemuż takich pań, trzymających pensje, nie stawiają pod pręgierz?!" („Gazeta Wielkopolska" Nr 4.)

Wcale mocno i z krzykiem, rzekłby Juliusz Słowacki, który do tejże pani Julii i jej męża życzliwie listy pisywać będzie.

Nic dziwnego, że szkoła publiczna z takim programem wychowania podpisała sama na siebie wyrok śmierci. Na łamach „Gazety W. Ks. Poznańskiego" ogłoszono już w październiku 1840:

„Rozporządzenie tutejszej Król. Regencji przymusza mnie do zaniechania przedsięwzięcia pensji i jest mi powodem do opuszczenia wkrótce tutejszej prowincji; upraszam przeto rodziców powierzonych mi panien, aby je przed 24 b. m. odebrali. Julia Molińska."

George Sand z pierwszym swym artykułem poszła do redakcji „Figaro", Julia Molińska zaś do „Tygodnika Literackiego" w Poznaniu. Ów tygodnik, głośny w historii romantyzmu, rozwierzgał się od pewnego czasu w kierunku i literacko i społecznie nawet radykalnym. A redaktorem i duszą pisma był jego współwłaściciel Antoni Wojkowski, dość już głośny młodzieniec, pierwszy bowiem z krytyków krajowych poznał się na geniuszu Chopina, nazywając go „Kopernikiem i Mickiewiczem fortepianu" w 1836 roku.

Ojciec młodzieńca — Ignacy, patrycjusz poznański, wyróżniał się niezwykłymi w tej sferze umiłowaniami. Handlarz win z zawodu, był miłośnikiem książek i skrzypkiem-amatorem, urządzał produkcje muzyczne w kwartecie, którym raczył się przysłuchiwać sam Radziwiłł Książę, kompozytor „Fausta". Osobliwy winiarz odznaczał się tak wybrednym smakiem artystycznym, że jedynym obrazem religijnym, jaki cierpiał w domu, była Madonna Guido Reni'ego.

Niestety, jedynak nie we wszystkim wdał się w rodzica. Poświęcił się kompozycji i modnemu fortepianowi, ale po to, aby zostać „burzycielem starych porządków w muzyce", tak jak je burzył „w obyczaju, polityce i literaturze". I nigdy żaden Radziwiłł Książę nie raczył go słuchać z ukontentowaniem.

Stutysięczna scheda, czekająca Antoniego po śmierci ojca, okupywała z nawiązką fatalny defekt w urodzie. Wojkowski był bowiem garbaty. Nierównie więcej boleli poznańczycy nad kalectwem duchowym Antosia, który naczytał się i nasłuchał „zgubnych zasad romantyzmu". Krótko mówiąc: Chopin, Słowacki i „Nieboska komedia" przewrócili mu w głowie. Zaledwie o rok starszy od Molińskiej, jeszcze mniej od niej zrównoważony i praktyczny, znalazł w zapalczywej nauczycielce utęsknioną „duszę bliźnią", o jakiej marzył każdy prawy młodzieniec romantyczny.

Tu stajemy wobec trudności zasadniczej, a nieco osobliwej w epoce, która tyle wagi przywiązywała do wyglądu, do sylwetki człowieka i tak skwapliwie uwieczniała cię w portrecie do kolan, w litografii, w dagerotypie wreszcie. Nie wiemy, jak wyglądała Julia i jak wyglądał Antoni, nie doszły nas bowiem żadne ich wizerunki (rzecz tym dziwniejsza, że Wojkowski kupił z czasem drukarnię i zakład litograficzny). Na domiar, relacje o ich wyglądzie są tendencyjne i sprzeczne. Przeciwnicy szalonej poznanianki utrzymują, że pociągała ona ludzi urokiem kobiecym, a jej znajomych nazywają złośliwie „kawalerami orderu podwiązki de madame Julie". Prawdy w tym tyle, że Julia, uważając strój, jak często u romantyków, za środek propagandy, ubierała się ekscentrycznie: z reguły czarno, wysoko pod szyję. Włosy krótko obcięte, biały kołnierzyk, na głowie konfederatka. Wypisz, wymaluj romantyczkę znad Warty! Propagowała gruntowną reformę stroju kobiecego. Przyjaciółki swoje m. i. Edwardową Dembowską nauczyła palić cygara i siadywać nie na krzesłach, lecz na podłodze po turecku. Zasługę Wojkowskiej jako pierwszej w Polsce pionierki „kostiumowej i obyczajowej emancypacji" podkreśli po latach Żmichowska.

Jeszcze większa rozbieżność zdań panuje w opisach wyglądu Antoniego. „Garbus pokraczny, o twarzy nalanej, nacechowanej rozpustą", „niczym karzeł Quasi-

modo u Wiktora Hugo" — mówią antagoniści z obozu katolickiego. Zwolennicy natomiast podziwiają głowę klasycznie piękną, wysokie czoło, duże, niebieskie oczy, faliste złotoblond włosy, które kazały zapominać o kalectwie Wojkowskiego.

Gdy Antoni zaproponował Julii małżeństwo, zgodziła się chętnie, ale pod warunkiem, że pobiorą się bez ślubu kościelnego. Tylko na słowo i na wiarę. Bo inaczej teraz nie wypada.

Musiał jej przekładać, że w Polsce jeszcze się ten obyczaj nie utarł, a w Poznaniu szczególnie huczek będzie nie lada.

Właśnie dlatego upierała się Julia Molińska. O wyczynach George Sand mówi *tout Paris*, moimi niechaj się gorszy *tout Poznań*. Bo może z grodu Przemysława pójdzie sygnał rewolucji obyczajowej na całą Pospolitą Rzecz, której nie tylko niepodległości politycznej brak, lecz również w pętach przesądów rozmaitych jest pogrążona.

Jak i kiedy Antoni pojął w związki małżeńskie Julię — tego nikomu do śmierci zdradzić nie chcieli. Ani też gdzie się odbyła uroczystość zaślubin.

Na placu Wolności, zwanym jeszcze wówczas Wilhelmsplatz, zahuczało. W powietrzu słychać było trzask łamanych świec i krążyły straszliwe, krew ścinające w żyłach, słowa klątwy, która czekała parę odstępców: „Przeklęci będą w domu i na dworze, przeklęci stojąc, siedząc i pijąc. Przeklęci tak, iż w nich żadnego członka nie zostanie od wierzchu głowy aż do stopy nożnej."

Przewidujący ludzie zadawali sobie już teraz pytanie, gdzie w takim razie spocznie po śmierci romantyczna para „wiarusów", czyli bezbożników na wiarę żyjących? Chyba na niepoświęcanej ziemi, za murem cmentarza?

Nabywszy na własność „Tygodnik Literacki", pismo najlepsze wówczas w Polsce i o najwyższym poziomie — skupiało wszakże prawie wszystkie wybitne postępowe pióra kraju i emigracji — nadał Wojkowski temu rozważnemu, strzegącemu się wszelkich burz organowi charakter wybitnie bojowy. Pod jego redakcją uderzył „Tygodnik" w tony, na jakie sobie — nie tylko ze względów cenzuralnych — pozwolić nie mogła prasa literacka Warszawy, Krakowa czy Lwowa. Na odważną parę buntowników zwróciła się uwaga wszystkich żywiołów postępowych w Polsce.

Łamy „Tygodnika" stanęły odtąd otworem dla wielu śmiałych artykułów, których by żadne inne pismo nie zamieściło. Tu tylko mógł lwowski satyryk i pogromca „Parafiańszczyzny" Leszek Borkowski ogłosić bezimiennie miażdżące „Uwagi nad literaturą w Galicji", gdzie z niesłychaną furią dowcipu piętnował marazm, służalczość, beztalencie Lwowa lat 1840-ych. Nawet i talentom się dostało. Poddano surowej krytyce działalność uwielbianego człowieka teatru J. N. Kamińskiego, przyganiono ostro nietykalnemu Aleksandrowi Fredrze. Nakładem Wojkowskich wyszły Pęcławskiego „Listy o Krakowie" (1850), piętnujące gromko jego wstecznictwo. Pod pseudonimem Pęcławskiego krył się przyszły filar ideowy konserwatystów krakowskich, głośny historyk ks. Walerian Kalinka.

Gdy Julia stanęła przy boku Antoniego, rozważny „Tygodnik Literacki" rozszalał się na dobre. Wojkowscy zapisują każdy numer w połowie lub w trzech czwartych, tak że dla zaproszonych do współpracy rewolucjonistów z innych miast i dzielnic niewiele miejsca zostaje. Edward Dembowski czy Kasper Cięglewicz we Lwowie nieraz czytają „Tygodnik Literacki" z zazdrością, uważając, że oni ujęliby zagadnienie i głębiej i rozważniej niż Wojkowscy, którzy burząc, nie zawsze wiedzą, z czego i jak będą potem budować.

W osławie klątwy i straszliwych mąk, oczekujących ich za podobne pisarstwo w wieczności, prawią przez lat dziesięć zbożnemu ludkowi — o ile ich czyta — rzeczy przeokropne.

Antoni gromi rodaków, że nie umieją grać na fortepianie i nie dorośli do pojęcia geniuszu Chopina, że nie poznali się na „Nieboskiej komedii", że nie chcą w ogóle uznać Słowackiego.

Julia rozwija konsekwentnie, w bujnej często nad miarę deklamacyjnej formie, swój program feministyczny i antyklerykalny. Uważa się za „kobietę nową", która „pojmuje ducha czasu i wie, że nie w pietyzmie szukać należy ocalenia ojczyzny". Uważa się za służebnicę ideałów George Sand, które najbardziej jej odpowiadają.

„Kobieta wyzwalająca się spod ohydnego jarzma jednostronnej opinii, a zachowująca przy tym wszystką poezję najtkliwszego serca kobiety" — oto ideał. Aprobując postawę autorki „Indiany" zajmuje Julia W. krytyczne stanowisko wobec ideałów Saint-Simona i Fouriera.

„Saint-simoniści rehabilitować chcieli kobietę, wynosząc ją na najwyższą kapłankę podług myśli pierwotnego chrystianizmu... ale czas objawienia już przeszedł. Fourierzyści szukali równowagi między kobietą a mężczyzną, obok powołania jej do udziału w życiu publicznym, głównie na drodze zdemoralizowania uczucia kobiecego, które... uczynili prozaicznym dziwotworem."

Molińska uważa natomiast, że „...przeznaczona do życia d o m o w e g o kobieta powinna rozumieć męża, przeznaczonego do życia t o w a r z y s k i e g o (= społecznego), inaczej między nią a mężem będzie rozejm wieczny"... (1843).

Ale chwila „obudzenia w kobiecie samodzielności i ocucenia jej moralnej istoty" jeszcze daleka. Na razie jest bardzo źle. Współczesne kobiety są to albo „modne damy salonowe, rozprawiające o życiu jak o kapeluszu, czepku lub tym podobnej rzeczy, które jeżeli nie w romansach, to miłują się i rozpływają w nadziemskich sentymentach z wielką ujmą dla ziemi", albo „wychowane niereligijnie ale światowo są, jeżeli nie marionetkami, to filozofkami bardzo nudnego rodzaju".

Obawia się jednak Wojkowska, aby propagowana przez nią samodzielność nie przerodziła się w samowolę, tym bardziej, że w Polsce brak zupełny przewodniczek i wychowawczyń, Klementyna Tańska i Eleonora Ziemięcka, pominąwszy usterki ich zasad, ogarniają jedynie środowisko szlacheckie, o chłopkach i mieszczankach nikt nie myśli.

Radykalizm „Tygodnika Literackiego" obejmował również i piśmiennictwo. Zwalczała tu Wojkowska „kwietyzm i pietyzm". Kiedy umarł sędziwy J. U. Niemcewicz, napisała w otoku żałobnych obwódek, że „czcigodny mąż zasłużył się Polsce, ale tylko do r. 1830", później bowiem „starość nie pozwoliła mu przejąć się duchem czasu".

W krytyce literackiej unika Wojkowska wszelkich kryteriów estetycznych, nieczuła na nie, śledzi tylko idee postępowe. („Biada temu, kto powstaje przeciw rozumowi"... „Natchnienie li z zapału wypływające uwłacza myśli rozumowej"...) Oceniając literaturę jedynie pod kątem u ż y t e c z n o ś c i, potrafi zachwycić się rymowaną geografią reakcjonisty Wincentego Pola („Pieśń o ziemi naszej") do tego stopnia, że ją w tymże samym „Tygodniku Literackim" R. Zmorski przywoła do porządku, aby pisała rozbiory, a nie panegiryki.

Długo nie chcą wierzyć Wojkowscy, że autor „Zamku kaniowskiego" Seweryn Goszczyński, życzliwy opiekun ich usiłowań „znikczemniał zaciągając się pod chorągiew szalonego Towiańskiego". Oboje pytają go o to wprost listownie w grudniu 1842. Gdy Goszczyński, niestety, potwierdził, dostały mu się od razu cięgi w artykule zbolałej Julii: „Serce się kraje, że prawdą jest, czego dotąd wierzyć było niepodobno: ów piewca ludu, ów żołnierz spod Ostrołęki, który wołał: „nie na różańca pierścieniach odprawiajmy swe modlitwy" — stał się towiańczykiem, mistykiem!" I w ogóle prasa emigracyjna znikczemniała, pożera ją „rak katolicyzmu". Nawet redakcję „Noworocznika Demokratycznego" „obsiedli święci, święte i święta katolickie", a obowiązkiem naszym odgraniczyć narodowość od wyznania, tym bardziej i tym pilniej, że religia, w ujęciu niedouczonych księży wiejskich nie zdoła uobyczaić ludu, lecz tylko „odurzy, obłąka i nic więcej".

Miarą skrajności zapatrywań autorki niech będzie jej postawa wobec Kraszewskiego. Tego młodego pisarza, który wówczas — w pierwszym okresie twórczości — odważnie atakował szlachtę, piętnując ucisk chłopa pańszczyźnianego — zalicza mimo to Wojkowska do rzędu „pozawiekowych", bardziej szkodliwych niż użytecznych pisarzy.

„Piosenki dla ludu wiejskiego", wydane później (1844) w Poznaniu u Żupańskiego, to ze wszech miar dodatnia i ważna pozycja w dorobku Wojkowskiej. Wyprzedzają one o lat dziesięć Teofila Lenartowicza, a o czterdzieści lat Marię Konopnicką, pierwsze bowiem wnoszą do zafałszowanej „gędźby ludowej" akcenty prostej, chwilami bardzo artystycznej szczerości. Antoni dorobił do nich muzykę, która chociaż

oparta na motywach raczej romantycznych niż ludowych, zdołała jednak trafić pod strzechy i zaswoić się tam na czas dłuższy. Moniuszko, zapoznawszy się z pieśniarskimi kompozycjami Wojkowskiego był nimi zachwycony i dał temu wyraz w liście do autora, o czym wspomina pamiętnikarz Gniewosz.

Przyjdą burze, przyjdą burze
Przyjdą niespodzianie;
Runie pałac, runie pałac
A chatka zostanie!

Oto dominanta piosenek dla ludu i dumek, jakie od r. 1841 zaczęła Wojkowska pomieszczać w swym piśmie. Jaką czerwoną płachtą były one nie tylko dla ówczesnej burżuazji, niech zaświadczy fakt, że jeszcze w kilkadziesiąt lat później krytyk postępowy Piotr Chmielowski, chociaż pierwszy upomniał się o krzywdę wyrządzoną Wojkowskiej, niezadowolony z tak ostrego akcentu, nazwie tę strofkę „polemicznym zagorzalstwem". Zdaniem Chmielowskiego powinna ta piosenka kończyć się na strofie poprzedniej:

Ale przyjdzie, ale przyjdzie
Wiosenka królówna,
Będzie chatka, będzie chatka
Pałacowi równa.

Dom Wojkowskich na Starym Rynku z oknami wychodzącymi na wspaniały, renesansowy ryzalit ratusza poznańskiego ściąga wszystkich skłóconych ze starym porządkiem społecznym artystów. O ile zdołali dotrzeć do Poznania, uważają ich mieszkanie za swoje, radując się zarówno gościnnością syna winiarza, jak niebywałym gdzie indziej honorarium (po 3 dukaty od arkusza), które wypłaca lekkomyślny Antoni, póki zapas gotówki starczy. Spośród tubylców jedyny zaziera tu autor „Don Juana poznańskiego" Ryszard Berwiński, bujny, bardzo radykalny liryk, przychodzi też Piotr Dahlman, gromki wolnomyśliciel i wróg papiestwa, potem więzień stanu i męczennik, który uwielbia Julię za to, że „ducha teraźniejszości do pędu Farysa ukrzepia". Cyganeria warszawska otwiera tu swoją filię. Roman Zmorski, autor ultraromantycznej „Wieży siedmiu wodzów", wydobywa od Wojkowskich fundusz na wydawanie pisma literackiego „Stadło" aż na Łużycach w Budziszynie z powodu lżejszej cenzury. Muzyków Feliksa Dobrzyńskiego i Samuela Kossowskiego pociąga nie tylko nowatorski pęd Antoniego, ale i jego palisandrowy najnowszej konstrukcji „z mechaniką angielską" fortepian, na którym grał również wielki Franciszek Liszt, gdy w sekrecie przed policją zaszedł na Stary Rynek.

Policja rejencji poznańskiej, na złość caratowi, nie widzi na razie potrzeby bliższego interesowania się mieszkańcami tego domu zajezdnego, który stał się, wedle świadectwa współczesnego, „schowkiem dla ludzi skompromitowanych i ściganych za przestępstwa polityczne". Wykorzystują tę okoliczność emisariusze, wysłańcy Paryża i Londynu, którzy przez Poznań przedostają się wśród największych trudności do kraju, aby tam nie ustawać w rozniecaniu ognisk przyszłej rewolucji. Za dom najbliższy i jedyny — bo własnego mieć nie może — uważa mieszkanie Wojkowskich wódz naczelny skrajnego skrzydła lewicy polskiej — Edward Dembowski. Kiedy policja paszkiewiczowska nakryła w Warszawie „Związek Narodu Polskiego" założony w 1839 roku i finansowany przez Dembowskiego, energiczny młodzieniec chroni się na bezpieczniejszym chwilowo gruncie poznańskim. Tutaj w 1843 roku obejmuje kierownictwo prac „Poznańskiego Towarzystwa Demokratycznego", radykalizując je wydatnie, pomimo oporu czynników miejscowych.

Z inicjatywy i na rozkaz Dembowskiego udaje się poznańczyk Ryszard Berwiński w roku 1845 do Galicji, opłaca jednak próbę roboty podziemnej całoroczną kaźnią w Wiśniczu. Łatwo pojąć, że równie niepopularny jak Wojkowscy musiał być na rodzinnym podwórku Berwiński, który wołał:

Tu chce zniszczyć ród człowieczy
Faraonów moc,

A aniołów ani mieczy
Bóg nie zsyła ku odsieczy,
Choć prosim dzień, noc!
Więc, gdy stary bóg nie słucha,
Pomódlmy się do obucha,
Uściśnijmy noże...

Jan Gniewosz, który najobszerniej i najżyczliwiej potraktował działalność Wojkowskich (czego nie można powiedzieć ani o Kraszewskim, ani o Libelcie!) wspomina też o współpracy Julii z Dembowskim, zrazu bardzo żarliwej, bo łączyło ich podobieństwo burzliwych temperamentów.

Mieszczuchy poznańskie natrząsały się w swoim organie z „jenialnej redaktorki „Tygodnika Literackiego", ubóstwianej przez p. D(embowskiego)", mimo to jednak różnice zdań pomiędzy zapalczywą, nie zawsze douczoną Julią a nielitościwie dokładnym w myśleniu Edwardem bywały nieraz zasadnicze. Wtedy dyskusja przenosiła się na łamy prasy. „Artykuły krytyczne Wojkowskiej — słowa Dembowskiego w czasopiśmie „Rok 1843" — są z bardzo wielkim napisane talentem, i po większej części słuszne, lecz ciągle słowa za rzecz podają, co wskazuje, że utalentowana autorka nie przejęła się zasadami, które mówi, że wyznaje. Dziś tylko ten może policzonym być do rzędu przyznających zasady postępowe, kto je ma przeszłe w krew i żywot."

Skarcona przez człowieka, którego prymat uznawali wszyscy szczerzy rewolucjoniści, mimo jego młodego wieku (Dembowski miał wtedy lat 21!) Julia uznała za konieczne złożyć w swoim „Tygodniku" (1843 nr 47) proste i skromne, ale, jak zawsze u niej, pełne uroku słowa wyznanie:

„Jestem za postępem prawdziwym, ale nienawidzę fanfaronady i frazesów jakichś tam postępowych. W ogóle uważam tak zwany u nas postęp za nazbyt powierzchowny, bośmy zaniedbali k s z t a ł c i ć w sobie człowieka, a rozpierzchnęli myśl na ludzkość,... słowo bezzasadne, które póty będzie czczym dźwiękiem... dopóki nie ukochamy ludu czynem, to jest dopóki rzetelnie pracować dla niego nie będziemy.

„...Idę zawsze drogą prostą — a jeżeli nie odkryję żadnych prawd nowych, jeżeli nie zabłysnę potęgą geniuszu, to dlatego, że go nie mam, co znowu nie jest moją winą.

„...Moje zasady są owocem własnej i usilnej pracy nad sobą i badawczego poglądu naokoło siebie; wypływają wprost z serca i przekonania, a oparte o silną podstawę sumienia są najprzód mnie samej g w i a z d a m i w ż y w o c i e — nie sprzeczałam się i nie sprzeczam nigdy z nimi."

Do jakiego stopnia Wojkowscy poruszyli opinię Wielkopolski — pomimo oporu środowiska i agitacji kleru — świadczy Narcyza Żmichowska, która wkrótce potem przybyła na posadę guwernantki w Objezierzu, a pierwsza oddała Julii sprawiedliwość jako tej, „co jedyna umiała dla ludu o ludowych pisać sprawach". Jej zdaniem poznańskie ówczesne tak dalece pochłonięte było agitacją przeciw pannie Molińskiej, że równocześnie drukowane korespondencje Pawła Strzeleckiego, kopiącego złoto w Górach Błękitnych Australii mijały bez wrażenia!

Antoni i Julia tryumfowali.

Jemu wydawało się, że jest lordem Byronem znad Warty, ona droczyła się z poznańskim zaściankiem, niczym George Sand z Paryżem Ludwika Filipa. I raczej nowych konfliktów szukali niż zgody z otoczeniem. Gdy w roku 1845 Antoni wziął w obronę eks-księdza Jana Czerskiego, uznanego w opinii Wielkopolski za apostatę narodowego — księża podburzyli tłum do czynnego wystąpienia.

Naprzeciw biblioteki Raczyńskich, niedaleko hotelu Lama odbyła się jedyna tego rodzaju scena w dziejach polskiego buntu romantycznego, któremu od czasu pamiętnych „masówek" urządzanych w 31 r. przez jakobinów warszawskich, ani we Lwowie, ani w Krakowie, ani tym bardziej w paszkiewiczowskiej Warszawie nie było dane w tej postaci wyjść na ulicę przed rokiem 1846-ym.

A w Poznaniu wyszedł, a raczej wyjechał. Wyjechali oboje: Antoni konno, na pięknym wierzchowcu, Julia w czarnej amazonce i męskim niskim kapeluszu, z twa-

rzą zasłoniętą ciemnym woalem. Za nimi „niesforna banda ulicznikow świszcząc i krzycząc, dalej... kohorta starszych urwisów, a jeszcze dalej w tyle i po bokach, niby to w roli przypadkowych spektatorów znane figury dewotek, świętoszków, próżniaków".

Grad kamieni, gruzów i zeschniętego błota pada w stronę znienawidzonej pary. Z tłumu padają okrzyki:

— Precz z heretykami! precz z garbusem!

— I z tą miągwą rozkoszną!

— Wobec słońca mu ślubowała, nie przed księdzem!

— Ludzie bijta wiarusów!

Ugodzony kamieniem koń Wojkowskiego staje dęba, jeździec próbuje uderzyć rumakiem na gawiedź.

— Antoni, na boga, nie rób tego! — z rozpaczą i przerażeniem woła Julia.

Wojkowski opędza się szpicrutą od nacierających, w pewnej zaś chwili dobywa z kieszeni krucicy. Lecz zanim padł strzał, jakiś „mężczyzna w średnim wieku, ubrany niemal wykwintnie" ułatwił Wojkowskim schronienie w bramie swego domu, gdzie przeczekali do następnego dnia. Policja i silny patrol wojskowy, sprowadzony z odwachu, zdołały wreszcie napastników rozpędzić.

Szalona poznanianka była wraz ze swym małżonkiem zaprzeczeniem jaskrawym i innych cnót wielkopolskich. Nie tylko zdołali załatwić się szybko ze schedą stutysięczną po mądrym i zabiegliwym winiarzu, ale i później otrzymawszy, po latach nędzy i poniewierki, nowy spadek, po owym wuju lekarzu w kwocie kilkudziesięciu tysięcy, roztrwonili go również! Więc trybut zapłacony był romantyzmowi dwoma nawrotami, z procentem.

W końcu nie stało funduszów na wydawanie „Tygodnika Literackiego"; malejąca liczba odbiorców, bojkot lokalny coraz dotkliwszy, szykany cenzuralne wreszcie zmusiły Wojkowskich do zamknięcia pisma z końcem 1845 roku. Nie pognębieni, uparci do ostatka rozpoczynają wobec tego wydawać „Pismo dla nauczycieli ludu i ludu polskiego". Niemcy w rejencji uważają, że przedstawia się ono „zbyt demokratycznie" i „zbyt komunistycznie", polacy nie chcą brać do rąk nowego wybryku ludzi, stojących pod klątwą, pismo przestaje wychodzić po kilku numerach. Niezrażona Julia rzuca mimo to w dżunglę ojczystą kilkanaście książeczek dla dzieci, elementarz oraz popularny podręcznik historii polskiej, postawiony przez objektywną krytykę wyżej od reakcyjnego „Pielgrzyma w Dobromilu", napisanego przez księżnę Czartoryską z Puław.

Ułomny rewolucjonista z Wyspy (zaiste) Nieoczekiwanej skończył w ataku apoplektycznym dnia 20 kwietnia 1850 r. Jak na warunki poznańskie żył i tak za długo, bo aż 36 lat. Poznań odetchnął z ulgą, kazał wykadzić w mieście i zabrał się ochoczo do zupełnej likwidacji przedsiębiorstw tak bardzo zagrażających jego porządkowi społecznemu.

Julia próbowała walczyć dalej, usiłując prowadzić drukarnię i księgarnię, wydała ciekawy tom prozy własnej: „Z Kudowy" (Poznań, 1850) a wreszcie niezdolna do dalszego odporu dała za wygraną. „Kto tyle przecierpiał w ciągu kilku miesięcy — pisała do kogoś — komu serce posiwiało od zmartwień i niepoczciwości, dla tego każda chwila spokoju bardzo drogą jest... Odtąd owinąć się myślę w spokój, odcinając się od wszystkiego, co by go mieszać mogło."

Straciwszy nadto rodziców i oddanego opiekuna, znajduje schronienie u brata w Trzemesznie. Tu nagle „znika niespodzianie w nocy, z piśmiennie zostawionym nakazem, ażeby jej nie szukano".

Wrocław! To jedno słowo zawładnęło mroczącą się świadomością.

W stolicy Śląska, należy przypomnieć, pulsowało wówczas bujne życie kulturalne polskie. Lud śląski znad obu brzegów Odry garnął się do uniwersytetu. Parę setek dzielnej postępowej młodzieży sposobiło się na adwokatów, sędziów, nauczycieli. Założone przez młodzież śląską jeszcze w 1836 roku „Towarzystwo literacko-słowiańskie" miało na celu „przez wspólne prace obeznać członków z językami, literaturą, dziejami i prawem ludów słowiańskich".

Wojkowscy dawno już nawiązali kontakt z tymi kołami. Atmosfera Wrocła-

wia, żądna wiedzy i postępu, sympatyczniejsza od konserwatywnego podwórka poznańskiego uśmiechała się dawno Antoniemu. Próbował w ogóle przerzucić się tam z „Tygodnikiem Literackim" i całą robotą. Policja udaremniła zamiar, zasłaniając się koncesją wydawniczą, opiewającą wyłącznie na Poznań.

Tam poszła teraz Julia. Do swoich przyjaciół i sympatyków w uniwersytecie, do znającego ją i kochającego ludu na piaskach i na urodzajnej glebie Przyodrza.

Przedziwna, do ostatka romantyczna, była droga, jaką wierna ukochanemu Julia odbyła z Poznania do Wrocławia. Szła pieszo. Z pieśnią na ustach. Ze swoją i Antoniego piosenką wiejską, która cieszyła się wówczas — jak stwierdza Gniewosz — wielką popularnością pod chłopskimi strzechami ziemi poznańskiej. Ta pieśń otwierała wszędzie drzwi chałup.

Dumny pałac, dumny pałac
Z dachem murowanym,
Sterczy w górę, sterczy w górę
Czołem malowanym.

A echo w głębi chaty dopowiadało:

Przyjdą burze, przyjdą burze,
Przyjdą niespodzianie;
Runie pałac, runie pałac,
A chatka zostanie!...

Dożyła więc Julia najpiękniejszej, przez arcymistrzów utęsknionej, pociechy romantyka. Jej pieśń zbłądziła pod strzechę.

Czy przytomna doszła do Wrocławia, czy zdołała zetknąć się z przyjaciółmi? Co w ogóle robiła po przybyciu na miejsce? — Nie wiemy.

Jedynie wiadomo, że po kilku miesiącach szukający zaginionej po całym mieście studenci-polacy odnaleźli Wojkowską na cmentarzu. Półżywa, zaćmiona na umyśle chwytała się nagrobków z okrzykiem: Antosiu! Antosiu!

Przygarnięta wreszcie przez tak zwanych dobrych ludzi umarła w szpitalu wrocławskim 9 sierpnia 1851 r. w 35 wiośnie życia.

W chwilach największej udręki i zanikającej świadomości odpłatą i uśmiechem jedynym stała się dla Julii księga pewna, nad której ułożeniem pracowała po śmierci Antoniego. Aż urósł gruby album, gdzie znalazły się listy, poezje, rysunki i autografy ludzi, z którymi oboje Wojkowscy nawiązali kiedykolwiek znajomość.

Było się do czego uśmiechać.

Autografy mazurków Chopina, improwizacje Liszta, listy Słowackiego, Goszczyńskiego, Norwida i trzydziestu innych osobistości wybitnych. „Szanowny Mości Wojkowski! Nie wiedząc, czyście z wierszy moich jaki zrobili użytek, nie pisałem do was, nie chcąc się z moimi bazgraninami natrącać, teraz dopiero... umyśliłem posłać co nowego." — Tak pisał w 1839 Juliusz Słowacki w liście, który, nie włączony do albumu, uszedł trafem zagłady, jaka spotkała całą kolekcję.

*

Ani w drobnej części nawet nie zdołała heroiczna Julia zrealizować planów ambitnych, jak najwyżej siężnych. Tych kilka lat działalności w najoporniejszym ze środowisk ówczesnej Polski zszarpały jej energię i olbrzymi zapał do cna.

Starczyło zaledwie na rozbieg.

Odchodząc, nie widziała nawet mety.

W historii walczącego romantyzmu należy ją umieścić wysoko, na zasłużonym uczciwie miejscu. Nie tamte biernie uśmiechnięte lwice salonów, Ewunie, Maryle, Zosie. Ona to była jedyną na długie dziesiątki lat kobietą czynu, duszą szturmową. Ona przede wszystkim zasługuje na ten „płaszcz z błyskawicy wschodniej, w złote łamiący się fałdy", jakim w marzeniu swoim przyodziać pragnął KOBIETĘ WIELKĄ Słowacki.

Julia z Molińskich Wojkowska, Roza Weneda dołów społecznych.

DYMITR FURMANOW „CZAPAJEW".

Pod redakcją Anny Furmanow. Przełożył z ros. J. Putrament.

R e c e n z j a.

Z wdzięcznym uczuciem wita czytelnik polski przekład słynnej powieści Dymitra Furmanowa, stanowiącej jakby wyrzeźbiony w słowie pomnik, dźwignięty legendarnej postaci Czapajewa i nieustraszonej jego dywizji. Powieść ta cieszy się w społeczności radzieckiej zasłużoną i z dawna ustaloną sławą. Cieszy się nią z uwagi zarówno na swego bohatera, jak i na swego autora. Wierna pamięć narodu opasała ich obu niewiędnącym wieńcem uznania, czci, miłości i podziwu. Gdy wspominamy Czapajewa, myślimy o Furmanowie. Ilekroć pomyślimy o Furmanowie, wspominamy Czapajewa.

Jak dzieła Gorkiego, jak Serafimowicza „Potok żelazny", jak Majakowskiego „W. I. Lenin" oraz „Dobrze!", jak Ostrowskiego „Jak hartowała się stal", jak wreszcie „Cichy Don" Szołochowa, tak samo Furmanowa „Czapajew" należy do tej umiłowanej lektury, na której obywatel radziecki, a zwłaszcza młodzież radziecka kształci w sobie cnoty budowniczych i obrońców komunizmu. Obchodzona niedawno 15-ta rocznica śmierci Furmanowa stała się dodatkowym motywem, który wzmógł i ożywił w chwili obecnej zainteresowanie dla osoby i twórczości tego dzielnego pisarza-bolszewika, a także dla bohaterskiej epoki, w której on działał i pisał, i z której czerpał swe natchnienia.

Zasadniczymi tematami, na których oparła się literatura radziecka w początkowym okresie swego rozwoju, była wojna domowa. Z łopotu czerwonych sztandarów, wiodących pułki rewolucyjne do boju, naprzód z wrogiem wewnętrznym, a potem z armiami interwencji, narodziły się pierwsze karty utworów, pisane częstokroć ręką, która na chwilę porzucała karabin, by chwycić za pióro, i znów wracała do karabinu.

Z takich kart bezpośrednio wydzieranych kipiącej lawie życia, dymiących kurzem i huczących zgiełkiem pól bitewnych, powstał i „Czapajew". O nich to mówi sam autor, występujący w powieści pod nazwiskiem Fiodora Kłyczkowa, autentyczne a znamienne składając świadectwo swej metodzie pisarskiej. „Kłyczkow w każdej sytuacji i we wszelkich warunkach potrafił tak sprytnie się urządzić, by znaleźć nieco czasu dla zapisania tego, co najważniejsze. Jeśli nie w notatniku, to na arkusikach, czasem w marszu, ulokowawszy się przy płocie — ale musiał zanotować wszystko." Przyjaciele pokpiwali sobie z niego, zarzucając mu, że chwyta tylko ułamki, że nie ogarnia całości, i że z tego „tylko szkoda wyniknie, bo się oszuka ludzi". Furmanow-Kłyczkow, na szczęście, nie dał się zbić z tropu. „Mylicie się — tłumaczył: — ja dojrzę część, a gdzie indziej drugi, trzeci, dziesiąty... zbierze się tô razem — i powstanie całość, ruszy historia".

I historia, rzeczywiście, ruszyła naprzód, i to historia nadzwyczaj cenna i ciekawa, bo na gorącym chwytana uczynku. A jednocześnie, pod piórem Furmanowa, rodził się ów realizm socjalistyczny, mający stać się tryumfem i chlubą piśmiennictwa radzieckiego; realizm, tyleż biorący z życia, ile na nie oddziaływujący. On to, ów realizm, stał się klasyczną formą, w jakiej literatura bierze udział czynny w budownictwie socjalistycznym. On, wedle słów Gorkiego, uczy „widzieć, jak w butwiejącym gniciu starego próchna zapalają się i rozbłyskują płomyki przyszłości".

Jakim mistrzem-realistą był Furmanow w przedstawianiu butwiejącego rozkładu starego świata i podchwytywaniu płomyków i pochodni, zapowiadających świat nowy, świadczy każda stronica jego powieści. Z jakąż głęboką przenikliwością oka i sądu, a jak prostymi słowy, maluje on na przykład moment przejścia inicjatywy wojennej z rąk Kołczaka w ręce czerwonego dowództwa wiosną roku 1919! Siły i zasoby kontrrewolucji są jeszcze okazałe, ale wewnątrz nich już rozpostarło się próchno, które je toczy i zżera. I w miarę, jak wróg, jeszcze niedawno tak butny, traci sprężystość i pewność siebie, strona druga, jakby życiodajnym dźwignięta prądem, podnosi się, wzbiera na kształt burzliwej fali, rwie naprzód, „staje się groźna i piękna, w swej niespodzianej wielkości". To — Armia Czerwona! I gdy historia surową ręką wyciskała „haniebne piętno niesławnej zagłady" na niskim, zbrodniczym czole Kołczaka, w tym samym czasie... lecz tu oddajmy pióro autorowi „Czapajewa"... „Armia Czerwona, tak prężna i zwarta, tak wyraźnie odnowiona źródlanymi strugami fabryk, związków zawodowych i komórek partyjnych, była wtenczas podobna do zbudzonego przed chwilą jasnego bohatera, który wszystko zdobędzie, wszystkich zwycięży, przed którym zginie niedobra siła".

Furmanow, jak widzimy, budując swego „Czapajewa" na dokumentach bezpośrednio przez siebie zgromadzonych, nie wpada w ten ton kronikarza, referującego wypadki. Jego słowo raz po raz wzbiera krwią namiętności, gniewu, zapału. Pióro jego jest piórem prawdziwego artysty, który potrafi w to, co pisze, tchnąć żar własnego temperamentu, z jednaką swobodą operując strunami wzniosłości i tragizmu, jak humoru i niefrasobliwej wesołości. Co zaś w tym szczerym, rzetelnym artyście stanowi rys bodaj najbardziej znamienny, to fakt, że swą pracę pisarską doskonale kojarzył i godził on z działalnością komisarza, kie-

rownika politycznego dywizji czapajewskiej. Ta dwoistość zadania nie tylko nie uszczupliła wymowy jego pióra, ale, przeciwnie, zadecydowała o wyjątkowej sile jego rewolucyjnego wpływu na czytelnika. Ona też postawiła go w wyjątkowo pomyślne warunki, by dać obraz Czapajewa tak w każdym calu drgający życiem, a jednocześnie tak monumentalny, że stał się on typem bohatera ludowego, wyrosłego na froncie wojny domowej.

Nie darmo bowiem Czapajew figuruje w tytule książki. Stoi on rzeczywiście w ognisku powieści. Jest jej naczelną, ośrodkową postacią. Nasyca swą gwałtowną indywidualnością całą jej atmosferę. Pieczęć swego nieodpartego wpływu kładzie na wszystkich, z którymi się styka, zwłaszcza na ludzi swej dywizji. Czym osiąga autor to wrażenie niepospolitości swego bohatera? Czy wyposaża go w jakieś cechy „nadludzkie“? Nic podobnego. Przeciwnie, na każdym kroku podkreśla — i tu był jego realizm — że cechy Czapajewa były zwyczajne, że niejeden z jego towarzyszów broni lub podwładnych mógł być mężniejszy od niego, rozumniejszy, bardziej utalentowany, że wielu cennych zalet wcale nawet nie miał. Tak, ale te, które posiadał, wyróżniały się jakąś zadziwiającą świeżością, wyrazistością i ostrożnością. Jego męstwo i śmiałość, zaprawdę nieulękłe, nigdy nie wyradzały się w szał próżnej brawury, jego stanowczość i zdolność szybkiej decyzji szły w parze z przezornością i zmysłem orientacyjnym. To samoopanowanie, ta mistrzowska umiejętność w operowaniu swymi zaletami, imponują w Czapajewie tym bardziej, że był to człowiek bez wykształcenia.

— Powiem wam, towarzyszu Kłyczkow — mówił on do swego komisarza w chwili poufnych zwierzeń — że jestem prawie zupełnie niepiśmienny. Dopiero od czterech lat, tyle że pisać potrafię, a przecie mam trzydzieści pięć lat. Całe życie, można powiedzieć, chodzę w ciemności.

Wszystko więc, co posiadał, czym się wybił nad innych, zawdzięczał sam sobie, swej naturze, a raczej naturze tego żywiołu, z którego pochodził. I takim też pokazuje go Furmanow: jako samorodny wykwit tężyzny ludowej. W ujęciu autora, uosabia on to wszystko niesforne, żywiołowe, groźne i rewolucyjne, co się od wieków nagromadziło w chłopstwie. Zrodzony z surowych, pół-partyzanckich mas chłopskich, które wiódł za sobą, był on najdoskonalszym ich wyrazem i najpełniejszym wcieleniem. Umiał masom tym trafić do przekonania, do smaku, do wyobraźni, bo owe zastępy bojowników stworzyły i rozniosły po stepach jego sławę, kształtując ją, oczywiście, wedle własnych upodobań, stylizując jego bohaterstwo w myśl odwiecznej bajki o bohaterach. W tej bajce ludowej — jak powiada Furmanow — „sam Czapajew zawsze pędził wzdłuż linii z wzniesioną, obnażoną szablą, sam osobiście łamał wrogów, rzucał się w najgorętsze starcia i decydował o ich wyniku“.

Ta wieść ludowa, tak jaskrawa, a tak stężała w swych prastarych kanonach, jakże niebezpieczną była pokusą dla młodego pisarza, który po raz pierwszy, stanął oko w oko z indywidualnością Czapajewa! Mogła ona oślepić jego oczy i przesłonić prawdę, prawdę historii, która w danym wypadku była nie mniej bajeczna... od bajki, a na pewno bardziej ludzka, twórcza i budująca. Oparłszy się kanonom, które nawet bohaterów rewolucji ubierały w strój pradawny, Furmanow wiedziony swym instynktem realizmu, doszukał się w Czapajewie i odsłonił prawdziwą jego wielkość: wielkość bohaterstwa nowoczesnego w szczytnej służbie partii i ojczyzny komunistycznej. Nie było prawdą to, że Czapajew zawsze z obnażoną szablą pędził na czele swych zbrojnych szyków i sam, osobiście, zdobywał twierdze wrogów, ale prawdą było, że umiał on być „dobrym i wnikliwym organizatorem owych czasów, w owej sytuacji i dla owego środowiska, które go zrodziło, które go też wyniosło!“ Prawdą było także i to, że dywizja czapajewska nie znała porażek i że w tym niemała była zasługa samego Czapajewa. „Skupić dywizję tę w jednym porywie — pisze Furmanow — zmusić ją do wiary w swoją niezwyciężoność, wdrożyć do cierpliwego i nawet wzgardliwego patrzenia na braki i trudności życia bojowego, dać dowódców, dobrać ich, zahartować, przepoić i nasycić swoją potężną wolą, zebrać ich koło siebie i zespolić w jednej myśli, w jednym dążeniu — do zwycięstwa, do zwycięstwa, do zwycięstwa — o, to wielkie bohaterstwo!“

To właśnie bohaterstwo, wcielone w Czapajewie i jego ludzi, przekazał nam w swej książce Furmanow. Żyje ono i żyć będzie na jej kartach, przemawiając do nas językiem, którego naturalność i prostota stają się jakby szatą wymarzoną, oblekającą zasługę i wielkość.

Ta prostota i naturalność na ogół wiernie oddane zostały w prozie Jerzego Putramenta, któremu powierzono zadanie spolszczenia powieści Furmanowa i który zadanie swe pojął nader pracowicie, pragnąc wywiązać się zeń jak najsumienniej. Proza przekładu czyta się gładko, nie wywołując poza małymi wyjątkami nieporozumień lub dwuznaczników. Styl jest przejrzysty, w sile wyrazu, barwie i jędrności nie ustępując częstokroć oryginałowi. Szkoda tylko, że w budowie zdań, zwłaszcza w dialogu, zdarzają się niekiedy zwroty obce polszczyźnie. Wszystkie te usterki są jednak łatwe do usunięcia. I w następnych wydaniach „Czapajewa“ bezwarunkowo muszą być usunięte. Na pomniku, wzniesionym ręką mistrza ku chwale bohaterstwa, nie powinno być ani jednej, choćby drobnej skazy. *W. R.*

NOWE WYDAWNICTWA.

Bibliografia niniejsza obejmuje nowsze wydawnictwa w języku polskim za wyjątkiem podręczników szkolnych. Rejestrowane są książki, które ukazały się w Wydawnictwie Literatury w Językach Obcych w Moskwie (w skróceniu WLwJO) *i Państwowego Wydawnictwa Mniejszości Narodowych USRR, Kijów—Lwów (w skróceniu* PWMN).

I. MARKSIZM—LENINIZM.

IMEL przy KC WKP(b) — J. W. Stalin (Krótki życiorys). PWMN 1940. Str. 80. Egz. 10.000. 50 kop.

LENIN W. I. — Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej. PWMN 1941. Str. 136. Egz. 6.000. 1 rb. 75 kop.

LENIN W. I. — Dzieła wybrane w dwóch tomach. Tom I. Część pierwsza — str. 476. Część druga — str. 416. Tom II. Część pierwsza — str. 340. Część druga — str. 544. WLwJO 1941. Egz. 50.000. 4 rb. + 4 rb. + 4 rb. + 4 rb.

LENIN W. I. — Dzieła wybrane w dwunastu tomach. Tom IV. 1908—1914. Str. 364. Tom V. 1914—1917. Str. 340. WLwJO 1940. Egz. 10.110. 4 rb. + 4 rb.

LENIN W. I. — Fryderyk Engels. PWMN 1941. Str. 12. Egz. 8.000. 15 kop.

LENIN W. I. — Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu. Szkic popularny. WLwJO 1941. Str. 92. Egz. 10.110. 2 rb. 75 kop.

LENIN W. I. — Listy z daleka. PWMN 1940. Str. 44. Egz. 10.000. 35 kop.

LENIN W. I. — Na międzynarodowy dzień robotnic. PWMN 1941. Str. 52. Egz. 10.000. 50 kop.

LENIN W. I. — O kooperacji. PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.

LENIN W. I. — O państwie. Wykład na Uniwersytecie Swierdłowskim 11 lipca 1919 r. PWMN 1940. Str. 24. Egz. 10.000. 20 kop.

LENIN W. I. — O podatku żywnościowym. Znaczenie nowej polityki i jej warunki. PWMN 1941. Str. 44. Egz. 10.000. 40 kop.

LENIN W. I. — O prawie narodów do samookreślenia. PWMN 1940. Str. 72. Egz. 10.000. 60 kop.

LENIN W. I. — Państwo a rewolucja. Nauka marksizmu o państwie a zadania proletariatu podczas rewolucji. PWMN 1941. Str. 120. Egz. 10.000. 2 rb. 65 kop.

LENIN W. I. — Przemówienie na I Wszechrosyjskiej naradzie w sprawie pracy na wsi 18 listopada 1919 roku. PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.

LENIN W. I. — Referat na VIII Zjeździe partii o pracy na wsi 23 marca 1919 r. PWMN 1940. Str. 24. Egz. 10.000. 20 kop.

LENIN W. I. — Socjalizm i religia. PWMN 1940. Str. 32. Egz. 10.000. 25 kop.

LENIN W. I. — Trzy źródła i trzy części składowe marksizmu. PWMN 1940. Str. 8. Egz. 10.000. 15 kop.

LENIN W. I. — W obronie socjalistycznej ojczyzny. PWMN 1941. Str. 96. Egz. 10.000. 80 kop.

LENIN W. I. — Wielka inicjatywa (O bohaterstwie robotników na tyłach w związku z „komunistycznymi sobotnikami"). PWMN 1940. Str. 32. Egz. 10.000. 30 kop.

LENIN W. I. — Wojna a rewolucja. Odczyt, wygłoszony 27 (14) maja 1917 r. WLwJO 1940. Str. 32. Egz. 11.110. 40 kop.

LENIN W. I. — Zadania związków młodzieży. Przemówienie na III Wszechrosyjskim Zjeździe Rosyjskiego Komunistycznego Związku Młodzieży 2 października 1920 r. PWMN 1940. Str. 20. Egz. 10.000. 15 kop.

MARKS K. — Dzieła wybrane w dwóch tomach. Tom I. IMEL przy KC WKP(b). WLwJO 1941. Str. 484. Egz. 30.000. 5 rb. 50 kop.

STALIN J. — Klasa proletariuszy a partia proletariuszy. (W związku z pierwszym punktem Statutu Partii). PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.

STALIN J. — Marksizm a kwestia narodowa (Rok 1913). PWMN 1940. Str. 68. Egz. 10.000. 60 kop.

STALIN J. — Marksizm a kwestia narodowo-kolonialna. Zbiór artykułów i przemówień. WLwJO 1940. Str. 272. Egz. 50.110. 3 rb.

STALIN J. — Międzynarodowy charakter Rewolucji Październikowej. PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.

STALIN J. — O Leninie. PWMN 1940. Str. 56. Egz. 10.000. 40 kop.

STALIN J. — O materializmie dialektycznym i historycznym (Wrzesień 1938 r.). PWMN 1941. Str. 32. Egz. 6.000. 30 kop.

STALIN J. — O pewnych zagadnieniach historii bolszewizmu. List do redakcji czasopisma „Proletarskaja Rewolucja". PWMN 1941. Str. 16. Egz. 10.000. 15 kop.

STALIN J. — O podstawach leninizmu. Wykłady wygłoszone na Uniwersytecie Swierdłowskim w początku kwietnia 1924 roku. PWMN 1941. Str. 84. Egz. 8.000. 1 rb. 25 kop.

STALIN J. — O trzech podstawowych hasłach partii w kwestii chłopskiej. PWMN 1940. Str. 16. Egz. 10.000. 15 kop.

STALIN J. — O trzech właściwościach Czerwonej Armii. Przemówienie na uroczystym plenum Moskiewskiej Rady poświęconym dziesiątej rocznicy Czerwonej Armii. PWMN 1940. Str. 8. Egz. 10.000. 10 kop.

STALIN J. — Przemówienie na zebraniu przedwyborczym Stalinowskiego okręgu wyborczego m. Moskwy 11 grudnia 1937 r. PWMN 1940. Str. 16. Egz. 10.000. 10 kop.

STALIN J. — Przyczynek do zagadnień leninizmu. PWMN 1941. Str. 56. Egz. 8.000. 55 kop.
STALIN J. — Referat sprawozdawczy na XVIII Zjeździe Partii o działalności KC WKP(b) 10 marca 1939 r. PWMN 1941. Str. 52. Egz. 10.000. 50 kop.
STALIN J. — Rewolucja Październikowa a taktyka komunistów rosyjskich. Przedmowa do książki „Na drodze do Października". PWMN 1940. Str. 36. Egz. 10.000. 35 kop.
STALIN J. — Rok wielkiego przełomu. PWMN 1940. Str. 16. Egz. 5.000. 20 kop.
STALIN J. — Zagadnienia leninizmu. WLwJO 1940. Str. 608. Egz. 50.110. 5 rb. 50 kop.

II. LITERATURA POLITYCZNA I ANTYRELIGIJNA.

AGAPOW B. — Aleksy Grygoriewicz Stachanow, szkic biograficzny. PWMN 1940. Str. 32. Egz. 5.000. 25 kop.
ANDREJEW A. — Stalin i wielki ruch kołchozowy. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1940. Str. 16. Egz. 10.000. 15 kop.
BERIA Ł. — Największy człowiek współczesności. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1941. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.
CHRUSZCZOW N. S. — Ku nowym sukcesom socjalistycznego rolnictwa Ukrainy. Referat na Naradzie Aktywu Partyjnego, Radzieckiego i Kołchozowego obwodu kijowskiego dnia 28 stycznia 1941 roku. PWMN 1941. Str. 60. Egz. 15.000. 45 kop.
CHRUSZCZOW N. S. — Nasz pierwszy kandydat Wielki Stalin. Przemówienie na wiecu pracujących Stalinowskiego okręgu wyborczego m. Kijowa 24. VI. 1938 r. PWMN 1940. Str. 16. Egz. 10.000 + 10.000. 10 kop.
CHRUSZCZOW N. S. — O zmianach w polityce dostaw i zakupów produktów rolnych. Z referatu na zebraniu Kijowskiego Aktywu Partyjnego dnia 16. IV. 1940 r. o wynikach kolejnego Plenum CK WKP(b). PWMN 1940. Str. 72. Egz. 5.000. 35 kop.
CHRUSZCZOW N. S. — Stalin i wielka przyjaźń narodów. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.
Czkałow Walery Pawłowicz. Bohater Związku Radzieckiego. PWMN USRR 1941. Str. 80. Egz. 5.000. 70 kop.
FIEDOSIEJEW P. — J. Stalin o religii i walce z religią. PWMN 1941. Str. 72. Egz. 5.000. 50 kop.
GALIN B. — Bohater Związku Radzieckiego Ernest Teodorowicz Krenkel. Szkic biograficzny. PWMN 1940. Str. 24. Egz. 5.000. 25 kop.
GOLDSZTAJN I. — Jak polscy panowie gnębili chłopów. PWMN 1940. Str. 56. Egz. 5.000. 45 kop.
KAGANOWICZ Ł. M. — Wielki maszynista lokomotywy historii. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1940. Str. 16. Egz. 10.000. 15 kop.
KALININ M. I. — W sześćdziesiątą rocznicę urodzin towarzysza Stalina. PWMN 1941. Str. 88. Egz. 10.000. 60 kop.
KNITTEL E. — Co to jest „KIM". (Komunistyczna Międzynarodówka Młodzieży). PWMN 1940. Str. 64. Egz. 5.000. 25 kop.
Konstytucja (Ustawa Zasadnicza) Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Rad. PWMN 1940. Str. 32. Egz. 50.000. 15 kop.
Konstytucja (Ustawa Zasadnicza) Związku Socjalistycznych Republik Rad. PWMN 1940. Str. 32. Egz. 15.000 + 15.000. 15 kop.
LEWIN B. — Eugeniusz Konstantynowicz Fiodorow. Szkic biograficzny. PWMN 1940. Str. 16. Egz. 5.000. 20 kop.
MALENKOW G. M. — O zadaniach organizacyj partyjnych w dziedzinie przemysłu i transportu. Referat na XVIII Wszechzwiązkowej Konferencji WKP(b) 15 lutego 1941 r. PWMN 1941. Str. 46. Egz. 15.000. 25 kop.
MANDELSZTAM L. — Rady — podstawa polityczna ZSRR. PWMN 1941. Str. 88. Egz. 6.000. 65 kop.
Maria Safronówna Demczenko. PWMN 1940. Str. 20. Egz. 5.000. 20 kop.
MARIAMOW A. — Praskowia Mikitiewna Angelina. PWMN 1940. Str. 12. Egz. 5.000. 20 kop.
MIKOJAN A. — Stalin to Lenin dzisiaj. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.
MIKOJAN A. — Feliks Dzierżyński. PWMN 1940. Str. 28. Egz. 5.000. 25 kop.
MOŁOTOW W. — Blok wyborczy komunistów i bezpartyjnych. Przemówienie na zebraniu Mołotowskiego okręgu wyborczego 8 grudnia 1937. PWMN 1940. Str. 16 .Egz. 10.000. 10 kop.
MOŁOTOW W. — Stalin jako kontynuator dzieła Lenina. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1940. Str. 16. Egz. 10.000. 15 kop.
Praca komórki MOPR. Zbiór instrukcyj i postanowień. Centralny Komitet MOPR ZSRR. PWMN 1940. Str. 56. Egz. 5.000. 25 kop.
Program i Statut Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży. PWMN 1940. Str. 64. Egz. 25.000. 30 kop.
RAKITNIKOW A. — Eudoksja Wiktorówna Winogradowa. PWMN 1940. Str. 20. Egz. 5.000. 20 kop.
RANIEWSKI I. — Piotr Fiodorowicz Krywonos. PWMN 1940. Str. 12. Egz. 5.000. 15 kop.
Rezolucje XVIII Wszechzwiązkowej Konferencji WKP(b) od 15—20 lutego 1941 r. PWMN 1941. Str. 24. Egz. 15.000. 15 kop.
RUMIANCEW M. — Pochodzenie i klasowa treść święta „bożego narodzenia". PWMN 1940. Str. 64. Egz. 5.000. 45 kop.
Statut wzorowy artelu rolnego. PWMN 1941. Str. 32. Egz. 60.000. 15 kop.
SZCZERBAKOW A. S. — Przykazania Lenina zostały wcielone w życie. PWMN 1940. Str. 24. Egz. 5.000. 20 kop.

SZWERNIK M. — Stalin i troska o człowieka. (Na dzień 60-lecia towarzysza Stalina). PWMN 1940. Str. 12. Egz. 10.000. 15 kop.

WIŚNIEWSKI W. — Bohater Związku Radzieckiego Iwan Dymitrowicz Papanin. (Szkic biograficzny). PWMN 1940. Str. 20. Egz. 5.000. 30 kop.

WOROSZYŁOW K. J. — Stalin i Czerwona Armia. PWMN 1940. Str. 32. Egz. 10.000. 20 kop.

WOZNIESIEŃSKI M. A. — Wyniki gospodarcze roku 1940 i plan rozwoju gospodarki narodowej ZSRR na rok 1941. Referat na XVIII Wszechzwiązkowej Konferencji WKP(b) 18 lutego 1941 r. PWMN 1941. Str. 32. Egz. 10.000. 20 kop.

III. POWIEŚĆ I POEZJA.

BAGRYCKI E. — Duma o Opanasie. Przekład M. Jastruna. Okładka i ilustracje K. S. Kozłowskiego. PWMN 1941. Str. 32. Egz. 5.000. 75 kop.

FADIEJEW A. — Klęska. Powieść. Przełożyli B. Piach i J. Putrament. Okładkę projektował W. I. Cetnarowski. PWMN 1941. Str. 212. Egz. 5.000. 4 rb. 50 kop.

FURMANOW D. — Czapajew. Pod red. A. Furmanow. Przełożył J. Putrament. PWMN 1940. Str. 300. Egz. 8.000. 6 rb.

GORKI M. — Matka. Przełożyła H. Górska. Do druku przygotował A. Ważyk. PWMN 1941. Str. 376. Egz. 8.000. 7 rb. 50 kop.

KOCIUBIŃSKI M. — Fata morgana. Powieść. PWMN 1941. Str. 140. Egz. 5.000. 3 rb. 35 kop.

MAJAKOWSKI W. — Wiersze. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył J. Borejsza. Redagowali: J. Borejsza i A. Ważyk. PWMN 1940. Str. 220. Egz. 10.000. 5 rb. 75 kop.

ŁE I. — Nowele. Okł. proj. N. M. Kosoj. PWMN 1941. Str. 364. Egz. 5.000. 7 rb.

OSTROWSKI M. — Jak hartowała się stal. Okładkę projektował A. Z. Pawłowski. PWMN 1941. Str. 460. Egz. 10.000. 7 rb. 25 kop.

PASTERNAK L. — Wiersze wybrane. PWMN 1941. Str. 56. Egz. 3.000. 2 rb. 50 kop.

TOŁSTOJ A. — Chleb. PWMN 1940. Str. 324. Egz. 5.000. 6 rb. 25 kop.

TYCZYNA P. — Wiersze wybrane. Wyboru dokonał autor. Redagowali: St. Tudor i A. Ważyk. PWMN 1941. Str. 148. Egz. 5.000. 4 rb.

PUTRAMENT J. — Opowieści wrześniowe. Nowele. Okładkę projektował F. Parecki. PWMN 1941. Str. 152. Egz. 5.000. 3 rb. 10 kop.

WASILEWSKA W. — Płomień na bagnach. Powieść. PWMN 1940. Str. 424. Egz. 5.000. 6 rb. 50 kop.

WASILEWSKA W. — Ziemia w jarzmie. Powieść. Okładkę projektował F. Parecki. PWMN 1940. Str. 312. Egz. 10.000. 6 rb. 50 kop.

IV. PODRĘCZNIKI LITERATURY POLSKIEJ.

Literatura polska dla klas V—VII. Program opracowany przez Z. Charszewską. Komisariat Ludowy Oświaty USRR, Zarząd szkół. PWMN 1940. Str. 24. Egz. 2.000. 20 kop.

Literatura polska dla klas VIII—X. Program w opracowaniu J. Borejszy przy współpracy prof. P. K. Wołyńskiego. Komisariat Ludowy Oświaty USRR. PWMN 1940. Str. 52. Egz. 2.000. 50 kop.

Literatura polska. Wypisy dla klasy VIII szkoły średniej. Pod redakcją J. Borejszy ułożyli St. Kawyn, B. Nadolski i St. Wasylewski. PWMN 1940. Str. 280. Egz. 4.000. 2 rb. 60 kop.

Literatura polska. Wypisy dla klasy IX szkoły średniej. Pod redakcją J. Borejszy ułożyli E. Kantor, A. Kosko i W. Markowska. PWMN 1940. Str. 388. Egz. 4.000. 3 rb. 50 kop.

Literatura polska. Wypisy dla klasy X szkoły średniej. Pod redakcją J. Borejszy ułożyli A. Charszewski, M. Jastrun i J. Przyboś. PWMN 1940. Str. 384. Egz. 3.000. 3 rb. 50 kop.

V. KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

BRONIEWSKA J. — Wędrówki miedzianego grosika. PWMN 1941. Str. 176. Egz. 6.000. 3 rb. 35 kop.

FRANKO I. — Hrycio w szkole. PWMN 1941. Str. 12. Egz. 5.000. 75 kop.

FRANKO I. — Zachar Berkut. Powieść dla młodzieży. Przełożył prof. St. Rudniański. PWMN 1940. Str. 190. Egz. 5.000. 4 rb.

IWANENKO O. — Dzika jabłonka. — Trzmiel. (Bajki). Okładkę i ilustracje projektował M. Rojtman. PWMN 1941. Str. 28. Egz. 5.000. 1 rb.

IWANENKO O. — Bajki. Okładka i ilustracje M. Rojtmana. PWMN 1941. Str. 78. Egz. 5.000. 2 rb. 30 kop.

KOCIUBIŃSKI M. — Norymberskie jajko. Okładka i ilustracje W. H. Załuckiego. PWMN 1941. Str. 12. Egz. 5.000. 50 kop.

PANCZ P. — Syn Taraszczańskiego pułku. Powieść. Z ukraińskiego przełożył St. Żyranik. PWMN 1940. Str. 116. Egz. 5.000. 2 rb. 50 kop.

TYCZYNA P. — Jasio Telesik. Bajka. Opracował —. Z ukraińskiego przełożył A. Ważyk. Ilustracje projektował M. Rojtman. PWMN 1941. Str. 16. Egz. 5.000. 1 rb.

TRUBLAINI M. — Skrzydła różowej mewy. Okładkę i ilustracje projektował W. H. Litwinenko. PWMN 1941. Str. 28. Egz. 5.000. 1 rb.

WASILEWSKA W. — Pokój na poddaszu. Powieść dla młodzieży. PWMN 1940. Str. 160. Egz. 5.000. 3 rb.